CHORUJEMY NA HAŁAS

PUTIN WZYWA NA WOJNĘ ROSJA W STRACHU

JAGIELSKI O NAJWIĘKSZYM CHRYSTUSIE ŚWIATA

Kraków 2 października 2022 nr 40 (3821) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

KIM JEST ARCYBISKUP JĘDRASZEWSKI

Kościół jest zamknięty

W WYDANIU DODATEK JESIENNY WŁÓCZYKIJ KULTURALNY

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

silesius
Wrocławska Nagroda Poetycka

ANGELUS
LITERACKA NAGRODA EUROPY ŚRODKOWEJ

Wrocławska Nagroda Poetycka Silesius 2022

Literacka Nagroda Europy Środkowej Angelus 2022

KALENDARIUM

27.09–14.10	Salony Angelusa – spotkania z nominowanymi
15.10	Salony Silesiusa – spotkania z nominowanymi w kategoriach Debiut i Książka roku
15.10	Spotkanie z Marcinem Sendeckim, laureatem Silesiusa 2022 za całokształt pracy twórczej
15.10	Gala finałowa
16.10	Spotkanie z laureatką/laureatem Angelusa 2022
16.10	Spotkanie z laureatami Silesiusa 2022 w kategoriach Debiut i Książka roku

Spotkania z nominowanymi i laureatami odbywają się w ramach Bruno Schulz. Festiwalu

Klub Proza, Wrocław | transmisje online

www.literatura.wroclaw.pl
www.fb.com/WroclawskiDomLiteratury

ORGANIZATORZY

PARTNERZY

REKLAMA

ZAMÓW TANIEJ

swoją prenumeratę na 2023 r. zawczasu tylko do 2 listopada!

Szanowni Państwo,

2 listopada zmienimy cennik prenumeraty „Tygodnika Powszechnego". Nie będzie już można zamówić niektórych opcji czasowych i promocyjnych, a cena pozostałych nieznacznie wzrośnie.

Ogromne, bezprecedensowe podwyżki cen papieru gazetowego, prądu, gazu i transportu to cztery krytyczne czynniki, które wymuszają na nas konieczność podwyżki ceny prenumeraty.

Detaliczna cena wydania wzrosła już kilka miesięcy temu, do 12 złotych. **W zwykłej prenumeracie rocznej to wciąż koszt około 9 złotych za wydanie.**

Z podwyżką ceny prenumeraty wydania drukowanego pisma zwlekaliśmy jak najdłużej, chcąc Prenumeratorom – naszym najbardziej oddanym Czytelnikom – umożliwić jej **zakup na jak najlepszych warunkach**.

Prenumerata jest najkorzystniejszą finansowo, dla nas i dla Czytelników, najbardziej efektywną formą dystrybucji prasy drukowanej – w ramach prenumeraty każdy egzemplarz, bez konieczności drukowania egzemplarzy nadmiarowych, trafia w ręce oczekujących go osób.

Serdecznie zapraszamy wszystkich naszych Czytelników do wykupienia lub przedłużenia prenumeraty jeszcze w październiku 2022 – na kolejne okresy rozliczeniowe. **Taniej** – bez względu na bardzo niepewną sytuację rynkową.

Dziękujemy, że jesteście Państwo z nami.

Jacek Ślusarczyk
Prezes Zarządu
Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

ZASADY ZAKUPU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę papierową można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00–15.00 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	500 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALES manago
marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

22 Hałas, brat smogu
MAŁGORZATA NOCUŃ
Polska ryczy całą dobę. Nawet w górskim schronisku. Półmetrowy głośnik, jak wierny pies, leży obok mężczyzny w średnim wieku. Mężczyzna zaraz zawiesi go sobie na ramię i pójdzie „uszczęśliwiać" ludzi na szlaku.

32 Wiara, która parzy
MAREK KĘSKRAWIEC
Ruch charyzmatyczny w Polsce od kilkunastu lat się zmienia. Coraz więcej w nim lęku i demonów.

44 Rodzina została za rzeką
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z KUPIAŃSKA (OBWÓD CHARKOWSKI, UKRAINA)
Każdy chciałby zadzwonić, zapytać, jak się mają bliscy. Na próżno, zwykle po kilku słowach połączenie się urywa.

60 Pieniądze i mózgi
KATARZYNA DZIADOWICZ
Dzieci z uboższych rodzin wolniej się rozwijają i słabiej wypadają w testach. Musimy zrozumieć podłoże tego zjawiska, by móc mu przeciwdziałać.

80 Powrót pimponga
ROZMOWA Z PIOTREM SOMMEREM, POETĄ:
Wszystko, co się zdarza w życiu, nasz język powiększa, język od życia pęcznieje. Super, kiedy pęcznieje, ale nie pęka.

FELIETON

31 Tysięczne i pierwsze spojrzenie
OLGA DRENDA
Zawsze dziwi mnie, że nikt nie chce być szewcem ani sprzedawcą placków. A ja wolę placki i bardziej ciekawią mnie ich dzieje. Będę serwować więc państwu placki.

A gdyby moja wnuczka chciała założyć stronę o „duchologii lat 20. XXI wieku", to mam nadzieję, że przydadzą jej się te zapiski.

MARIUSZ GRZELAK / REPORTER // KRYSTIAN DOBUSZYŃSKI / NURPHOTO / GETTY IMAGES // CHESNOT / GETTY IMAGES // KAMILA WYROŚLAK // RENATA ZAWADZKA·BEN DOR // PAWEŁ PIENIĄŻEK

6 Putin gra o wszystko
WOJCIECH KONOŃCZUK

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Hałas, brat smogu
MAŁGORZATA NOCUŃ

25 Dom empatii
KRZYSZTOF STORY: *Wolontariuszy dopada zmęczenie, wielu rezygnuje z pomagania uchodźcom. Zostali ci dobrze zorganizowani*

28 Z pamiętnika młodej lekarki
ROZMOWA Z RÓŻĄ HAJKUŚ, PEDIATRĄ: *Nie godzę się na to, że my, lekarze, oddajemy pole bitwy, jakim jest internet*

WIARA

32 Wiara, która parzy
MAREK KĘSKRAWIEC

36 List od przyjaciela
MARCIN CHODUŃ: *Siostra Jeannine Gramick, loretanka, od ponad pół wieku pomaga w USA osobom LGBT+*

39 Wierzący znad Tygrysu
MARCELINA SZUMER-BRYSZ Z DIYARBAKIRU

ŚWIAT

44 Rodzina została za rzeką
PAWEŁ PIENIĄŻEK

47 Rzeczywistość na odwrót
ANNA ŁABUSZEWSKA: *Odpowiedź Kremla na kontrofensywę Ukrainy to mobilizacja i błyskawiczne „referenda”*

48 Czego Niemcy nie wiedzą
ANNA KWIATKOWSKA: *Skutkiem rosyjskiej inwazji może być koniec układu sił w Unii, gdy o jej polityce decydowała tzw. stara Europa*

TEMAT TYGODNIKA

OMAR MARQUES / GETTY IMAGES

12 Kościół jest zamknięty
ANNA GOC, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI, MARCIN ŻYŁA

Wysłanie księdza podejrzewanego o przestępstwa seksualne do pracy w domu pomocy społecznej. Sojusz z władzą. Czystki w kolejnych kuriach. Co historia Marka Jędraszewskiego mówi o Kościele?

DODATKI

42 NAGRODA OKULARY KS. KACZKOWSKIEGO

65 JESIENNY WŁÓCZYKIJ KULTURALNY

FELIETONY

31 OLGA DRENDA **41** ZUZANNA RADZIK
92 JAN KLATA **93** PAWEŁ BRAVO
98 TOMASZ STAWISZYŃSKI
98 BARTOSZ MINKIEWICZ

ILUSTRACJA NA OKŁADCE: MICHAŁ DYAKOWSKI DLA „TP”

Redaktorka prowadząca: ANNA GOC

50 Gdy nie masz na prąd
DALIA MIKULSKA Z BEJRUTU: *W Libanie słowu „kryzys” towarzyszą coraz to nowsze przymiotniki*

53 Wolność? To nie tutaj
EWA KLEWAR Z GWATEMALI: *Prezydent bezwzględnie zwalcza krytykujących go dziennikarzy oraz niezależnych sędziów i prokuratorów*

HISTORIA

56 Święta kontrabanda
ANDRZEJ OTCZYK: *Co najmniej milion egzemplarzy Biblii przerzucono nielegalnie do Związku Sowieckiego. Jak dziś wspominają to ówcześni „przemytnicy”?*

NAUKA

60 Pieniądze i mózgi
KATARZYNA DZIADOWICZ

63 Dotyk matki
ŁUKASZ KWIATEK: *Samicom makaków dzieci zastąpiono pluszakami. Okazało się, że w tworzeniu się więzi rodzicielskiej kluczową rolę odgrywa fizyczny kontakt*

KULTURA

80 Powrót pimponga
ROZMOWA Z PIOTREM SOMMEREM, POETĄ

86 W cieniu białych krów
ANDRZEJ JURA, KAROL PIEKŁO: *Choć cenzura i autocenzura są obecne w Iranie, to narzucone obostrzenia wynosiły tamtejszą kinematografię na wyżyny*

90 W oślej skórze
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „IO” Jerzego Skolimowskiego*

ZMYSŁY

94 Jak się człowiek uprze
WOJCIECH JAGIELSKI: *Gagik Carukjan wznosi w Armenii największy na świecie posąg Jezusa*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Strona świata
Micheil Saakaszwili, były prezydent Gruzji, od roku jest w więzieniu. Czy przed dłuższą odsiadką ocali go wyjazd na leczenie? – wyjaśnia **WOJCIECH JAGIELSKI** | tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

Własny Pokój [Podkast Powszechny]
Gdy mamie było źle, to mówiła, że czasem w życiu tak jest. Że trzeba nieść swój krzyż. Nie lubiłam tego. Ja nie czułam, że to mój krzyż – opowiada **RENATA PRZEMYK** | powszech.net/podkast

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

PUTIN GRA O WSZYSTKO

Mobilizacja i pseudoreferenda na obszarach okupowanych to ze strony Kremla rozpaczliwa próba zmiany wyniku wojny, której Rosja nie jest w stanie wygrać.

WOJCIECH KONOŃCZUK

Kontrofensywa ukraińska i odbicie części straconych terenów były uderzeniem w wizerunek Rosji i samego Putina. Przez ponad pół roku „potężna armia rosyjska" nie była w stanie zdobyć nawet całego Donbasu, a dynamika wojny pokazywała, że kolejne porażki to kwestia czasu. W tej sytuacji Putin postanowił zaryzykować. Najpierw władze tzw. Donieckiej i Ługańskiej Republik Ludowych oraz okupowanych obwodów chersońskiego i zaporoskiego ogłosiły błyskawiczne „referenda" (23-27 września). Ich wynik był oczywisty, bo Rosja zrezygnowała z pozorów, że mają one coś wspólnego z wolą żyjących tam Ukraińców. W efekcie doszło do farsy, która zapewne już w najbliższych dniach doprowadzi do aneksji tych regionów. W zamierzeniach Kremla ma to pokazać, że Rosja znów jest „wielka".

Ogłoszeniu pseudoreferendów towarzyszyła decyzja, która z punktu widzenia

W ciągu pierwszych pięciu dni od ogłoszenia mobilizacji w Rosji podczas protestów zatrzymano ponad 2 tys. osób; część z zatrzymanych otrzymała od razu karty powołania. Petersburg, 24 września 2022 r.

Kremla jest znacznie trudniejsza, czyli o mobilizacji 300 tys. rezerwistów. Władze mówią wprawdzie o „częściowej mobilizacji", ale to pierwsze słowo ma służyć jedynie uspokojeniu społeczeństwa. W istocie reżim będzie mógł zmobilizować tyle osób, ile uzna za niezbędne. Równie dobrze może to być wielokrotność 300 tysięcy.

W ostatnich miesiącach Putin zapewniał, że żadnej mobilizacji nie będzie. Skuteczna obrona ukraińska zmusiła go jednak do zmiany planów, mimo że jest to dla niego krok niezwykle ryzykowny i wolał go uniknąć. Skończyła się bowiem fikcja „specjalnej operacji wojskowej" i już nawet państwowe media coraz częściej używają zakazanego słowa „wojna". Dotychczas większość Rosjan popierała agresję wobec Ukrainy, ale co innego popierać wojnę toczoną przez zawodową armię, a co innego wysyłać na nią setki tysięcy cywilów.

Kreml uważa, że doprowadził społeczeństwo rosyjskie do stanu, w którym może z nim zrobić, co zechce. Jest jednak prawdopodobne, że to kolejna iluzja Putina. Dalszy niekorzystny dla Rosji przebieg wojny może doprowadzić do potężnego zdestabilizowania sytuacji wewnętrznej i być początkiem końca reżimu. Negatywne reakcje Rosjan na mobilizację już są widoczne w wielu regionach.

Jak zwykle wszystko zależy od sytuacji na froncie. Kreml liczy, że rzucenie do walki co najmniej kilkuset tysięcy nowych żołnierzy pozwoli „wyzwolić" resztę Donbasu i kolejne terytoria ukraińskie. Zaczyna się nowy etap tej wojny, a wynik będzie zależny od postawy ukraińskiej armii oraz szybkości i ilości dostaw zachodniej broni. Wraz z rosnącą rosyjską presją militarną na Ukrainę rozwijać się będzie również wojna energetyczna, wypowiedziana przez Moskwę Zachodowi. Kreml wiele ryzykuje, Putin jednak zdaje sobie sprawę, że stawką jest przyszłość nie tylko Ukrainy i porządku międzynarodowego w tej części świata, ale przede wszystkim jego własnej władzy.

Ani pseudoreferenda, ani mobilizacja nie wywarły na Ukrainie wrażenia. O ile wśród Rosjan niepewność i strach zdają się dominującymi emocjami, o tyle Ukraińcy strach oswoili. Po Rosji od dawna spodziewają się tylko najgorszego i rozumieją, że to dla nich wojna o wszystko. Także dlatego morale ukraińskie jest nieporównywalnie wyższe niż rosyjskie. Putin może straszyć bronią jądrową, podkreślając – aby na pewno dotarło do wszystkich na Zachodzie – że „to nie blef". Ale Ukraińcy uważają, że ich zwycięstwo to jedynie kwestia czasu i – niestety także – kosztów: ludzkich i materialnych.

Choć kolejne miesiące, a może i lata, będą dramatyczne, to w końcu okaże się, że Rosja poszła na wojnę, której nie może wygrać. ©

AFP

Obywatelu, energetyka w potrzebie

MAREK RABIJ

„Okres zagrożenia na rynku mocy" – z tym określeniem większość z nas zetknęła się po raz pierwszy 23 września, kiedy – również po raz pierwszy w dziejach – ogłoszono go w polskiej energetyce. Za groźnie brzmiącym określeniem krył się komunikat dla producentów energii, by na wszelki wypadek przygotowali się na kilkugodzinną pracę pełną parą, bo produkcja prądu i jego import od sąsiadów mogą w tym czasie nie zaspokoić zapotrzebowania. Sytuację ustabilizowały ostatecznie leciwe bloki energetyczne (m.in turbogenerator Tg3 w Skawinie, oddany do użytku jeszcze za wczesnego Gomułki) oraz uczestnicy programu DSR polegającego na tym, że wielkie zakłady przemysłowe, w zamian za pieniądze, na żądanie operatora sieci elektroenergetycznej zmniejszają na jakiś czas pobór prądu.

Tym razem się udało, ale to nie koniec kłopotów. Elektrociepłowniom brakuje węgla odpowiedniej jakości i przez to łapią kolejne awarie. Na źródła odnawialne nie zawsze można liczyć, co pokazał właśnie 23 września, kiedy produkcja z turbin wiatrowych spadła poniżej prognozowanej.

Tymczasem rządu PiS wciąż nie opuszcza optymizm. Obiecane jeszcze w czerwcu 4,5 mln ton węgla, które miały zastąpić rosyjski surowiec, docierają do polskich portów w śladowych ilościach. Minister klimatu i środowiska Anna Moskwa zapowiada, że to, co miało przypłynąć we wrześniu, przypłynie w październiku, ale jeśli nawet to prawda (a specjaliści od rynku węglowego mocno w to wątpią, bo globalny popyt na ten surowiec bardzo wzrósł), miną tygodnie, nim węgiel pojawi się w całej przemarzniętej Polsce. Nieco lepiej będzie z gazem: kilka dni przed uruchomieniem gazociągu Baltic Pipe PGNiG pokazało kontrakt na dostawy gazu z Norwegii. Po 2,4 mld metrów sześciennych rocznie przed dekadę. Wraz z innymi źródłami z zagranicy powinno to pokryć jakieś dwie trzecie luki powstałej po dostawach z Rosji, które Moskwa wstrzymała już wiosną, ale obiecywane 10 mld metrów sześciennych rocznie, które mieliśmy odbierać przez Baltic Pipe, na razie można włożyć między polityczne bajki.

Rząd zaspał, dlatego w najbliższych miesiącach czeka nas próba prywatyzacji kryzysu energetycznego. Szkoły już zapowiadają, że przytłaczające koszty ogrzewania mogą je zmusić zimą do przejścia na zdalne nauczanie. W firmach trwają również gorączkowe przygotowania do przeniesienia części pracowników „na zdalne". Nawet szpitale pytają swoich prawników, czy nie dałoby się lżej chorych „hospitalizować" w ich domach, po uprzednim wyposażeniu w stosowną aparaturę. Chodzi o to, aby część pikujących kosztów bieżących poupychać po budżetach gospodarstw domowych. Wszak premier obiecał, że prywatne rachunki za prąd nie wzrosną po 1 stycznia, o ile liczniki nie pokażą zużycia powyżej 2000 kilowatogodzin. ©℗

Bloki energetyczne w Skawinie ratowały nas 23 września.

JACEK BEDNARCZYK / PAP

Załamanie kredytowe

PIOTR WÓJCIK

NA RYNKU MIESZKANIOWYM KRYZYS JUŻ w pełni. Według danych Biura Informacji Kredytowej w sierpniu liczba udzielonych kredytów mieszkaniowych spadła o ponad dwie trzecie, a ich wartość o niemal 70 proc. Podnoszenie stóp procentowych połączone z zaostrzeniem rekomendacji Komisji Nadzoru Finansowego przyniosło spadek zdolności kredytowej klientów o połowę lub więcej, zależnie od miasta. Zepchnięcie tak dużych kosztów walki z inflacją na kredytobiorców hipotecznych musiało się skończyć krachem na rynku kredytów mieszkaniowych.

Warto jednak pamiętać, że spadki wyglądają tak okazale, gdyż zadziałał efekt bazy. Latem zeszłego roku banki udzieliły rekordowej liczby kredytów. Był to czas prawie zerowych stóp NBP, ponieważ seria podwyżek rozpoczęła się dopiero w październiku. Rynek spada więc z wysokiego pułapu.

Niestety jak na razie nie ma co liczyć na spadek cen nieruchomości. Ich wzrost co najwyżej wyhamuje. Deweloperzy błyskawicznie zareagowali na spadek zdolności kredytowej i ograniczyli nowe inwestycje. W sierpniu rozpoczęli budowę zaledwie 5 tys. lokali, a więc o dwie trzecie mniej niż rok wcześniej. Niższa podaż mieszkań będzie hamować spadek cen nieruchomości. Poza tym z powodu inflacji deweloperom również rosną koszty, a trudno przypuszczać, by chcieli sprzedawać lokale poniżej ceny wytworzenia. Na ceny mieszkań wpływać będzie też kryzys uchodźczy. W efekcie w nadchodzących miesiącach o mieszkanie nadal będzie koszmarnie trudno. Mniej pracy będzie mieć za to branża wykończeniowa. Zwolnień raczej nie należy się spodziewać, gdyż i tak brakuje w niej pracowników. ©

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA” co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia – www.rdc.pl
| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

KRAJ W SKRÓCIE

ORZEŁ

Dawni działacze KOR, Mirosław Chojecki, Antoni Macierewicz i Piotr Naimski, zostali odznaczeni przez Andrzeja Dudę Orderem Orła Białego, a my nie zamierzamy podważać ani dawnych zasług wyróżnionych, ani słuszności decyzji obecnego prezydenta.

RESZKA

Zaproszenie Jarosława Gowina na zorganizowane przez byłych prezydentów Aleksandra Kwaśniewskiego i Bronisława Komorowskiego spotkanie liderów opozycji wzbudziło kontrowersje wśród uczestników. „Powiem brutalnie: Gowin będzie raczej rozliczany, a nie będzie rozliczał” – stwierdził Donald Tusk.

MACIEJ WITKOWSKI / REPORTER

ZŁOTO

„To, że pan minister jest atakowany, to nie jest przypadek” – powiedział Jarosław Kaczyński o Przemysławie Czarnku, który „ma kształcić nowoczesnych polskich patriotów i ludzi, którzy nie dadzą się ogłupić”. Nam za komentarz niech posłuży nagłówek Onetu: „Czarnek chce stworzyć »Netflixa dla młodzieży«. Konkurs wygrał wspólnik kuzyna Kaczyńskiego”.

WĘGIEL

Ptaszki ćwierkają, że w PiS trwa konkurs na nowego premiera: prezes partii, dopytywany przez Radio Wrocław o stabilność posady Mateusza Morawieckiego, powiedział, że w tej chwili na to pytanie nie odpowie, bo „jest kwestia rozwiązania tych problemów z węglem, z zimą”.

Polska mistrzem Europy w bezruchu

DWA PROCENT. Taki odsetek Polaków ćwiczy regularnie – czyli co najmniej pięć razy w tygodniu. To jeden z najniższych wyników, kilkukrotnie niższy od wynoszącej 7 proc. europejskiej średniej – wynika z badań Eurobarometru. Ponad połowa naszych rodaków przyznaje, że nie uprawia ćwiczeń, przy czym europejska średnia to 46 proc. Najaktywniejsi są Finowie, Szwedzi i Duńczycy.

Przeciętne europejskie wyniki także nie są zadowalające. Jeden na dziesięcioro respondentów przyznaje, że w ostatnim tygodniu nie odbył nawet 10-minutowego spaceru, a 11 proc. spędza w pozycji siedzącej ponad 8,5 godz. dziennie. Za to coraz więcej osób (37 proc., co oznacza wzrost w porównaniu z 2017 r. o pięć punktów procentowych) przyznaje się do wykonywania ćwiczeń w domu, co można wiązać z doświadczeniem pandemii.

Polskich mizernych wyników nie da się czytać bez kontekstu: coraz bardziej nieruchawa jest młodzież, a 30 proc. uczniów zwalnia się z WF-u. Wątpliwe, czy zmieni coś wprowadzona właśnie zasada, iż do zaniechania ćwiczeń potrzebne jest zaświadczenie od lekarza specjalisty. Bo WF za lekcję niepoważną uważają także rodzice (plastycy i wuefiści są – wedle badań Fundacji Szkoła z Klasą – najrzadziej odwiedzanymi przez nich nauczycielami), a przeładowane podstawy programowe z „ważniejszych przedmiotów” spychają szkolne ćwiczenia do statusu kłopotliwej konieczności. Edukacyjny „wyścig szczurów” po polsku odbywa się z pozycji siedzącej.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Gigant słono zapłaci

KONCERN GOOGLE ma zapłacić ponad 4 mld euro kary za praktyki monopolistyczne – tak zdecydował Sąd UE będący organem Trybunału Sprawiedliwości UE. Koncern zmuszał producentów telefonów, którzy chcieli korzystać z ich systemu operacyjnego Android, do promowania swojej przeglądarki i wyszukiwarki. Komisja Europejska w 2018 r. wyceniła te praktyki na 4,34 mld euro, firma się odwołała, ale z wyniku na pewno nie jest zadowolona, bo sąd jedynie obniżył karę do 4,125 mld euro. Ta najwyższa w historii unijnych władz grzywna dotyczy firmy, która w 2021 r. tylko na reklamach zarobiła ponad 200 mld euro.

Google może jeszcze odwołać się do TSUE. Jednak bez względu na koniec sprawy to Unia Europejska jest w dzisiejszym świecie najbardziej skuteczna w kontroli wszechwładzy gigantów technologicznych. Chodzi nie tylko o wysokość kar, ale też o coraz ambitniejsze próby regulacji prawnych. Google'a czeka jeszcze proces o 25 mld euro za monopol na rynku reklamy internetowej oraz dostosowanie się do nowych unijnych przepisów. ©℗ KRZYSZTOF STORY

PROCES KRYMSKI: INICJATYWA NA RZECZ PRAW CZŁOWIEKA

DRAKOŃSKIE KARY – 17, 15 i 13 lat łagru – otrzymali działacze krymskotatarscy z okupowanego Półwyspu: Nariman Dżelal (wiceprzewodniczący Medżlisu, nieuznawanego przez Rosję samorządowego parlamentu Tatarów) oraz bracia Aziz i Asan Achmetowie. Byli oskarżeni o sabotaż i gromadzenie broni. „Odbieram ten wyrok jako reakcję na nasze dążenie, by żyć w wolności, we własnym demokratycznym kraju (...). Dziś granica między dobrem i złem jest jasna i zrozumiała" – mówił Dżelal w sądzie. Tego samego dnia Kreml ogłosił mobilizację; dochodzą informacje, że na Półwyspie większość kart powołania trafia do Tatarów, choć stanowią tylko ok. 15 proc. mieszkańców Krymu. ©℗ WP

Czego można oczekiwać po Giorgii Meloni

PAWEŁ BRAVO

Nowy włoski rząd poprowadzi wkrótce Giorgia Meloni. Jej partia, Bracia Włosi, w poprzednich wyborach oscylowała wokół 4 proc. poparcia, a teraz dostała ok. 26 proc. Dzięki temu wespół z dwoma doświadczonymi, ale znacznie osłabionymi partnerami prawicowego sojuszu – Matteo Salvinim i Silvio Berlusconim – będzie miała bezpieczną większość w parlamencie.

Jeszcze przed podaniem ostatecznych wyników z gratulacjami pospieszył Mateusz Morawiecki. To nie dziwi, bo Meloni zasiada w tej samej co PiS frakcji w Parlamencie Europejskim, wyrażała podobne podejście do „Brukseli" i bywa porównywana z Viktorem Orbánem. Jednak kalkulacje, że polski obóz władzy zyska w sporach wewnątrzunijnych nowego sojusznika w warstwie faktów, a nie tylko słów, mogą okazać się mylne.

Wprawdzie Meloni obiecała, że zażąda od Komisji Europejskiej renegocjacji tzw. kamieni milowych, od których zależą dalsze wypłaty z pandemicznego funduszu odbudowy (Włochy są największym beneficjentem tego programu) – zwłaszcza gdy idzie o zwiększenie konkurencyjności w gospodarce – ale spotkała się z góry z odmową. Wie zaś, że od bezpiecznego dopływu tych pieniędzy zależy zaufanie rynków do włoskich obligacji. Znaczne skoki ich oprocentowania potrafiły w przeszłości doprowadzić do upadku rządu w Rzymie.

Należy się za to spodziewać zaostrzenia polityki migracyjnej, choć blokady morskie pozostaną w sferze propagandowej fantazji. Co do konserwatywnej agendy kulturowej, pole manewru Meloni może być ograniczone wolnościowymi poglądami większości społeczeństwa. W każdym razie deklaracja francuskiej premier, że Francja i UE będą teraz „uważać na przestrzeganie praw i dostępu do aborcji we Włoszech", może okazać się przeciwskuteczna, bo daje Meloni do ręki łatwy argument o zagrożeniu suwerenności. Ten zaś stanowił paliwo wyborcze dla włoskich populistów w każdym wcieleniu – wcześniej np. Ligi, której Bracia Włosi odebrali sporą część elektoratu. ©℗

Kambodża: ostatni wyrok

KHIEU SAMPHAN zostanie do końca życia w więzieniu – uznał specjalny trybunał ds. osądzenia zbrodni popełnionych w Kambodży w czasie rządów miejscowych komunistów, tzw. Czerwonych Khmerów, w latach 1975-79. Szacuje się, że zamordowali wówczas 1,7 mln Kambodżan. Proces miał charakter odwoławczy: 91-letni dziś Samphan, który był prezydentem i „twarzą" reżimu (faktycznym przywódcą był nieżyjący już Pol Pot), został kilka lat temu uznany winnym ludobójstwa, zbrodni wojennych i zbrodni przeciw ludzkości, i skazany na dożywocie, ale się odwołał.

Był to ostatni proces przed tym sądem, który działał od 2006 r. pod egidą ONZ. Miał mieszany skład, z udziałem sędziów kambodżańskich i międzynarodowych. Udało mu się skazać trzy osoby: prócz Samphana byli to szef ds. ideologii Nuon Chea i szef osławionego aresztu S-21 Kaing Guek Eav (obaj zmarli w więzieniu). Kilku innych oskarżonych umarło przed osądzeniem. Samphan do dziś twierdzi, że o niczym nie wiedział. ©℗ WP / FAZ, DPA

Kolejne pokolenie walczy o wolność Iranu

TE PROTESTY są brutalniejsze i powszechniejsze niż wszystkie poprzednie. Zeszły na poziom miasteczek, a na ulicach nigdy nie było tylu młodych kobiet. Katalizatorem wybuchu w Iranie stała się historia 22-letniej Mahsy Amini, która prawdopodobnie została zakatowana po zatrzymaniu przez policję obyczajową za zbyt luźno założoną chustę. Mimo wyjątkowej agresji policji wieczorami na placach wciąż odbywają się ceremonie palenia hidżabów, a demonstranci stawiają opór.

Wydaje się, że oferta patriarchalnego państwa wyznaniowego przestaje być atrakcyjna dla społeczeństwa, w którym kultura jest na wysokim poziomie, a na uniwersytetach studiuje więcej kobiet niż mężczyzn. Wcześniej ogromnym problemem dla ruchów obywatelskich było przywiązanie wielu Irańczyków do radykalnej wersji szyizmu, która przez wieki stanowiła wyróżnik kraju na tle świata arabskiego i do pewnego stopnia kultywowała pamięć o perskiej tradycji.

Biorąc pod uwagę ogromne złoża gazu i ropy – Iran powinien być regionalną potęgą, a nie pariasem. Kompromis z Zachodem zmieniłby też sytuację Rosji. Putin nie mógłby już szantażować Europy. O to też toczy się ta gra. ©℗ MAREK KĘSKRAWIEC

Podatek Jędraszewskiego

ARTUR SPORNIAK

Metropolita krakowski wydał dekret, który nakłada na podlegające mu kościelne osoby prawne 10-procentowy podatek od przychodu z działalności gospodarczej (pomniejszonego o państwowy podatek) oraz z wynajmu kościelnych nieruchomości (nie dotyczy to mieszkań wynajmowanych księżom oraz pracownikom parafialnym – np. organistom czy zakrystianom). Zgromadzone w ten sposób pieniądze mają pomóc parafiom borykającym się z inflacją i kryzysem energetycznym.

Podatek dotyczy przede wszystkim parafii, także sanktuariów diecezjalnych, np. Sanktuarium Jana Pawła II – ale już nie tych prowadzonych przez zakony. Jeśli Uniwersytet Papieski Jana Pawła II prowadzi działalność gospodarczą, także będzie musiał płacić. Z takiego obowiązku zwolnione są natomiast publiczne stowarzyszenia wiernych, jak np. Arcybractwo Miłosierdzia.

Jeśli pominąć kwestię, czy opodatkowany nie powinien być raczej dochód, a nie przychód (bo niektóre kościelne przedsięwzięcia mogą wskutek nowej daniny stracić rentowność), dekret jest krokiem w dobrym kierunku. W każdej diecezji powinien funkcjonować przejrzysty system niwelowania różnic w zamożności parafii. W ten sposób te borykające się z kłopotami finansowymi szybko otrzymywałyby wsparcie, a wśród księży przestałby mieć takie znaczenie „ranking parafii". Problem w tym, że nie bardzo wiadomo, na jakich zasadach ma być rozdzielane wsparcie z pieniędzy otrzymanych dzięki nowemu podatkowi. Szkoda, że dekret przy okazji nie wprowadza zasady: więcej pieniędzy, większa transparentność. ©℗

Modlitwa za pary jednopłciowe

BISKUPI FLAMANDZKIEJ CZĘŚCI BELGII zatwierdzili formę nabożeństwa z udziałem par jednopłciowych. Inicjatywa spotkała się z gwałtowną krytyką – lamentowano, że episkopat Flandrii chce wprowadzić niezgodne z nauką Kościoła, *quasi*-małżeńskie błogosławieństwo par homoseksualnych. Belgijscy biskupi wyjaśniali, że nie chodzi o *quasi*-sakrament, ale – jak zaleca adhortacja „Amoris laetitia" – o to, by „pomóc każdemu w znalezieniu jego sposobu uczestnictwa we wspólnocie kościelnej".

Podczas nabożeństwa para dziękuje Bogu, że mogła się odnaleźć, i wyraża wolę bycia „razem w każdej życiowej sytuacji" oraz „pracowania dzień po dniu nad wspólnym szczęściem". Modli się: „Ufamy Twojej bliskości, chcemy żyć Twoim słowem, oddani sobie na zawsze".

Wspólnota dopowiada: „Znasz ich serca i drogę, którą od teraz będą razem podążać. Spraw, by ich wzajemne zaangażowanie było silne i wierne. Niech ich dom będzie pełen zrozumienia, wyrozumiałości i troski. Niech będzie miejscem pojednania i pokoju. Niech miłość, którą dzielą, przyniesie im radość i sprawi, że będą służyć naszej społeczności". ©℗ PS

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

SWÓJ I OBCY

„Otwartość i solidarność względem cudzoziemca nie są dla chrześcijanina wyłącznie odruchem humanitarnym, lecz nade wszystko praktykowaniem religijnych nakazów, stają się moralną powinnością" – czytamy w komunikacie Rady Konferencji Episkopatu Polski ds. Migracji, Turystyki i Pielgrzymek z okazji 108. Światowego Dnia Migranta i Uchodźcy.

ZBRODNIA I KARA

Dominikanin Paweł M. został skazany na 4 lata bezwzględnego pozbawienia wolności za gwałt na kobiecie i zmuszanie jej do innej czynności seksualnej w okresie od maja 2011 do sierpnia 2018 r. – poinformował Sąd Okręgowy w Częstochowie. Wcześniej zakonnik we wspólnotach, których był duszpasterzem, wielokrotnie dopuszczał się przemocy seksualnej i psychicznej wobec dorosłych kobiet – co wykazała specjalna komisja. Prowincjał dominikanów przypomniał, że wobec M. toczy się postępowanie kanoniczne.

WOJNA I POKÓJ

„Wojsko jest powołane po to, by nie prowadzić wojny, ale żeby stać na straży pokoju i bezpieczeństwa" – powiedział biskup polowy Wojska Polskiego Wiesław Lechowicz w sanktuarium Matki Bożej Ostrobramskiej w Skarżysku-Kamiennej podczas pielgrzymki pracowników polskiego przemysłu zbrojeniowego.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

Watykańskie Davos w Asyżu

PONAD TYSIĄC MŁODYCH teoretyków i praktyków ekonomii odpowiedziało na wezwanie papieża, by „odrzucić paradygmaty XX wieku" i wsłuchać się w „krzyk ludów i ziemi". Podczas ubiegłotygodniowego spotkania w Asyżu Franciszek dał im trzy rady: by patrzyli na świat oczami najbiedniejszych, nie zapominali o znaczeniu pracy fizycznej, nawet gdy są naukowcami czy biznesmenami, i zawsze konfrontowali idee z rzeczywistością. „Nie wystarczy malować ściany, gdy cała struktura domu wymaga przebudowy" – przestrzegał.

O konieczności „re-animowania ekonomii" papież pisał w maju 2019 r., ale zapowiedziane wtedy „watykańskie Davos" uniemożliwiła pandemia. Nie był to jednak czas stracony – uruchomiono platformę *online*, dzięki której zwolennicy „ekonomii Franciszka" mogli się wymieniać doświadczeniami i pomysłami. W mniejszych, lokalnych grupach organizowano „letnie szkoły ekonomii" czy „farmy Laudato si", promujące ekologiczne i etyczne rolnictwo (w Asyżu prezentował je Mateusz Ciasnocha, właściciel 700-hektarowego gospodarstwa rolnego na Żuławach).

„Ekonomia Franciszka" czerpie z tradycji południowoamerykańskich ruchów ludowych, ale katolicy z tego kontynentu stanowili tylko 1/3 uczestników (reprezentantów Europy było 48 proc., Afryki 10 proc., Azji 8 proc., Ameryki Płn. i Oceanii 3 proc.). Plan papieża wymyka się też „tradycyjnym podziałom politycznym", mówiła po konferencji prasowej s. Alessandra Smerilli, sekretarz Dykasterii ds. Integralnego Rozwoju Człowieka i współorganizatorka wydarzenia. Niewielu polityków myśli o „ratowaniu człowieka przed autodestrukcją", a jeśli już – koncentrują się na działaniach doraźnych. Asyskie spotkanie może nie da szybkich efektów – tłumaczyła s. Smerilli – ale „za dziesięć lat ci młodzi ludzie będą prezesami firm i wykładowcami na uniwersytetach. I wtedy zrobią różnicę".

©℗ EDWARD AUGUSTYN z Rzymu

KULTURA W SKRÓCIE

W OBRAZKACH

Podczas gali 33. Międzynarodowego Festiwalu Komiksu i Gier w Łodzi za najlepsze polskie albumy komiksowe minionego roku uznano serię „Wydział 7", nad którą pracują Tomasz Kontny i Marek Turek (scenariusz) oraz Krzysztof Budziejewski i Wojciech Stefaniec (rysunki), a także „Zasadę Trójek", której autorem jest Tomasz Spell Grządziela.

W TŁUMACZENIU

Przekład opowiadań Tadeusza Borowskiego znalazł się wśród książek nominowanych do Narodowej Nagrody Tłumaczeniowej przyznawanej przez Amerykańskie Stowarzyszenie Tłumaczy Literatury. Wyróżniona Madeline G. Levine jest już laureatką nagrody Found in Translation za tłumaczenie prozy Brunona Schulza. Z kolei Katja Wolters otrzymała jedną z najważniejszych gruzińskich nagród literackich – Saba Literary Award – za przekład „Ksiąg Jakubowych" Olgi Tokarczuk. Wolters ma już na koncie trzy tłumaczenia polskiej noblistki.

W OBIEKTYWIE

Rozpoczął się bydgoski Vintage Photo Festival, na którym zobaczymy m.in. niepublikowane dotąd zdjęcia Wandy Rutkiewicz z Himalajów. Ciekawy – szczególnie w obliczu ostatnich wydarzeń w Iranie – jest reportaż Giulii Frigieri przedstawiający rewolucyjny ruch hidżabskich surferek zapowiadający zbliżające się „fale wolności".

W CZYTELNI

Natomiast 4 października w Czytelni Elektra należącej do Mazowieckiego Instytutu Kultury duet The Pau & Bajzel zaśpiewa wiersze Marii Konopnickiej w nowych, rockowych aranżacjach. Udział w koncercie jest bezpłatny.

FILMOTEKA NARODOWA

FRANCISZEK PIECZKA ZMARŁ 23 WRZEŚNIA. Wybitny aktor teatralny i filmowy miał 94 lata. Dekady mijały niczym pory roku w scenie (na zdjęciu) z „Jańcia Wodnika" w reżyserii Jana Jakuba Kolskiego, a on trwał na własnej ławeczce. Dawał z niej lekcje wrażliwości i uważności na tych, co żyją na obrzeżach społeczności. Postaci, w które się wcielał – pozornie naiwne i dobroduszne – dźwigały w sobie ciemność i krzywdy. Może dlatego często były kadrowane z głową zwróconą w górę – doświadczyły dość, by odwrócić wzrok od świata. Przede wszystkim jednak wydobywał w tych kreacjach zatroskanie: o siebie, o innych i przelatujące nad głową ptaki. Jak mało kto spotykał się z powszechną sympatią, nie tylko jako aktor, lecz również osobowość. Grał tak, jakby gdzieś na drodze rozdawał gruszki wyjęte z kapelusza. Sięgał w głąb, zawsze znalazła się jeszcze jedna. Bo jak to, gruszek miałoby braknąć? ©℗ GB

Kto jest autorem grafik tworzonych przez AI

WYOBRAŹ SOBIE ASTRONAUTĘ w kombinezonie inspirowanym rokoko. Albo Harry'ego Pottera *à la* Beksiński. Przez media przelała się fala obrazów generowanych za pomocą narzędzi opartych na sztucznej inteligencji, która na podstawie podanego opisu, odwołując się do zasobów sieci, tworzy ilustracje na zadany temat. Najsłynniejszym z takich generatorów – bo otwartym i bezpłatnym – jest Midjourney.

Produkowane w ogromnych ilościach grafiki miały ich twórcom służyć do zabawy, a sztucznej inteligencji pozwolić uczyć się i rozwijać. Tymczasem jedna ze stworzonych w Midjourney prac przyniosła artyście z Kolorado wygraną w konkursie graficznym. Autorka innej walczy o prawa autorskie do stworzonej postaci argumentując, że sztuczna inteligencja „asystowała" tylko w procesie twórczym.

Kodeksy nie przewidują jeszcze ochrony praw autorskich dla utworów generowanych przez AI. Kwestia jest ciekawa, także w kontekście społeczno-etycznym. Już teraz, dla uniknięcia komercyjnego wykorzystania narzędzi takich jak Midjourney, agencja Getty Images zakazała sprzedaży tworzonych z pomocą AI grafik, tłumacząc swój krok troską o artystów. Czy słusznie?

Półtora wieku temu uważano, że fotografie nie powinny być chronione prawem autorskim, ponieważ przedstawiają jedynie to, co widać. Robienia zdjęć nie traktowano jako akt twórczy, tylko efekt działania maszyny. ©℗ MOC

Jarmuż? Fuj

KOBIETY były między 32. a 36. tygodniem ciąży. Połowa dostała do połknięcia kapsułkę ze sproszkowaną marchewką, druga połowa – taką samą kapsułkę z jarmużem. Nie mogły poczuć smaku ani zapachu warzyw, ale to nie one były osobami badanymi. Zespół Beyzy Üstün interesowało to, jak na żywność zareaguje rozwijające się dziecko.

Dla niego środowiskiem życia są wody płodowe i substancje, które do nich trafiają. Tam młody organizm doświadcza pierwszych wrażeń zmysłowych i przygotowuje się do życia po porodzie. Po 20 minutach od podania kapsułki badacze wykonywali przez 25 minut USG.

Okazało się, że płody, którym podano marchewkę, podczas USG znacznie częściej się uśmiechały. Z kolei te, które trafiły do grupy z jarmużem, najczęściej się krzywiły. To pierwszy dowód na to, że płód człowieka reaguje mimiką na wrażenia smakowe i zapachowe wywoływane przez substancje spożywane przez matkę. Teraz badacze chcą sprawdzić, czy dieta kobiety podczas ciąży wpływa na preferencje smakowe płodu. ©℗ ŁK

OMAR MARQUES / GETTY IMAGES

Abp Marek Jędraszewski, Niedziela Palmowa w katedrze wawelskiej, Kraków, 28 marca 2021 r.

TEMAT TYGODNIKA

KOŚCIÓŁ JEST ZAMKNIĘTY

Wysłanie księdza podejrzewanego o przestępstwa seksualne do pracy w domu pomocy społecznej. Sojusz z władzą. Czystki w kolejnych kuriach. Co historia Marka Jędraszewskiego mówi o Kościele?

ANNA GOC, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI, MARCIN ŻYŁA

Arcybiskup Jędraszewski dał kościelnej hierarchii w Polsce iluzję czegoś, czego jej najbardziej brakuje: wizji. Tak uważa Zbigniew Nosowski, redaktor naczelny „Więzi".

– Właśnie wizji, nie przywództwa – mówi. – Biskupom nie przeszkadza historia z Kpinomirem, która kompromituje arcybiskupa jako intelektualistę i naukowca [abp Marek Jędraszewski w pracy naukowej powołał się na rzekomego kronikarza, wymyślonego dla żartu przez historyka Philipa Steele'a w primaaprilisowym artykule dla „Rzeczpospolitej" – red.], bo oni nie rozumieją jej znaczenia w świecie intelektualnym. Wielu rozumuje tak: może z tą „tęczową zarazą" to trochę przesadził, ale jednak daje nam poczucie pewności w zmieniającym się świecie; diagnozę, której potrzebujemy, bo jesteśmy zagubieni.

Bliższe spojrzenie na trwającą już ćwierć wieku aktywność Marka Jędraszewskiego w roli hierarchy polskiego Kościoła ukazuje jednak o wiele więcej. Oto pierwsza część tej opowieści. Drugą opublikujemy w kolejnym numerze.

Wierni wystawiają rachunek

Są sprawy, o których mówi się głośno.

Kraków, wrzesień 2022 r. Wśród miejscowych księży krąży dokument. To tzw. synteza synodalna, którą – zgodnie z wytycznymi Watykanu – każda diecezja miała opublikować do końca czerwca. Dokument krakowskiego Kościoła nie ujrzał jednak światła dziennego, a księża mogą tylko spekulować o tym, kto i dlaczego go zablokował.

W syntezie zebrano wnioski świeckich i duchownych biorących udział w sondzie, którą z polecenia papieża przeprowadzono w Kościele na całym świecie. Jeden z księży przesyła nam zdjęcia dokumentu.

Inny ksiądz, który prosi o anonimowość, potwierdza jego wiarygodność. – Nie wiemy, dlaczego dokument został utajniony, sądzimy jednak, że powodem może być to, że sporo w nim uwag, które bezpośrednio odnoszą się do abp. Jędraszewskiego – mówi.

W dokumencie czytamy: „Niestety, w wypowiedziach bardzo emocjonalnych pojawia się wielokrotnie zarzut o prześladowaniu i poniżaniu osób homoseksualnych. W rezultacie, Kościół jawi się jako instytucja ksenofobiczna, homofobiczna, niekierująca się postawą miłości".

> „Kościół jawi się jako instytucja ksenofobiczna, homofobiczna, niekierująca się postawą miłości" – czytamy w nieopublikowanej dotąd syntezie synodalnej metropolii krakowskiej.

– W syntezie widać wyraźny rozdźwięk między metropolitą a księżmi – mówi nam duchowny. – Wielu z nich razi upolityczniona działalność duszpasterska Marka Jędraszewskiego. Przywołana zostaje także kontrowersyjna sprawa ślubu Jacka Kurskiego, ówczesnego prezesa TVP, z Joanną Klimek – byli po stwierdzeniu nieważności małżeństw, a ponownego ślubu kościelnego udzielono im w sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Krakowie-Łagiewnikach.

Schemat się powtarza. Łódź, rok 2016, końcówka rządów abp. Marka Jędraszewskiego w tej diecezji. Grupa miejscowych duchownych i świeckich pisze list m.in. do nuncjusza i przewodniczącego episkopatu. Wystawia ustępującemu metropolicie rachunek, w którym jedną z pozycji jest wybudowany z jego inicjatywy pomnik smoleński: „Zapakujemy i wyślemy do Krakowa. Poprosimy o zwrot diecezjalnych pieniędzy przeznaczonych na budowę oraz zwrot kosztów transportu tej ikony religii smoleńskiej". Autorzy piszą również o czystkach i politycznym uwikłaniu metropolity.

Niska szkodliwość czynu

Są też sprawy, które po latach jego rządów w kolejnych diecezjach wciąż obciążają jego konto. Niektóre pozostają niewyjaśnione.

Sprawa pierwsza: wysłanie księdza podejrzewanego o przestępstwa seksualne do pracy w domu pomocy społecznej.

Październik 2013 r. Dziennikarka z Piotrkowa Trybunalskiego Anna Wiktorowicz umawia się na spotkanie z ks. Ireneuszem Bochyńskim, wpływowym w mieście duchownym. Niedawno świat obiegła wypowiedź abp. Michalika o dzieciach „lgnących do dorosłych" – Wiktorowicz chce poprosić o komentarz „rozsądnego duchownego".

Ale gdy słucha odpowiedzi na swoje pytania, jest w szoku. Z opublikowanej 18 października na portalu epiotrkow.pl i w „Tygodniku Trybunalskim" rozmowy w świat pójdzie głównie jeden fragment. Duchowny mówi, że zna przypadki dzieci 10-letnich i starszych, „gdzie ich życie intymne potrzebowało wcześniejszego zaspokojenia. Same dzieci »wchodziły« do łóżek dorosłych, chcąc być spełnionym. I to był wybór dziecka".

Wokół wywiadu zalega początkowo cisza, interweniować próbuje łódzka posłanka PO Elżbieta Radziszewska. – Na fali tej publikacji zaczęły do mnie docierać informacje, że ks. Bochyński mógł być także sprawcą nadużyć – wspomina. – Starałam się na wszystkie sposoby dotrzeć do abp. Jędraszewskiego, ale natrafiłam na barierę w kurii. Udało się za pośrednictwem jezuity o. Adama Żaka [wtedy już koordynatora ds. ochrony dzieci i młodzieży przy episkopacie – red.]. Metropolita przyjął mnie chłodno. W zasadzie nie zareagował, niczego nie skomentował. Wyszłam głęboko zawiedziona i z towarzyszącym mi poczuciem bezradności.

Ciszę w ogólnopolskich mediach przerywa 6 listopada Tomasz Terlikowski, nagłaśniając (wraz z Tadeuszem Grzesikiem) lokalną publikację na portalu fronda.pl. Kuria reaguje, ale w oświadczeniu potępia... nieposłuszeństwo duchownego: „Ks. Ireneusz Bochyński udzielił wywiadu bez zgody swoich przełożonych". Sam Bochyński przeprasza za... „zło wyrządzone Kościołowi".

Posłanka zawiadamia nuncjusza, którym jest wówczas Celestino Migliore. Ten wzywa abp. Jędraszewskiego, przedstawiając mu nie tylko fakty dotyczące ks. Bochyńskiego, ale też innego duchownego archidiecezji oskarżonego o przestępstwa. Dopiero wtedy na stronach kurii ukazuje się notka o zawieszeniu kapłanów.

Kończy ona w zasadzie tę historię, jeśli chodzi o medialne doniesienia – wiele osób z lokalnego Kościoła pozostanie z przekonaniem, że archidiecezja zareagowała w porę na skandal. Nasze ustalenia wskazują na coś przeciwnego.

Pracę zaczyna kurialna komisja złożona z trzech księży i biegłego seksuologa: ma poprowadzić postępowanie

przygotowawcze, które może skończyć się procesem kanonicznym przed watykańską Kongregacją Nauki Wiary. Badane są dwa przypadki, w których duchowny podejrzany jest o skrzywdzenie nieletnich. Wśród przesłuchanych są m.in. kapłani z parafii, w których pracował Bochyński.

Ale tylko z dwóch parafii, których dotyczyły zgłoszenia. – Dlaczego nie ze wszystkich? – pytamy.

– W ramach postępowań przygotowawczych nie ma praktyki sprawdzania miejsc, z których nie było zgłoszeń – tłumaczy obecny rzecznik łódzkiej kurii ks. Paweł Kłys.

– Rozmowa ze wszystkimi proboszczami podejrzanego nie jest oczywistym ruchem dla instytucji chcącej się uwiarygodnić i zabezpieczyć kolejne ewentualne ofiary? – dopytujemy.

– Nie mówię, że kontakt z proboszczami jest niemożliwy, tylko że nie praktykuje się go w ramach postępowania. A czy ówczesny arcybiskup kontaktował się z pozostałymi parafiami ks. Bochyńskiego, tego nie wiem.

Odwiedziliśmy np. ks. Zygmunta Czyża, dziś emerytowanego kapłana parafii św. Floriana w Sulejowie, w latach obecności tu ks. Bochyńskiego (1990-92) proboszcza. Zaprzecza, by ktokolwiek z kurii pytał go o cokolwiek w związku z tą sprawą. Do innego z proboszczów, który nie zgodził się rozmawiać pod nazwiskiem, też nikt z kurii się w tej sprawie nie zwrócił.

W marcu 2014 r. dokumenty sprawy ma już Kongregacja Nauki Wiary. Po ośmiu miesiącach wydaje orzeczenie, w jednym przypadku stwierdzając przedawnienie, a w drugim brak swojej kompetencji do osądzania sprawy – ze względu na wiek domniemanego pokrzywdzonego.

W tym czasie trwają też dochodzenia państwowe. W grudniu 2013 r. prokuratura Łódź-Polesie ze względu na przedawnienie odmawia ponownego wszczęcia śledztwa w sprawie, w której toczyło się ono 14 lat wcześniej. W 1999 r. matka 16-latka, którego kolonijnym opiekunem na Słowacji był ks. Bochyński, doniosła na podstawie relacji dziecka, że duchowny proponował chłopakowi złączenie łóżek, a w nocy usiłował przesuwać rękę chłopaka po swoim przyrodzeniu. Księdza przeniesiono do innej parafii, śledztwo zostało umorzone z powodu... niskiej szkodliwości. Podobny los spotkał inne dochodzenia po medialnej aferze z 2013 r.

GRZEGORZ JAKUBOWSKI / PAP

Życie arcybiskupa

1967 Po maturze w I LO im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu Marek Jędraszewski idzie do seminarium. W kolejnych latach studiuje na Papieskim Wydziale Teologicznym (dziś Wydział Teologiczny UAM; jako pracownik naukowy będzie z nim związany do 2012 r.) i Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie, gdzie w 1979 r. broni pracę doktorską nt. filozofii Emmanuela Levinasa.

1990 Zostaje redaktorem naczelnym „Przewodnika Katolickiego", najstarszego tygodnika społeczno-religijnego w Polsce.

1997 Otrzymuje święcenia biskupie; głównym konsekratorem jest abp Juliusz Paetz, od ponad roku metropolita poznański. Jan Paweł II mianuje Jędraszewskiego biskupem pomocniczym archidiecezji.

2001 Po pierwszych publikacjach prasowych o tym, że abp Juliusz Paetz molestował kleryków poznańskiego seminarium, podczas spotkania z księżmi dziekanami bp Jędraszewski namawia do podpisywania listu w obronie metropolity.

2012 Benedykt XVI mianuje Marka Jędraszewskiego arcybiskupem metropolitą łódzkim. Dwa lata później zostaje on zastępcą przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski. Obecnie jest też m.in. członkiem Komisji Wychowania Katolickiego i Rady ds. Duszpasterstwa Młodzieży.

2016 Z mianowania papieża Franciszka Marek Jędraszewski zostaje arcybiskupem metropolitą krakowskim.

„Decyzja Jędraszewskiego to skandal"

Jak duchownego mającego na koncie publiczne usprawiedliwienie pedofilii, kilka postępowań prokuratorskich, a także orzeczenie Watykanu bez stwierdzenia winy, ale też niewinności, traktowała kuria za czasów abp. Jędraszewskiego? Jak tykającą bombę. Gdyby tak nie było, ten stosunkowo młody jeszcze kapłan nie przebywałby do października 2016 r. w łódzkim Domu Księży Emerytów.

Wtedy jednak abp Jędraszewski dzwoni do ówczesnego prowincjała bonifratrów br. Eugeniusza Kreta, w efekcie czego ks. Bochyński trafia do zakonnego konwentu w Konarach nieopodal Krakowa. Podejmuje tu pracę w Domu Pomocy Społecznej i dwóch dziennych placówkach. To instytucje dające schronienie dorosłym – w tym młodym – mężczyznom z niepełnosprawnością intelektualną, fizyczną, a także chorującym psychicznie. A więc osobom zależnym i szczególnie narażonym na nadużycia.

Z punktu widzenia dokumentacji kościelnej ks. Bochyński będzie w Konarach przez długi czas widmem: umowa z 2016 r. zawierana jest ustnie na linii arcybiskup–prowincjał. – Kto i kiedy zadecydował, by ks. Bochyński posługiwał w placówkach, tego nie wiem – mówi ks. Kłys.

Jednoznacznie na to pytanie odpowiada za to br. Łukasz Dmowski, do kwietnia tego roku prowincjał zakonu: – Ks. Bochyński był w bonifraterskich placówkach na prośbę i za zgodą swojego ordynariusza. Od początku był także oficjalnie zatrudniony.

– Bywa, że osoby zależne, niepełnosprawne podchodzą do bliskości nietypowo. Naprawdę trzeba mieć poukładane w głowie, by w takim miejscu pracować. Każdy fachowiec wie, że osoba z taką przeszłością jak ks. Bochyński nie powinna tu trafić – słyszymy od byłego pracownika bonifraterskich instytucji.

Nasz rozmówca opowiada też, że ks. Bochyński angażował się w kontakty z mieszkańcami: – Będąc kapelanem w DPS-ie, miał z nimi nieograniczony i częsty kontakt, wielokrotnie sam na sam, np. w czasie spowiedzi, ↦

↦ ale też w trakcie podróży samochodem z młodym, niepełnosprawnym intelektualnie mieszkańcem.

W czerwcu 2019 r. sytuacja duchownego w Konarach ulega zmianie: ówczesny przeor – wobec braku dokumentacji dotyczącej Bochyńskiego – prosi o nią będącego już arcybiskupem Łodzi Grzegorza Rysia. Ten przydziela kapłanowi kościelnego kuratora, i pozwala zostać w Konarach niecały rok. Później Bochyński trafi z powrotem do Łodzi, następnie wyjedzie na misję do Turcji. Co tam dokładnie robi i czy łódzka kuria pod obecnym kierownictwem sprawuje nad nim kontrolę? – do czasu ukończenia pracy nad tym tekstem nie dostaliśmy odpowiedzi na to pytanie.

O ocenę decyzji abp. Jędraszewskiego o wysłaniu Bochyńskiego do pracy w DPS-ie poprosiliśmy Tomasza Terlikowskiego, szefa komisji wyjaśniającej głośne nadużycia Pawła M. z zakonu dominikanów, i Błażeja Kmieciaka, przewodniczącego Państwowej Komisji ds. Pedofilii.

– To mniej więcej tak, jakby osobę oskarżaną o wykorzystywanie dzieci zatrudniono jako duszpasterza w domu dziecka – mówi krótko Kmieciak.

Terlikowski buduje inną analogię: – Czy gdybyśmy mieli wiarygodne doniesienie o gwałcie księdza na kobiecie, to ktokolwiek wysłałby takiego człowieka do zgromadzenia żeńskiego? Skoro istotą oddalenia oskarżeń nie było uznanie, że były nieprawdziwe, tylko że się przedawniły, względnie dotyczyły osób powyżej jakiegoś wieku, to ktoś wysyłający takiego księdza do DPS-u dla osób zależnych bierze na siebie wielką odpowiedzialność. Decyzję abp. Jędraszewskiego w tej sprawie uważam za nieodpowiedzialną i skandaliczną.

Za kulisami

Na ten element zwraca uwagę wielu naszych rozmówców: abp Marek Jędraszewski stara się być wzorem reagowania na podejrzenia o przestępstwa seksualne.

Tak było – przynajmniej na użytek opinii publicznej – w sprawie ks. Bochyńskiego w Łodzi. Tak jest w Krakowie, gdzie działania na rzecz ochrony dzieci i młodzieży uchodzą za wzorcowe. – Można by powiedzieć, że służące im struktury powstały pod Wawelem przed Jędraszewskim – mówi redaktor naczelny „Więzi" Zbigniew Nosowski.

SŁOWA ARCYBISKUPA

■ ■ ■ O RODZINIE, 2012:

Rodzina w jej kształcie, w jej rozumieniu, jako podstawowej struktury społecznej, jest zagrożona, odrzucana i lekceważona. Stąd te prawdziwe nieszczęścia, które trapią także polskie społeczeństwo: wolne związki, rozwody, podważenie najbardziej podstawowej roli mężczyzny i kobiety, ucieczka od dzieci, dla których nie chce się mieć czasu, i ucieczka przed dziećmi, poprzez rzucanie się w otchłań antykoncepcji i aborcji.

■ ■ ■ O RASIE, 2013:

Mogę sobie łatwo wyobrazić, że za jakiś czas, mam nadzieję, że sam tego nie dożyję, że w roku 2050 nieliczni biali będą pokazywani innym rasom ludzkim – tu, na terenie Europy – tak jak Indianie są pokazywani w Stanach Zjednoczonych w rezerwatach. Byli sobie kiedyś tacy ludzie, którzy tu zamieszkiwali, ale przestali istnieć na własne życzenie, ponieważ nie potrafili uznać tego, kim są od strony biologicznej.

■ ■ ■ O PROTESTACH PRZECIW ZAOSTRZENIU PRAWA ABORCYJNEGO, 2016:

To, co się dzieje, te czarne marsze są przerażającą współczesną manifestacją cywilizacji śmierci. Chce się dzisiaj bronić anty-Ewangelii. Można by powiedzieć, czarnej Ewangelii.

■ ■ ■ O POSTPRAWDZIE, 2017:

Czas, w którym przyszło nam żyć, jest czasem ogromnego kryzysu kulturalnego. W którym nie ma miejsca na prawdę. Nie bez powodu Uniwersytet w Oxfordzie ogłosił, że słowem kluczem do zrozumienia naszych czasów jest postprawda. Nie liczą się żadne argumenty obiektywne. Nie liczy się żadne uczciwie dążenie do prawdy. Ważne są tylko narracje odwołujące się do emocji, do ludzkich uprzedzeń, lęków.

■ ■ ■ O LGBT, 2019:

Czerwona zaraza po naszej ziemi na szczęście nie chodzi. Co wcale nie znaczy, że nie ma nowej, która chce opanować nasze dusze, serca i umysły. Nie marksistowska i bolszewicka, ale zrodzona z tego samego ducha – neomarksistowska. Nie czerwona, ale tęczowa.

– Ale on mógłby też je rozwalić czy zneutralizować. Nie robi tego, bo wie, że właśnie za to będzie oceniany.

Z drugiej strony jest wyraźna, choć okazywana głównie za kulisami niechęć do tej tematyki – np. do publikowania na stronie kurii not dotyczących ochrony przed pedofilią. Inny przykład przytacza Nosowski – dotyczy wyjazdu Jędraszewskiego do Watykanu (w zastępstwie abp. Stanisława Gądeckiego) w lutym 2019 r. na szczyt przewodniczących episkopatów ws. przestępstw seksualnych.

– Wszyscy skupili się na tym, że Jędraszewski z tego szczytu przedwcześnie wyjechał, a moją uwagę zwróciło coś jeszcze – opowiada Nosowski. – Każdy dzień obrad zaczynał się od świadectwa osoby skrzywdzonej. Jedno z nich zostało wygłoszone przez polskiego zakonnika, który jako nastolatek został wykorzystany przez księdza. Opowiadał w Watykanie o byciu po latach zaatakowanym i zlekceważonym przez biskupa, przełożonego sprawcy. Świadectwo to było przedstawione po włosku, nie wszyscy może nawet załapali, że mówił to człowiek z Polski. Natomiast Jędraszewski miał tego pełną świadomość. Wkrótce po powrocie do Polski miał w Kalwarii Zebrzydowskiej spotkanie z księżmi krakowskimi podczas pielgrzymki pokutnej. Powiedział im: „Było tam także świadectwo z Polski. To było trudne doświadczenie". Sęk w tym – kontynuuje Nosowski – że później, wedle mojej wiedzy, metropolita krakowski nie zrobił nic, by w tej sprawie zainterweniować. A w polskiej książkowej dokumentacji watykańskiego sympozjum świadectwo owego duchownego zostało przedstawione jako wygłoszone przez włoskiego zakonnika.

Zasady

Sprawa druga: sojusz z władzą.

28 stycznia 2017 r., katedra wawelska. Prezydent Andrzej Duda, marszałek Sejmu Marek Kuchciński, marszałek Senatu Stanisław Karczewski, premier Beata Szydło, a także Jarosław Kaczyński, Antoni Macierewicz, Jarosław Gowin i wielu innych polityków. Zaczyna się krakowski ingres abp. Marka Jędraszewskiego.

Choć dla obserwatorów krakowski metropolita jest twarzą prawicowego radykalizmu dopiero w ostatnich latach, to

podobne poglądy wyrażał już znacznie wcześniej.

W listopadzie 1990 r. ks. Jędraszewski pojawia się w stopce „Przewodnika Katolickiego". Przez kolejne lata będzie dla tego tygodnika pisał wstępniaki i przeglądy prasy. Dają one wgląd w opinie czterdziestoparoletniego księdza na temat sporów, które targały Polską tamtych lat.

Abp Jędraszewski jest konsekwentny. Jego zdaniem po upadku komunizmu, niemal wcielonego zła, przychodzą inne zagrożenia: Zachód (krytykuje hasło „powrotu do Europy") i skojarzony z nim humanizm świecki czy „humanizm bez Boga". Bierze na warsztat kolejne „cele", np. ówczesnego rzecznika praw obywatelskich Tadeusza Zielińskiego za jego postawę w sporze o aborcję. Pod koniec 1992 r. pisze o AIDS – homoseksualizm nazywa brakiem ładu moralnego, który zagraża cywilizacji. Homoseksualistów porównuje do narkomanów, „Gazetę Wyborczą" – do biuletynów PZPR. W jednym z numerów z 1993 r. wymaga od matki poświęcenia życia dla życia dziecka. Coraz częściej atakuje WOŚP.

Z jego publicystyki w latach 90. przebija myśl, że państwo nie powinno działać tylko na podstawie prawa. Nie ma przecież, argumentuje, prawa doskonalszego niż Boskie.

ARTUR WIDAK / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Abp Marek Jędraszewski rozmawia z prezydentem RP Andrzejem Dudą i jego małżonką Agatą Kornhauser-Dudą po zakończeniu mszy świętej. Centrum Jana Pawła II w Krakowie-Łagiewnikach, 18 maja 2020 r.

Otwieranie–zamykanie

Byli bliscy współpracownicy hierarchy twierdzą, że jeszcze po przyjeździe do Krakowa niechętnie fotografował się z politykami. I że chciał odczarować swój wizerunek „kapelana PiS-u". Ale za kulisami niezmiennie przyjmuje prominentnych polityków.

Jakie jest znaczenie aliansu z PiS-em? Czy jest on doktryną całego episkopatu, czy może tylko wybranych biskupów, na czele z abp. Jędraszewskim? – PiS potrzebuje Kościoła jako uzasadnienia własnego programu, Kościół dostaje od PiS-u poczucie bezpieczeństwa i gwarancję przywilejów – tłumaczy Zbigniew Nosowski. I dodaje, że w trzyosobowym Prezydium Episkopatu dwie osoby, abp Jędraszewski i sekretarz, bp Artur Miziński, są jednoznacznymi zwolennikami partii rządzącej.

– Abp Gądecki przynajmniej wie, że tak być nie powinno – komentuje redaktor naczelny „Więzi". – Jeszcze przed wyborami w 2015 r. wprowadził jako pierwszy nowy rodzaj dokumentu: oświadczenie przewodniczącego KEP. Wcześniej były oświadczenia albo Konferencji, albo Rady Stałej, albo Prezydium. Nowa formuła to sygnał, że są rzeczy, pod którymi dwaj pozostali członkowie Prezydium by się nie podpisali. Pamiętam np. dokument, w którym przewodniczący pisał, że należy popierać programy chroniące życie poczęte, ale nie można się wiązać z żadnym konkretnym projektem politycznym.

Lękajcie się

Sprawa trzecia: czystki w kolejnych kuriach, wprowadzanie szarych eminencji, syndrom oblężonej twierdzy.

Choć sporo osób odmówiło, udało nam się porozmawiać z kilkoma byłymi pracownikami krakowskiej kurii. Nikt ostatecznie nie zdecydował się wystąpić pod nazwiskiem. Co symptomatyczne, odmowy dotyczyły też świeckich, którzy – przynajmniej w sensie formalnym – z dniem zakończenia pracy lub współpracy z archidiecezją w żaden sposób od niej nie zależeli.

– Arcybiskup ma długie macki, szerokie wpływy – usłyszeliśmy od jednej z tych osób. Inna wycofała się ze swoich – i tak od początku anonimowych – wypowiedzi w trakcie autoryzacji.

Powód jest dość oczywisty: w Krakowie – w odróżnieniu od Poznania czy Łodzi, gdzie wcześniej był biskupem – Jędraszewski to nie przeszłość, lecz teraźniejszość.

Z opowieści, których wysłuchaliśmy, wyłania się obraz hierarchy nieufnego, zwalniającego ludzi bez jasnych powodów, coraz szczelniej zamykającego wrota kurii.

Choć początki nie są złe: część krakowskiego duchowieństwa przyjmuje abp. Jędraszewskiego z nadziejami. Od jednego z księży słyszymy np., że hierarcha przyszedł z Łodzi z opinią dbającego o charytatywne dzieła.

Jednak z tygodnia na tydzień coraz mniej osób ma bezpośredni dostęp do abp. Marka Jędraszewskiego. Wśród odsuniętych są także ci, którzy – z racji kurialnych obowiązków – powinni mieć kontakt stały i bezpośredni.

Osoba z bliskiego kręgu krakowskiej kurii: – O każde spotkanie współpracownicy muszą prosić oficjalną drogą, przez sekretarza arcybiskupa, nawet jeśli sprawy, z którymi przychodzą, wymagają natychmiastowej reakcji. Zdarza się, że czekają na odpowiedź miesiąc.

Specjalne zadania dostaje biuro prasowe, którego skład, po krótkim czasie urzędowania arcybiskupa w Krakowie, ulega poszerzeniu. Dołączają m.in. Joanna Adamik, dziennikarka, która będzie kierowała biurem, i Katarzyna ↦

↦ Katarzyńska, operatorka. Kobiety pracują wówczas w Redakcji Programów Katolickich TVP3 Kraków.

Arcybiskup dba o komunikację. Zleca nagrywanie kazań i zamieszczanie ich na stronie kurii. Pojawiają się także relacje ze spotkań, zwłaszcza tych o charakterze charytatywnym i pomocowym.

Hierarcha buduje „własne medium" – stronę internetową. Robi to do tej pory: gdy do Krakowa przyjechali pierwsi uchodźcy z Ukrainy, witał się z nimi na dworcu w towarzystwie fotografa. Wobec doniesień innych mediów na swój temat jest skrajnie nieufny. „Poszczekają, poszczekają i przestaną" – zwykł podobno mawiać, ilekroć pojawiał się krytyczny tekst na temat jego działalności.

Były pracownik kurii opowiada nam, że gdy wybuchła sprawa listy Fundacji „Nie lękajcie się", zawierającej nazwiska biskupów tuszujących pedofilię, pracownice biura prasowego namawiały arcybiskupa, by rozmawiać ze wszystkimi mediami, nie zamykać się „nawet na TVN". – Prosiły, by kuria się do tej sprawy jakoś odniosła. Napisały oświadczenie zawierające również wątek abp. Juliusza Paetza [oskarżanego o molestowanie kleryków ordynariusza diecezji poznańskiej w czasach, gdy Jędraszewski był tam biskupem pomocniczym – red.]. Metropolita krakowski przeczytał je i wpadł w szał. Zaczął wrzeszczeć, rzucać przedmiotami, trzaskać drzwiami – opisuje były pracownik kurii.

Dwór

Inni opowiadają o nieformalnych hierarchiach.

„Znacie księdza Karola? Słyszeliście o pani K.?". Takie pytania padną wielokrotnie.

Ks. Karol Litawa i pani K., zwana przez niektórych „Carycą" – to kurialne szare eminencje. Z opowieści o nich wyłania się obraz funkcjonowania archidiecezji – i krakowskiej, i wcześniej łódzkiej – pod rządami abp. Jędraszewskiego. Kurialny korpus urzędniczy ulega zmianom, nikt nie może spać spokojnie, oni jednak trwają przy arcybiskupie.

> „Znacie księdza Karola? Słyszeliście o pani K.?". Nasi rozmówcy wielokrotnie zwracają uwagę na nieformalne hierarchie w otoczeniu metropolity.

Ks. Litawa to dziś p.o. sekretarza abp. Jędraszewskiego. Wyświęcony w 2005 r., później studiował w Rzymie, by po powrocie wylądować na dworze nowego metropolity. „Niesamowicie oddany i lojalny arcybiskupowi" – słyszymy o nim w Łodzi.

O pani K., germanistce z UAM, próżno szukać oficjalnych kościelnych wzmianek. Poznali się jeszcze w Poznaniu, dzieląc m.in. zainteresowanie filozofią Levinasa. I w Łodzi, i w Krakowie kobieta będzie zaufaną osobą od wszystkiego: spraw porządkowych, organizacyjnych i naukowych, np. od redakcji tekstów. W łódzkich latach abp. Jędraszewskiego K. trzęsła tamtejszą kurią, w budynku której mieszkała: a to podziękowała za współpracę będącym długo przy archidiecezji siostrom zakonnym, a to forsowała własne pomysły organizacyjne. Gdy papież mianuje nowego łódzkiego biskupa pomocniczego, Marka Marczaka, dostaje on wolną rękę w sprawie rozbudowy mieszkania tuż obok domu biskupiego. Remontowi, na który pani K. ma swój pomysł, sprzeciwia się kurialny ekonom. Przypłaca to stanowiskiem.

– Tylko raz zostałem zaproszony na kolację do krakowskiej kurii – słyszymy od osoby do niedawna z bliskiego otoczenia arcybiskupa. – Zdziwiłem się, gdy pojawiła się na niej pani K. Dopiero potem dowiedziałem się, że ma ogromne nieformalne wpływy, jest prawą ręką arcybiskupa, choć nie sprawuje żadnej oficjalnej funkcji.

W Krakowie przez pierwsze tygodnie wiele osób nie wiedziało, jaka jest rola ks. Litawy i dlaczego nagle w krakowskiej kurii pojawił się łódzki duchowny. – „Nasz wicebiskup", tak o nim mówiono – opowiada jeden z naszych rozmówców.

– Kapelan przywieziony w teczce. Sekretarz widmo. Ksiądz, który formalnie jest inkardynowany do diecezji łódzkiej, ale faktycznie przyjeżdża tu z abp. Jędraszewskim. Takiej historii jeszcze nie było – słyszymy od dobrze zorientowanego księdza.

Jeden z byłych pracowników kurii mówi nam, że zarówno pani K., jak i ks. Litawa przynajmniej do niedawna mieszkali lub pomieszkiwali w krakowskiej kurii. Z relacji byłych pracowników wynika, że często jadali wspólnie posiłki, spędzali razem dużo czasu. Ekspracownik: – Wszyscy wiedzieliśmy, że ks. Litawa bywa często w mieszkaniu arcybiskupa, do którego prawie nikt – poza panią odpowiedzialną za sprzątanie i panią K. – nie ma dostępu.

I dalej: – K. dbała o wystrój kurii, decydowała o kolorze ścian, rozmieszczeniu obrazów. Mówiło się w kurii, że to ona była pomysłodawczynią zasłonięcia, a właściwie zamurowania papieskiego okna.

Nasi rozmówcy twierdzą, że abp Jędraszewski nie przepada za stolicą Małopolski, „bo Kraków zgarnął, co mógł,

KOŚCIÓŁ JEST ZAMKNIĘTY

Druga część portretu abp. Marka Jędraszewskiego w kolejnym numerze „Tygodnika", a wcześniej na TygodnikPowszechny.pl

W serwisie tygodnikpowszechny.pl/kosciolzamkniety – konteksty, komentarze, opinie, teksty archiwalne i podkasty

RYS. M. DYAKOWSKI DLA „TP"

w Watykanie". A Watykan, jak podkreśla kilku naszych rozmówców, był jednym z największych marzeń ks. Jędraszewskiego.

W krakowskich kręgach kościelnych krąży telefoniczna aplikacja odliczająca czas do odejścia abp. Marka Jędraszewskiego spod Wawelu. Jeden z księży: – Spytałem niemal rok temu kolegę, który ma to u siebie na telefonie, ile jeszcze. Odpowiedział, że 900 dni. Ja na to, że poniżej tysiąca to już nieźle.

To ja wam dziękuję

Luty 2021 r., krakowski metropolita powołuje w Środę Popielcową Wydział ds. Charytatywnych kurii – ostatnio takie decyzje Kościół podejmował w czasach PRL, gdy komunistyczne władze przejmowały lokalne wydziały Caritas. Abp Jędraszewski tłumaczy decyzję potrzebą „właściwej koordynacji dzieł miłosierdzia".

Ale od kilkorga byłych i obecnych pracowników kurii oraz Caritasu słyszymy, że ta decyzja to próba całkowitego przejęcia kontroli nad działaniami dobroczynnymi. Były pracownik: – Owszem, Caritas była zawsze pod kontrolą kurii, ale trudniej było ręcznie nią sterować, mieć wpływ na każdą decyzję, a także na finanse. To też zwykły pokaz władzy, bo Wydział przejął wiele ważnych, kontrolowanych wcześniej przez Caritas spraw, np. Okno Życia.

Dowiedzieliśmy się, że ks. Bogdan Kordula, długoletni szef Caritas, który za czasów kard. Dziwisza przyzwyczaił się do tego, że może skontaktować się z metropolitą w każdej chwili, teraz musiał się starać o „audiencję" przez dwa miesiące. Jeszcze za jego kadencji arcybiskup wyraźnie komunikuje, że nie życzy sobie ścisłej współpracy organizacji z władzami Krakowa. Pyta, dlaczego Caritas zgłaszała się do konkursów na zlecenie miasta, i chce, by organizacja stała się ściśle kościelna.

> W krakowskich kręgach kościelnych krąży telefoniczna aplikacja odliczająca czas do odejścia abp. Jędraszewskiego spod Wawelu.

W końcu, w 2018 r. metropolita dziękuje za współpracę ks. Korduli, na jego miejsce powołując ks. Andrzeja Kamińskiego. Ale i on straci po trzech latach zaufanie arcybiskupa. W 2021 r. – dowiadujemy się z dwóch różnych źródeł – ks. Kamiński otwarcie sprzeciwia się ograniczeniu autonomii Caritas. W odpowiedzi słyszy: „Skoro ksiądz się sprzeciwia, to ja księdzu dziękuję".

Wrzesień 2019 r. Media donoszą, że abp Jędraszewski zwolnił członkinie swojego biura prasowego. Jednak dopiero ten lakoniczny kurialny komunikat, mający sprostować dziennikarskie doniesienia, wywoła skandal: „Podjęte działania dotyczą zakończenia współpracy jedynie z koordynatorem Biura, panią Joanną Adamik, i jej dwiema najbliższymi współpracowniczkami, które są osobami niezamężnymi (...). Dwie pozostałe osoby, które w życiu prywatnym jako matki tworzą wraz ze swymi mężami katolickie rodziny, nadal pozostają pracownikami".

©℗ ANNA GOC, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI, MARCIN ŻYŁA

- Jak na kościelnej karierze Marka Jędraszewskiego zaważyła sprawa abp. Juliusza Paetza?
- Dlaczego kurie, którymi rządził, stawały się twierdzami?
- I dlaczego nie zostanie kardynałem?

Druga część portretu Marka Jędraszewskiego ukaże się w kolejnym numerze „Tygodnika".

Rozmowy na potrzeby tekstu odmówili nam: abp Marek Jędraszewski, ks. Karol Litawa i abp Stanisław Gądecki; nie udało nam się również skontaktować z ks. Ireneuszem Bochyńskim.

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Klata, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepioło, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Piękna branka

Nie tylko samo mienie, lecz także rodziny pokonanych wrogów są twoim łupem wojennym, zwycięzco – oto prawidła starożytności. Po upadku obleganego przez nich miasta, które nie chciało się poddać, Biblia zezwala Dzieciom Izraela na uznanie lokalnych kobiet i dzieci za swoich niewolników (zob. Pwt 20, 10-14). Może się zdarzyć – przewiduje Pismo – że któraś z branek wpadnie Izraelicie w oko. Będzie twoja – słyszy zapewnienie wojak, niekoniecznie myślący w tym momencie głową – tylko wpierw „wprowadzisz ją do domu twego, i niechaj ostrzyże głowę swą, i obetnie paznokcie swoje, i zdejmie szatę niewoli swojej z siebie, i zamieszka w domu twoim, opłakując ojca swego i matkę swą przez miesiąc czasu" (Pwt 21, 12-13; Cylkow). Ta kobieta musi mieć możliwość ochłonięcia i przyzwyczajenia się do nowej sytuacji – będzie żoną Izraelity, oczekuje się więc, że porzuci swoją kulturę (czy tak należy rozumieć opłakiwanie rodziców? – w końcu kobietom wówczas była nie pierwszyzna, że po ślubie mogą już nigdy więcej swoich krewnych nie zobaczyć). Już nie jako niewolnica – „zdejmie szatę niewoli" – lecz jako pełnoprawna żona. Ostrzyżenie głowy (hebrajski czasownik sugeruje wręcz ogolenie) oraz obcięcie paznokci (tu oryginał mówi dosłownie o „zrobieniu" ich, co przecież równie dobrze może oznaczać zapuszczenie szponów) raczej nie uatrakcyjnią spłakanej branki w oczach zdobywcy. Jeśli powyższe warunki zostały spełnione, „możesz przyjść do niej, i pojąć ją, aby została żoną twoją" (koniec wersu 13).

Gdyby jednak przypadkiem już ci przeszło, masz ją puścić wolno. „Nie sprzedasz jej za pieniądze", gdyż jej status przez ten miesiąc uległ zmianie i nie jest już niewolnicą, której losem rozporządzasz. Jej obecna sytuacja przywodzi na myśl położenie dziewczynki, której rodzina nie była w stanie jej utrzymać i w związku z tym ojciec sprzedał ją jako służącą, by po dorośnięciu została żoną swego pana. Nie oburzajmy się zanadto – dzięki takiemu rozwiązaniu dziecko wprawdzie pracowało, ale miało zapewniony dach nad głową i miskę strawy, i nie lądowało pozostawione samo sobie „na ulicy". Jeśli pan dziewczynki rozmyślił się, „obcym ludziom nie jest mocen ją sprzedać, wzgardziwszy nią" (Wj 21, 8).

Musi jeszcze minąć wiele stuleci, nim pojawi się idea kobiecej zgody bądź niezgody na seks. A może jednak nasz wojak jeden raz z nią współżył? – troska się pewien rabin. Opinia mniejszościowa jest odnotowywana, stąd znamy jego opinię, mimo że reszta rabinów mówi: wówczas poprzez współżycie stałaby się jego żoną. Po co więc byłaby mowa o tym, że dopiero ma nią zostać? Biblijne prawo działa, natomiast zakazywanie gwałtu podczas wojny – najwyraźniej nie. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Na kocią modłę

„Apostołowie prosili Pana: »Wzmocnij naszą wiarę!«. A Pan powiedział: »Gdybyście mieli wiarę jak ziarno gorczycy i powiedzielibyście temu krzewowi morwy: Wyrwij się i przenieś do morza, to by was posłuchał«". Niektórzy, odczytując dosłownie słowa Jezusa, biorą się za uzdrawianie chorych fizycznie i psychicznie, diagnozując je jako opętanie lub spadek po grzesznych przodkach. Ponoć mówią językami i na zawołanie omdlewają, czyli doznają „spoczynku w Duchu", próbują nawet wskrzeszać zmarłych. Nic to, że Paweł Apostoł mówi, iż tylko „miłość nigdy się nie kończy. Inaczej niż dar prorokowania, który ustanie, języki, które zanikną, czy wiedza, której zabraknie". Nie próbujmy więc zastępować Chrystusa, a jeśli w czymś możemy i powinniśmy Go naśladować, to nie w „robieniu cudów", ale w tym, w jaki sposób widzi świat i jak się do tego, co widzi, odnosi.

Przypomnianą wypowiedź Jezus kończy zdaniem: „Kiedy wykonacie wszystko, co wam polecono, mówcie: »Jesteśmy nieużytecznymi sługami. Wykonaliśmy to, co było naszą powinnością«". A Paweł w Liście do Tymoteusza przypomina: „Nie dał nam Bóg ducha bojaźni, ale mocy i miłości, i trzeźwego myślenia". I o to trzeźwe myślenie w życiu religijnym przede wszystkim chodzi. Podszywając się pod Jezusa, ośmieszamy siebie i Boga, namawiając Go np., by działał jak szczepionka przeciw covid. Od tego przecież są lekarze. Słowem, ukrywając cel wielu modlitw nawet przed nami samymi, chcemy zapanować nad Bogiem i po swojemu rządzić światem. Dowód?

Na portalu „Fajny zwierzak" wyczytałem, że np. kota „nikt nie pyta, czy ma ochotę zakładać kapelusik i spodenki, czy jest mu wygodnie z muchą na szyi, czy ma ochotę godzinami pozować do zdjęć. (...) Jako behawiorysta mogę jedynie apelować do zdrowego rozsądku moich czytelników i zapewnić, że koty nie potrzebują tego rodzaju »uczłowieczania«. Zazwyczaj nie czerpią przyjemności z przebieranek i sesji fotograficznych. W skrajnych przypadkach odczuwają ogromny stres, który w przyszłości mogą odreagowywać na wiele różnych sposobów. Jeśli naprawdę kochamy swoich podopiecznych, pozwólmy im być tym, czym w istocie są – zwierzętami, z całą gamą ich naturalnych zachowań, tak odmiennych od naszych. W końcu na takiej właśnie różnorodności opiera się piękno tego świata". Między ludźmi bywa podobnie.

Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski do przywódców politycznych, i nie tylko, Rosji powiedział: „Zimno, głód, ciemność i pragnienie nie są dla nas tak przerażające i zabójcze, jak wasze »przyjaźń i braterstwo«. Ale historia sprawi, że wszystko wróci na swoje miejsce. I będziemy mieć gaz, światło, wodę i jedzenie... bez was!". ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Zaufanie mimo klęsk

„Wszystko ma swój czas – pisze Kohelet. – Jest czas rodzenia i czas umierania, czas sadzenia i czas wyrywania tego, co zasadzono, czas zabijania i czas leczenia, czas burzenia i czas budowania, czas płaczu i czas śmiechu, czas zawodzenia i czas pląsów, czas rzucania kamieni i czas ich zbierania, czas pieszczot cielesnych i czas wstrzymywania się od nich, czas szukania i czas tracenia, czas zachowania i czas wyrzucania, czas rozdzierania i czas zszywania, czas milczenia i czas mówienia, czas…" (Koh 3, 1-8). Czyta się to łatwo, bo to jeden z piękniejszych przykładów biblijnej poezji. Zdecydowanie jednak trudniej się przeżywa, gdyż trudno jest się na co dzień odnaleźć w takiej mieszaninie życia i śmierci.

Trudno jest żyć, kiedy widzisz, że to, co z takim trudem budowałeś, właśnie obraca się w gruzy; przez lata budowałeś pokój, a doczekałeś się powszechnej wojny. Zszywałeś, ile tylko potrafiłeś, ale za tobą zaraz postępowali ci, którzy rozpruwali. Na twoją miłość odpowiedziano nienawiścią, a tam, gdzie usiłowałeś gromadzić, ktoś inny siał podziały. Nie sposób – doświadczywszy tego wszystkiego – nie zapytać tak jak Kaznodzieja: „Cóż przyjdzie pracującemu z trudu, jaki sobie zadaje?". Jaki ma sens nasz wysiłek? Niszczony lub marnotrawiony przez innych. Albo nawet przez nas samych. Po co było się szarpać?

Pośrodku takich pytań Kohelet słyszy naraz – i zapisuje – Bożą odpowiedź: „On [Bóg] czyni wszystko właściwym / pięknym w odpowiednim czasie, i chociaż dał nam świadomość przemijania czasu, nie możemy poznać ani początku, ani celu tego, co Bóg czyni" (tłumaczenie własne za Biblią Jerozolimską).

Jest Bóg ponad zmiennością tego świata. I to On zna bieg i sens wszystkich wydarzeń. My odnotowujemy zmiany – jesteśmy ich świadomi, ale nie pojmujemy zamysłów Boga, ani w ich punkcie wyjścia, ani dojścia. Ta niewiedza (a więc i – w jakimś stopniu – bezradność) może w nas zaowocować dwiema postawami: albo buntem / protestem i poczuciem bezsensu, albo zaufaniem i powierzeniem się Temu, który wie, prowadzi dzieje świata i godzien jest, aby Mu wierzono.

To zaufanie jest ostatecznie rzecz biorąc wyznaniem wiary w logikę i dyscyplinę tajemnicy paschalnej. To Jezus – w samym środku rozwijającego się życia – musiał wejść w śmierć („i to śmierć na krzyżu" – Flp 2, 8); ale pośrodku niej znalazł Dłoń Ojca podnoszącego Go z grobu do zmartwychwstania, w mocy Ducha Świętego.

Kiedy już nic nie rozumiemy z potrzeby umierania w samym środku atrakcyjnie rozkwitającego życia, zostaje nam bezsens lub sens – paschalny! ©

Odczuwanie niepokoju lub irytacji to znak, że nasze – w tym momencie nieuświadomione – pragnienie szczęścia zostało sfrustrowane.

THOMAS KEATING

Choćby cię umieszczono w najbardziej zapadłym kącie dzikiego kraju (…), ważniejsze jest, jaki przybyłeś, niż dokąd.

SENEKA

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (2 – 9 X)

27. niedziela zwykła: Ha 1, 2-3; 2, 2-4; Ps 95; 2 Tm 1, 6-8. 13-14; Łk 17, 5-10;
Poniedziałek: Ga 1, 6-12; Ps 111; Łk 10, 25-37;
Wtorek: Ga 1, 13-24; Ps 139; Łk 10, 38-42;
Środa: Ga 2, 1-2. 7-14; Ps 117; Łk 11, 1-4;
Czwartek: Ga 3, 1-5; Ps: Łk 1, 69-75; Łk 11, 5-13;
Piątek: Ga 3, 7-14; Ps 111; Łk 11, 15-26;
Sobota: Ga 3, 22-29; Ps 105; Łk 11, 27-28;
28. niedziela zwykła: 2 Krl 5, 14-17; Ps 98; 2 Tm 2, 8-13; Łk 17, 11-19.

KRAJ

HAŁAS, BRAT SMOGU

Polska ryczy całą dobę. Nawet w górskim schronisku. Półmetrowy głośnik, jak wierny pies, leży obok mężczyzny w średnim wieku. Mężczyzna zaraz zawiesi go sobie na ramię i pójdzie „uszczęśliwiać" ludzi na szlaku.

MAŁGORZATA NOCUŃ

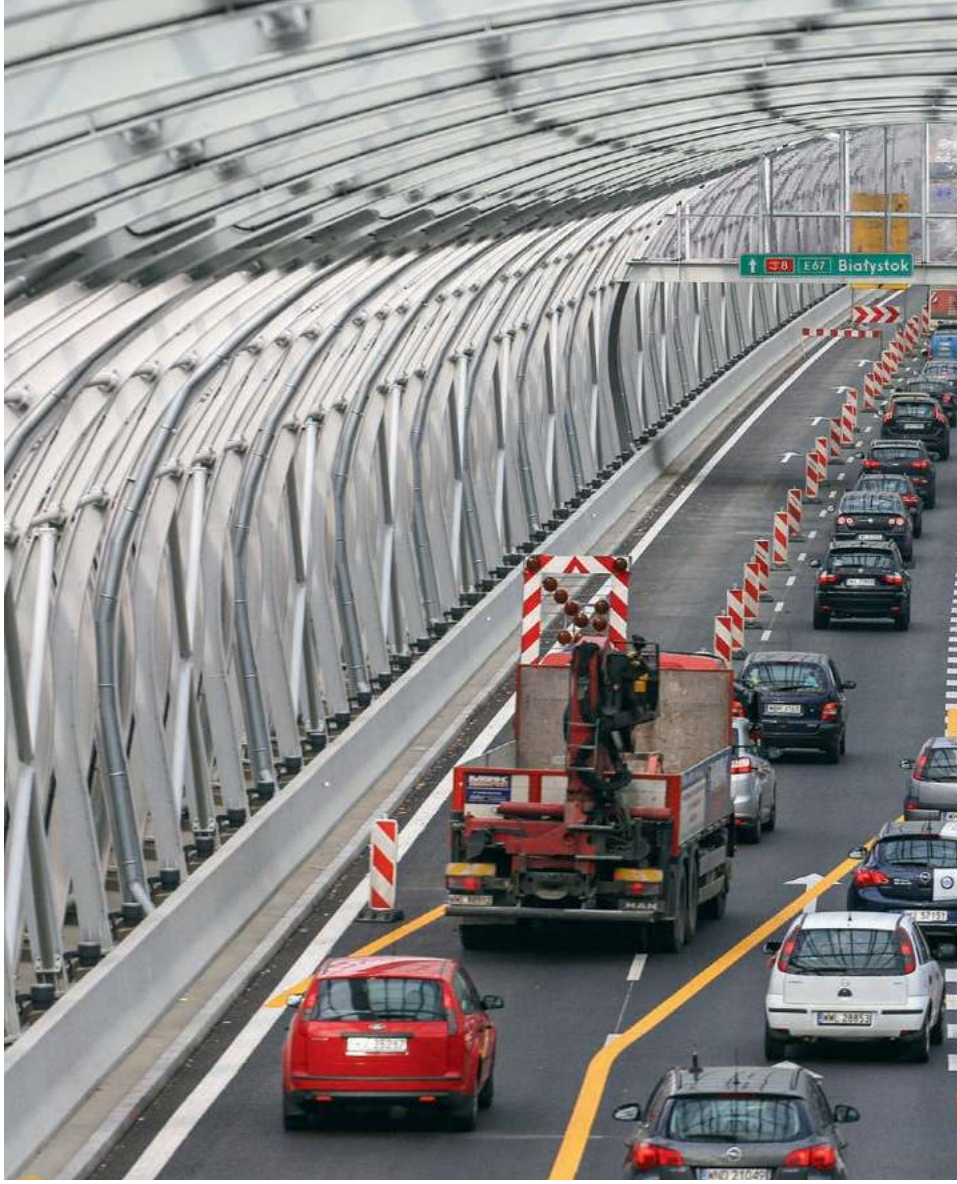

Zgiełk stał się jak cień. Nie opuszcza nas prawie nigdy. Center for Hearing and Communication, ceniona amerykańska organizacja badająca wpływ hałasu na ludzkie zdrowie, dowodzi, że otaczająca nas wrzawa jest niebezpieczna, wywołuje ciężkie i przewlekłe choroby. Nie odpoczywamy nawet wtedy, gdy myślimy, że wokół jest cicho – w tym czasie możemy być atakowani bardzo niskimi decybelami, których nie rejestrują nasze uszy, ale układ nerwowy je odbiera. Nigdy nie żyliśmy w tak hałaśliwych czasach.

Prof. Anna Preis z Katedry Akustyki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu podkreśla, że Zachód uczy się wyciągać wnioski z tej konstatacji, ale Polska – wręcz przeciwnie. Nie walczymy z hałasem, choć nauczyliśmy się dostrzegać zagrożenia związane ze smogiem. Dlaczego? – Bo, przynajmniej oficjalnie, nikt jeszcze od hałasu nie umarł – mówi prof. Preis.

Ale o co panu chodzi?

Ludzie wrażliwi na dźwięk z tęsknotą wspominają czasy, kiedy minuta rozmowy przez komórkę kosztowała kilka złotych. W przestrzeni publicznej praktycznie nie używaliśmy telefonów albo ograniczaliśmy się do krótkich komunikatów. Dziś to przeszłość. – Głośne dźwięki mnie zadręczają – przyznaje Piotr. – Kilka lat temu lekarz zdiagnozował u mnie nerwicę, a do jej rozwoju przyczyniło się nieustanne przebywanie w hałasie.

Piotr mieszka na podkrakowskiej wsi, pracuje w Śródmieściu. Dojeżdża do biura najpierw busem, potem autobusem miejskim. W drodze chciałby poczytać książkę albo rozplanować w myślach wolny czas. – To niemożliwe. Już w drzwiach wita mnie jazgot. Ludzie trajkoczą bez przerwy, wyrzucają z siebie słowa z prędkością karabinu.

W środkach komunikacji Piotr już prawie nie słyszy: „Jestem w autobusie/tramwaju, nie mogę rozmawiać". Podróżni odbierają połączenia lub sami dzwonią, bo mają „chwilę wolnego czasu na rozmowę". Piotr: – Kiedyś nie wytrzymałem. Bus stał w korku dobre pół godziny. Kobieta siedząca obok obdzwaniała koleżanki. Mówiła o zakupach, dzieciach, lekach na odporność. Konsultowała przepisy kulinarne. Chciała zabić czas. Zwróciłem jej w końcu uwagę. Ze zdziwieniem spojrzała na mnie i odparła: „Ale o co panu chodzi?".

Piotr już nie reaguje na głośne dialogi, nie chce mnożyć stresu, zwłaszcza że ludzie patrzą na niego jak na dziwaka. Siedzi więc niemal bez ruchu, ale z frustracji kipi. W skroniach czuje pulsujące uderzenia i myśli: „Spokojnie, dzień się jeszcze na dobre nie zaczął".

Przez kilkanaście tygodni przysłuchiwałam się rozmowom prowadzonym w transporcie publicznym. Przekonałam się, że pasażerowie potrafią rozma-

MARIUSZ GRZELAK / REPORTER

Warszawska trasa toruńska w tunelu dźwiękochłonnym. 16 września 2015 r.

wiać głośno i długo. A tematy tabu raczej nie istnieją.

„Cześć kochanie, właśnie jadę autobusem. Co porabiasz? Aha, gotujesz. A co gotujesz? Rosołek. I co? Mówisz, że kurczak nieświeży? Ale już śmierdzi czy tylko czuć go trochę? Nie ma nalotu? No to słuchaj, odśwież go. Dodaj do wody trochę sody oczyszczonej i wymocz dobrze. Postaw na gazie i pierwszą wodę po zagotowaniu odlej. Nie, no co ty, to nie jest niebezpieczne! Nieraz tak robiłam. Szkoda mięsa wyrzucać".

Prof. Preis podkreśla, że w najwyższym stopniu rozprasza nas właśnie ludzka mowa. Słuchanie dobiegających zewsząd rozmów wpływa na nas gorzej niż dźwięk pochodzący z innego źródła, nawet z samolotu.

Przeklęte tarasy

Magdalena kupiła mieszkanie na „prestiżowym osiedlu z monitoringiem i bramą na pilota". Miało być „prawie jak na wsi". Latem jej córka ciężko zachorowała. Wieczorem lekki chłód przyniósł ulgę, ale zasnąć nie pozwalała głośna muzyka. – Poszłam do sąsiadów – relacjonuje Magdalena. – Byłam grzeczna, powiedziałam, że jest już po 23. Prosiłam o przyciszenie muzyki i zamknięcie okien. Popukali się w głowy. Pożegnali słowem: „wariatka". Był piątek, czyli „czas na imprezę". Nie obchodziło ich, że w regulaminie wspólnoty jest cisza nocna w godzinach od 22 do 6.

Kobieta zadzwoniła do zarządcy nieruchomości (pełni całodobowy dyżur). Ten polecił zawiadomić policję, ale dyspozytor zapytał: „Będzie nam pani towarzyszyć w drodze od bramy wejściowej do drzwi sąsiadów? Bo na zamykanych osiedlach nie interweniujemy". Magdalena zrezygnowała. Położyła na czole córki kolejny okład i położyła się obok klnąc pod nosem. Być może zrobiła błąd, bo w takich sytuacjach policja najczęściej nie odmawia interwencji, ale oznacza to często konieczność stanięcia oko w oko z uciążliwym sąsiadem, z którym potem trzeba jakoś żyć.

Krystyna mieszka z córką na krakowskim osiedlu wybudowanym w latach 90. Dwa pokoje, z większego wyjście na taras. O świcie budzi ją dostawa towaru do sklepu spożywczego. Po niej przyjeżdża śmieciarka. O chodnik głośno uderzają kubły. W dzień Krystyna słyszy dzieci bawiące się w przedszkolnym ogródku. Po południu i wieczorem z pobliskiego klubu fitness dobiega puszczone na pełen regulator disco. – Hałas zupełnie mnie rozprasza. W dzień rzadko wietrzę mieszkanie. Wyczekuję wieczora, otwieram okna na oścież dopiero, gdy ostatni klient opuści klub sportowy i ostatni tramwaj odjedzie do zajezdni – opowiada. – Niestety, często już po chwili muszę szczelnie je zamknąć.

Duże tarasy – które skusiły Krystynę do kupienia mieszkania – stały się jej przekleństwem. Dość ma szczekania psów, ujadających całe dnie na widok przechodzących obok ludzi. Ale wieczory są jeszcze gorsze. Sąsiedzi latem spędzają na tarasach czas do drugiej, trzeciej w nocy. Głośno słuchają muzyki, palą papierosy (co czuć), rozmawiają przez telefon albo między sobą. Głosy niosą się po całym podwórku. – Leżąc w łóżku słyszę śmiech sąsiadów i każde wypowiadane słowo. Czasem czuję się, jakbym włączyła słuchowisko radiowe. Poprosiłam o przestrzeganie ciszy nocnej, ale odniosło to skutek tylko na chwilę – przyznaje.

Krystyna (wraz z sąsiadami) próbowała namówić do kompromisu klub sportowy. Do właścicielki wystosowano prośbę o ułożenie grafiku zajęć w taki sposób, by wieczorem odbywały się zajęcia „ciche": joga, pilates. – Usłyszeliśmy, że „grafik musi być różnorodny" – mówi Krystyna. – Interweniować nie zdecydowała się także spółdzielnia mieszkaniowa, w której lokalu mieści się klub. Prezes stwierdził, że kupując mieszkania byliśmy świadomi przeznaczenia parteru „pod usługi".

Takich historii jest wiele. Deweloperzy w pogoni za zyskami zagęszczają osiedla, ograniczają zieleń, budują cienkie ściany między mieszkaniami. Paweł kupił swoje na osiedlu, które w folderach reklamowych opisywane było jako „ciche i kameralne". Deweloper wybudował tam garaże podziemne i parking, ale tylko na kilkadziesiąt aut. Mieszkańcy nie chcąc ↦

↦ zostawiać samochodów za bramą osiedla, nielegalnie parkują tuż pod oknami Pawła. – W nocy budzi mnie praca silnika, płynąca z samochodu głośna muzyka, śmiech i trzaskanie drzwiami. Jest to nie do zniesienia szczególnie latem. Choć na drodze biegnącej wzdłuż osiedla ustawiono znaki mówiące o „strefie zamieszkania" i zakazie parkowania, nikogo to nie obchodzi.

W Polsce z hałasem się po prostu nie walczy. Traktuje się go jak zjawisko naturalne. Inaczej jest na świecie. W takich krajach jak Szwajcaria cisza nocna jest świętością. Ludziom nie przychodzi tam do głowy słuchanie muzyki na pełen regulator i nocne imprezy na tarasach. Grożą za to zbyt duże kary.

Prof. Preis: – W niektórych krajach Unii Europejskiej wprowadzono rozporządzenia mówiące o tym, w jakich porach dnia można kosić trawę. Bezpieczne dla ludzkiego ucha muszą być także imprezy kulturalne. Jeśli urzędnicy w danym mieście stwierdzą, że podczas koncertu przekroczony jest dopuszczalny poziom ciśnienia akustycznego, mogą go przerwać.

Plaga dopadła góry

Jak cichy może być otaczający nas świat, doświadczyliśmy podczas pandemii. W supermarketach, gdzie na co dzień poziom ciśnienia akustycznego – potocznie zwany „wysokimi decybelami" – przekracza normy, panował spokój. Wyłączono głośniki wyjące na temat: „promo" i „wyprzy". Niestety, tłum już powrócił, rozmowy „przy regale" również. Przez telefon ustala się wybór kawy i proszku do prania.

Mariusz Makowski, psycholog społeczny, wykładowca akademicki i terapeuta, uważa, że trochę sami jesteśmy sobie winni. W Polsce ugruntowało się bowiem przekonanie „ja ponad innymi". Większość z nas nie chce uszanować prawa innych do ciszy. Sam Makowski niedawno wyjechał na kilka dni nad morze. Nie znalazł knajpy, w której panowałaby cisza. W każdym lokalu na okrągło nadawała wielka plazma albo ryczało radio. Głośniki ustawiono także w ogródku, żeby ściągać więcej klientów. Nikt nie pomyślał, że mogły niektórych odstraszać. Dlaczego Polacy są aż tak głośni?

Makowski: – Ważne są kwestie osobowościowe. Ekstrawertycy „karmią się" bodźcami: głośną rozmową i muzyką, podczas gdy introwertycy cierpią z nadmiaru bodźców. Statystycznie w populacji więcej jest ekstrawertyków, dlatego ich wzorce zachowania są nam narzucane.

Otaczające nas niechciane dźwięki prowadzą do niedosłuchu, chorób układu krążenia, migren, nerwic i problemów z koncentracją. **Dzieci narażone na hałas mogą stać się agresywne.**

Od hałasu i cudzych rozmów nie sposób uciec w mieście. Podobnie jest na plaży (kilka dekad temu zmorą były radia tranzystorowe, dziś smartfony i głośniki). Ale góry do niedawna pozostawały oazą ciszy. Niestety, to też uległo zmianie. Nawet poza sezonem na Kotelnicy Białczańskiej (i w wielu innych miejscach) jest głośno. Na słupach wyciągu jak maszkarony wiszą ogromne głośniki. Nie odpoczniemy od tandetnej muzyki i „wiadomości z ostatniej chwili", przeważnie złych, a więc obciążających nasz układ nerwowy.

W polskich Tatrach, zwłaszcza w ich wysokich partiach, coraz częściej słychać wrzask. „Halo, halo, słyszysz mnie? Mogę nie mieć zasięgu, halo, jesteś tam? Wiesz, co robię? Spełniam marzenie życia, idę na Świnicę! Nooo, masakra, łańcuchy tu są! Ale łapię i idę!" – raportuje turystka. Na szczycie nagra jeszcze filmik, głośno wyrażając swoją ekscytację ze zdobycia góry.

Może Gorce? W drodze na Turbacz co kilkanaście minut dobiega wycie silnika. Szlak na szczyt nie leży w objętym ochroną parku narodowym, więc masowo rozjeżdżają go quady i motocykle crossowe. „Dalej, dalej. No, młody, dajesz! Mocno sprzęgło, jedynka i dajesz!" – ojciec krzyczy do kilkuletniego chłopca. Mężczyzna dodaje gazu, silnik ryczy. Wyprzedza dziecko, by z dystansu – znów krzykiem – udzielać mu kolejnych rad. Sklejają się w jeden rytm z hip-hopem płynącym z głośników przytroczonych do plecaków innych turystów.

Można się łudzić, że ukojenie przyniesie schronisko. W jadalni na Turbaczu ryczy disco. Półmetrowy głośnik jak wierny pies leży na ławce obok mężczyzny w średnim wieku. Wiesza się go na ramieniu, więc właściciel ani na chwilę nie musi się z nim rozstawać. Kilkadziesiąt osób do śniadania, obiadu i kolacji słucha jego ulubionych kawałków. Przy palenisku spokój, ale do czasu. Rodzice przynoszą sobie piwo, a podopiecznym wręczają smartfony; na każdym inna bajka. Dialogi z „Świnki Peppy", „Psiego patrolu" i „Marta mówi".

Podstępny wróg

Na liście Światowej Organizacji Zdrowia (WHO), przedstawiającej zagrożenia współczesnego świata, hałas znalazł się tuż za zanieczyszczeniem powietrza. Według definicji WHO dźwięk o poziomie ciśnienia akustycznego 80 decybeli uznaje się za maksymalną dawkę hałasu, na którą człowiek może być narażony przez osiem godzin dziennie (rozmowa prowadzona stonowanym głosem generuje poziom ciśnienia akustycznego w wysokości około 60 decybeli). Ale o hałasie stanowi nie tylko jego poziom. Długotrwałe przebywanie w otoczeniu dźwięków na poziomie 60-90 decybeli znacznie wpływa na koncentrację uwagi. Szczególnie dokuczliwe są dźwięki, których amplituda się zmienia.

Center for Hearing and Communication publikuje na swojej stronie prace neurologów, laryngologów i psychologów. Naukowcy dowodzą, że hałas jest o wiele szkodliwszy, niż powszechnie się sądzi. Prowadzi m.in. do niedosłuchu, który jest schorzeniem zdradliwym. Jedno z uszu powoli się wyłącza, a jego funkcję przejmuje drugie ucho. Na wczesnym etapie niedosłuch pozostaje przez człowieka niezauważony. Nie zdajemy sobie też sprawy, że trochę głośniej słuchamy radia czy telewizji. W skrajnych przypadkach hałas może doprowadzić do całkowitej utraty słuchu.

Niechciane dźwięki wywołują też migreny, przyczyniają się do rozdrażnienia i wpływają na koncentrację. Dźwięki o poziomie ciśnienia akustycznego przekraczającego dopuszczalne limity zdrowotne, określone w decybelach, mogą wręcz zaburzać równowagę hormonalną organizmu. Szczególnie szkodliwy jest kortyzol – hormon stresu. Niemilknący jazgot powoduje również wrzody żołądka, rozwój nadciśnienia tętniczego, cukrzycy, wzmaga zaburzenia psychiczne. Dzieci przebywające w hałasie mogą mieć trudności w nauce, być apatyczne, płaczliwe, albo wręcz przeciwnie – agresywne.

Prof. Wolfgang Babisch, niemiecki audiolog, stworzył listę chorób wywołanych hałasem. Na pierwszym miejscu

znalazły się choroby układu krwionośnego, na drugim uczucie dokuczliwości, na trzecim bezsenność. Babisch dowodzi, że organizm ludzki nie potrafi zaadaptować się do wszystkich rodzajów hałasu. Z czasem akceptujemy np. odgłos kolei, ale są dźwięki, które zawsze będą powodować nasz dyskomfort, także podczas snu.

Wielu użytkowników przestrzeni publicznej pozostaje nieświadomych inwazyjności swojego zachowania. Na przykład polska szkoła w ogóle nie walczy z krzykiem. Potwierdza to raport sporządzony na zlecenie francuskiej firmy Saint-Gobain, który ukazuje dane na temat poziom hałasu na polskich osiedlach mieszkaniowych, w centrach handlowych, placach targowych, „obszarach kultury" (teatr, kino, rynki największych polskich miast, koncerty). Okazało się, że miejscem równie głośnym jak imprezy sportowe czy koncerty rockowe – jest polska szkoła. Poziom hałasu podczas przerwy i w stołówce wynosi nawet 85 decybeli, ale dla resortu edukacji nigdy nie był źródłem troski.

Na szczęście są już instytucje, które próbują wczuć się w uczucia ludzi wrażliwych na dźwięk. PKP uruchomiły (na kilku połączeniach) „wagony ciszy", w których pasażerowie rzeczywiście nie rozmawiają i nie używają telefonów. To jednak wciąż wyjątek. Prof. Preis zwraca przy tym uwagę na ciekawy aspekt. Czujniki smogu zamontowano w największych polskich miastach. Telebimy na bieżąco informują o poziomie zanieczyszczenia powietrza. Dlaczego podobnie nie postępujemy z hałasem? Na przykład w Paryżu, w miejscach bardzo głośnych, znajdują się „radary dźwiękowe" – specjalne mikrofony mierzące poziom ciśnienia akustycznego dźwięku. Z kolei co pięć lat we wszystkich krajach Unii Europejskiej opracowywane są „mapy akustyczne" wskazujące miejsca na terenie państw członkowskich, w których odnotowywany jest nadmierny hałas. Jeśli ta wiedza nie przełoży się na walkę z nim w Polsce, w końcu zakrzyczymy się na śmierć.

© MAŁGORZATA NOCUŃ

Sala teatralna Domu Ukraińskiego. Przemyśl, 18 lipca 2022 r.

Dom empatii

TEKST I ZDJĘCIA: KRZYSZTOF STORY Z PRZEMYŚLA

Wolontariuszy dopadło zmęczenie, wielu zrezygnowało z pomagania uchodźcom. Zostali ci dobrze zorganizowani, którzy zdołali poradzić sobie z trudnymi emocjami. Rodaków wspierają też sami Ukraińcy.

Olga Leskiw otwiera ciężkie drewniane drzwi. Wchodzimy do sali teatralnej Domu Ukraińskiego w Przemyślu. Tutaj mówi się po prostu: Dom. Do 24 lutego wystawiano w nim polsko-ukraińskie sztuki, a w zabytkowej, zdobionej przepięknymi płaskorzeźbami sali było 250 miejsc. Teraz jest 50, ale leżących. Dziesięć składanych łóżek stoi na środku sali, pozostałe pod ścianami i na scenie – te są otoczone zasłonami, które mają dać odrobinę intymności. Przy każdym miejscu stoi krzesło, a na nim żółta kartka z numerkiem.

System rezerwacji znajduje się w kuchni. To tablica z 50 kieszonkami – większość jest pusta, ale to poniedziałek rano, do końca dnia wszystkie zapełnią się zielonymi karteczkami.

– Na początku wojny tutaj i na dworcu mieliśmy codziennie 150 wolontariuszy. Teraz pracuje ok. 50 – mówi Igor Horków, przewodniczący Związku Ukraińców w Przemyślu. – Bardzo zmieniły się też potrzeby. Staramy się nadążać i wspierać tych, którzy zostali w Przemyślu. Najważniejsza jest praca, nauka języka i, coraz częściej, opieka zdrowotna.

Pół roku po rosyjskiej inwazji pomoc uchodźcom stała się bardziej skomplikowana. Nie zawsze da się dobrać pracę do człowieka. Np. skrzypek z kijowskiej opery może liczyć na pracę na budowie. – Ludzie spadają z różnej wysokości – mówi Igor. – Od jednej pani usłyszałem ostatnio: „Jeszcze kilka dni temu miałam dom, własny salon kosmetyczny. Dzisiaj jestem żebraczką. Szczęście, że byliśmy poza domem, gdy trafiła w niego rakieta". W wielu ukraińskich mieszkaniach stoją dziś spakowane walizki, ale są też ludzie, którzy przyjeżdżają zupełnie bez planu. Najczęściej z linii frontu albo terenów, na których nagle otworzył się jakiś korytarz humanitarny.

Rozkład jazdy

W kuchni dzwoni telefon. Rozmowa trwa kilkadziesiąt sekund, Oksana odkłada słuchawkę i podchodzi do tablicy. Trzy zielone karteczki, trzy kolejne rezerwacje.

Po drugiej stronie aparatu był Teodor Ficak; spotykam go kilka godzin później na dworcu.

– Na początku przyjeżdżało 20 tysięcy osób dziennie – relacjonuje dni tuż po ↦

↦ inwazji. – Na posadzce nie dało się znaleźć wolnego miejsca, żeby zrobić krok. Dzisiaj to około 3-4 tysiące, z czego połowa przyjeżdża z Ukrainy, a połowa wraca do kraju. Jest spokojniej, ale nie spokojnie.

Teodor ma 19 lat, urodził się w Przemyślu, pochodzi z mniejszości ukraińskiej w Polsce. Na dworcu od wybuchu wojny pracuje jako tłumacz. Wcześniej przyjeżdżał tylko w weekendy, teraz jest tu na cały etat.

– Do wszystkiego podchodziłem emocjonalnie, z empatią – wspomina. – Ale wracałem do domu po prostu zmieciony ludzkim bólem. Potem zbudowałem sobie skorupę, i to też było złe, bo może i pracowałem jak maszyna, ale tak samo traktowałem ludzi. Teraz podchodzę do ludzi jak do ludzi, ale nie na tyle blisko, żeby nie móc normalnie żyć.

Nie zawsze się udaje. Najtrudniejszy moment dnia to godz. 12.50, kiedy przyjeżdża pociąg z Zaporoża. – Spotykasz uchodźców, którzy mają przy sobie jeden 50-litrowy plecak albo torbę foliową. Widzisz, że uciekali w pośpiechu. Płaczą. I ty też płaczesz – przyznaje.

Na dworcu robi się tłoczno. Choć do odjazdu zostały jeszcze dwie godziny, ludzie schodzą się na peron drugi, skąd ruszy pociąg do Hanoweru. To ostatni darmowy skład dla uchodźców jadący na zachód Europy, po tym jak połączenie do Pragi zostało „zmonetyzowane".

Tłumacz na razie nie jest potrzebny, więc razem z Teodorem i innymi wolontariuszami łapiemy za walizki. Tak poznaję Grega i Marca, dwóch Australijczyków. Greg pracuje jako doradca finansowy, Marco był kucharzem. Poznali się dopiero tutaj, gdy na parę tygodni zatrzymali swoje życie i przyjechali do Przemyśla pomagać. Marco jest od 16 dni, Greg żartuje, że po tym doświadczeniu powinien otworzyć knajpę w Charkowie.

Królestwo za etat

Wielu aktywistów bało się, że gdy wojna zejdzie z pierwszych stron gazet, pomoc po prostu się skończy. I rzeczywiście, z dworca zniknęli harcerze, strażacy i namioty wielu organizacji. Z końcem lipca manatki zwinęło także World Central Kitchen, jedyna organizacja wydająca podróżnym ciepłe, darmowe posiłki (kanapki, wodę i pączki można dostać nadal w okienku Urzędu Wojewódzkiego).

Pomoc jednak się nie urwała, nadal są ręce do pracy. Zarazem nastał specyficzny moment, który wiele mówi o mocnych i słabych stronach tzw. przemysłu humanitarnego. Z perspektywy przemyskiego dworca w długotrwałym kryzysie najlepiej sprawdzają się organizacje, które spełniają dwa warunki: działają lokalnie na swoim terenie i mają stabilność finansową. Przykładem może być Fundacja Folkowisko z podkarpackiej wsi Gorajec. To zespół ludzi, który od dziesięciu lat zajmuje się organizacją folkowego festiwalu muzycznego. Od 24 lutego całe swoje doświadczenie i zdolności organizacyjne wykorzystali do pomocy Ukrainie, stając się największym sztabem humanitarnym na Podkarpaciu. Byli jedną z pierwszych polskich organizacji obecnych po ukraińskiej stronie granicy: pomagali ludziom marznącym w kolejkach do odprawy, dostarczali i dostarczają nadal jedzenie, leki, organizują karetki pogotowia, zaopatrują punkty recepcyjne dla uchodźców.

Duże międzynarodowe organizacje często pracują projektami. Gdy projekt się skończy, jadą realizować następny, nawet jeśli nadal są potrzebni w poprzednim miejscu (holenderska dziennikarka Linda Polman nazwała to „karawaną kryzysu"). Co nie znaczy, że nie odgrywają ważnej roli. Mogą działać w skali przekraczającej możliwości lokalnych inicjatyw, no i dysponują wielkimi budżetami, gdyż to na ich konta wpływa lwia część darowizn. Działające odpowiedzialnie duże organizacje potrafią pomagać nie tylko pod własnym sztandarem, ale wspierają też siatkę mniejszych partnerów.

To partnerstwo jest często pełne problemów i nieporozumień, jednak w Przemyślu się udało. Do wybuchu wojny w Domu Ukraińskim na stałe były zatrudnione dwie osoby, teraz jest ich ponad trzydzieści. To możliwe dzięki finansowemu wsparciu Polskiej Akcji Humanitarnej i organizacji Oxfam. Etaty zmieniają wszystko – to dzięki nim na dworcu w Przemyślu jest kilkanaście tych samych twarzy (wokół których skupiają się wolontariusze). Dobrze znają teren, w ciągu ostatnich miesięcy zebrali ogrom doświadczeń, nie wrócą też za kilka tygodni do Australii ani nie wyjadą realizować kolejnego projektu.

Randka na peronie

Idę do Domu chwilę popracować. Kilka miesięcy temu, gdy przyjeżdżali dziennikarze z całego świata, załoga zorganizowała dla nich osobny pokój prasowy, ale teraz jest ich już dużo mniej. Siadam w biurze z Katarzyną i Michajłem.

– 24 lutego przyszłam do pracy jako pierwsza. Przez następne trzy tygodnie nie widziałam światła dziennego – mówi Katarzyna Komar-Macyńska. – Pamiętam, że pierwsze cztery dni nie płakałam. Aż spotkałam matkę z synkiem z autyzmem. Chłopiec niósł swoją ulubioną zabawkę w pudełku po butach. Rozryczałam się, ale pozbierałam w trzydzieści sekund. Emocje były wtedy tak duże, że człowiek nieustannie rozlatywał się i składał z powrotem.

W biurze stoi tablica z harmonogramem dyżurów na kolejne dni. Teraz są w niej dwie kolumny: Dom i dworzec (wcześniej były jeszcze kolumny Medyka i Korczowa). Wolontariusze z Domu od początku wojny pracują na krótkich, czterogodzinnych zmianach. Właśnie to ich chroni przed wypaleniem, pozwala lepiej zadbać o siebie. System sprawdza się świetnie.

– Dla wielu osób to jest najważniejsze doświadczenie w życiu – Katarzyna wyraźnie zaznacza, że wolontariat to nie tylko koszty i poświęcenie, ale też ogromna wartość. – Niektórych młodych trzeba było prawie siłą ściągać z dyżurów, choć za dwa miesiące czekała ich matura. Kiedy staniesz na tym dworcu i poczujesz, że jesteś potrzebny, że możesz komuś pomóc, to jest potężna energia. Jedziesz na niej, aż ci bezpieczniki nie strzelą. Dla mnie osobiście niesamowite jest to, że poznaję tak wielu ludzi, niemal z każdego zakątka Ukrainy. Uczę się ukraińskiego slangu, różnych dialektów.

Od lewej:
OKSANA *w Przemyślu mieszka od 28 lat. Od 24 lutego gotuje obiady dla uchodźców. Przemyśl, 18 lipca 2022 r.*

TEODOR FICAK *urodził się w Przemyślu w rodzinie ukraińskiej. Na dworcu pracuje jako tłumacz. Przemyśl, 18 lipca 2022 r.*

Wielu ludziom wolontariat wszedł w krew. Na korytarzu rozmawiam z Olgą Leskiw. Jest Łemkinią i rok temu wyszła za mąż za Jaremę z mniejszości ukraińskiej. Do 24 lutego mieszkali w Krakowie, potem rzucili wszystko i przeprowadzili się do Przemyśla. Olga akurat zapisuje kobietę z Ukrainy na lekcje polskiego.

– Od pół roku dworzec jest naszym ulubionym miejscem spotkań. A moi teściowie chodzą tam na... randki. Jeśli jest spokojnie, omawiają swoje małżeńskie sprawy, spacerują. Jeśli nie, noszą walizki.

Ukraińcy Ukraińcom

Według raportu Polskiego Instytutu Ekonomicznego w ciągu trzech miesięcy od początku rosyjskiej inwazji w pomoc Ukrainie zaangażowało się 70 proc. Polaków. Przeznaczyliśmy na ten cel 10 mld zł z naszych prywatnych portfeli, a kolejne 16 mld dołożyło państwo. Nowszych danych nie ma, ale skala pomocy zmniejszyła się, bo etap „gaszenia pożarów" już się zakończył. Przed Domem jest teraz jedno duże wyzwanie: przygotowanie przed zimą nowej noclegowni w starym seminarium greckokatolickim. Będzie tam więcej miejsc i lepsze warunki niż w pięknej, ale zupełnie do tego nieprzystosowanej sali teatralnej.

Dom Ukraiński w Przemyślu jest przykładem ciekawego, lecz w polskich mediach pomijanego aspektu pomocy uchodźcom – zaangażowania diaspory ukraińskiej w pomoc rodakom.

Skalę tej samopomocy pokazuje raport Unii Metropolii Polskich, zrzeszającej 12 największych miast w Polsce. 3 proc. ich mieszkańców przyjęło gości z Ukrainy do swoich domów. W ten sposób bezpieczny dach nad głową znalazło ponad pół miliona uchodźców (a połowa z nich nadal pod tym dachem żyje). W raporcie UMP można jednak przeczytać: „Większość uchodźców z Ukrainy znalazła schronienie w Polsce w mieszkaniach innych Ukraińców, którzy mieszkają tu od dawna. Razem mieszkają, razem pracują. Bardzo ważnym elementem jest rzucenie światła na samopomoc ukraińską, która jest niedoceniana, szczególnie przez polską władzę centralną, nadal starającą się nie dostrzegać mniejszości ukraińskiej mieszkającej w Polsce od lat".

Nie chodzi o mierzenie, kto pomagał lepiej i szlachetniej, tylko o uznanie, że pracowaliśmy wspólnie. Ukraińscy i polscy wolontariusze mieszali się niemal na każdym dworcu i w każdej noclegowni w Polsce. Nic dziwnego: Ukraińcy w Polsce też chcieli pomóc swoim rodakom i często byli do tego lepiej przygotowani, przede wszystkim z powodów językowych.

Nazwa zobowiązuje

W Przemyślu mieszka dziś około 10 tys. uchodźców, to prawie 15 proc. ludności miasta. Pomaganie im jest teraz dużo trudniejsze, potrzeby bardziej skomplikowane. Nie chodzi tylko o znalezienie pracy czy mieszkania.

Bohaterką jednej z najbardziej poruszających opowieści jest Oksana Podwyszyńska. Urodziła się w pół drogi między Tarnopolem a Iwano-Frankiwskiem, od 28 lat mieszka w Przemyślu. Kiedyś prowadziła tu stołówkę szkolną, a od 24 lutego gotuje dla uchodźców. Mówią o niej „serce Domu". Ta uśmiechnięta blondynka zaraz będzie smażyć naleśniki dla dzieciaków, potem ułoży jadłospis na cały tydzień. Dzisiaj na pewno będzie jakaś zupa i racuchy z jabłkami.

Przy kuchennym stole opowiada mi historię Aminy, 16-latki z obwodu dniepropietrowskiego, z którą złączył ją los. Amina razem z mamą Walentyną uciekły do Krakowa na początku wojny. Mamie ciężko się oddychało, wtedy obwiniała o to krakowskie powietrze. Po trzech miesiącach postanowiła wrócić z córką na Ukrainę. Wyruszyły na początku czerwca, w Przemyślu miały się przesiadać, ale na dworcu Walentyna bardzo źle się poczuła. Mama trafiła do szpitala, córka – do sali teatralnej w Domu; nikt inny nie mógł się nią zaopiekować.

Miesiąc później Walentyna zmarła. Rak. Wysiadły nerki, nic nie dało się zrobić. Miała 60 lat, a Amina była jej jedynym dzieckiem. Została sama w obcym kraju.

– Pan Bóg chyba kieruje do mnie takie przypadki – mówi Oksana.

Nie wahała się. Mówi, że w emocjach nigdy się nie waha. Została opiekunką prawną Aminy, choć ma dwie własne córki i 18-metrowe mieszkanie. Teraz dopiero przeprowadzają się do większego. Amina chce dokończyć szkołę w Polsce, a dzięki Oksanie ma szansę na nowy, przyjazny dom.

– Muszę się jej nauczyć. Moje córki są zupełnie inne, to dzieci typu „wybij okno" – śmieje się Oksana. – Wszędzie ich pełno. Emilia ma piętnaście lat, Marysia sześć. Na Emilię skarżą się w szkole. Mówią, że jest niegrzeczna, ale za to zawsze uśmiechnięta. Marysię też wszyscy znają, nawet konsul pytał ostatnio: „Gdzie ta mała śpiewaczka"? A Amina? Jest cicha, lubi czytać. Ma wszystko zaplanowane. Wie, że będzie tańczyć i śpiewać, uwielbia koreański pop. Imponuje mi, że Amina umie mówić o swoich potrzebach.

Oksana odbiera telefon. Następnego dnia trzeba jechać do Rzeszowa, zaplombować urnę z prochami Walentyny. Nigdy tak jak wtedy nie poczułem, że pomoc uchodźcom to znacznie więcej niż ciepły obiad i dach nad głową.

Amina już została wolontariuszką.

©℗ KRZYSZTOF STORY

JERZY DUDEK / FORUM

„Szpital Pluszowego Misia" – projekt organizowany przez Europejskie Stowarzyszenie Studentów Medycyny

Z pamiętnika młodej lekarki

RÓŻA HAJKUŚ, PEDIATRA:

Nie godzę się na to, że my, lekarze, oddajemy pole bitwy, jakim jest internet, i jednocześnie mamy pretensje, że pacjenci powierzają swoje zdrowie osobom o wielkich zasięgach i nikłej wiedzy.

EWELINA BURDA: Jestem pacjentką, która ma odległy termin wizyty u lekarza, więc zaczęłam szukać diagnoz i porad w internecie. Robię dobrze czy źle?

RÓŻA HAJKUŚ: Przed oceną „dobrze" czy „źle" powinnam zapytać, gdzie pani szuka tych informacji i kto jest dla pani internetowym autorytetem medycznym. Jako lekarze nie możemy wyśmiewać pacjentów i obrażać się na nich, że szukają informacji i przychodzą na wizyty ze swoimi przypuszczeniami czy teoriami. My medycy też szukamy w internecie odpowiedzi na pytania z dziedzin, na których się nie znamy. W idealnym świecie pacjent miałby możliwość od razu zgłosić się do lekarza, ale w naszym terminy są za kilka dni, tygodni, a do specjalistów nawet za kilka miesięcy. Zamiast krytykować, powinniśmy więc raczej doradzać, gdzie szukać wiarygodnej wiedzy. Dla lepszego zrozumienia pacjenta i jego obaw dobrze też pamiętać, jak sami się czujemy, gdy zdarza nam się być w roli pacjenta.

Prowadzi Pani blog i konta w mediach społecznościowych o sporych zasięgach. Postanowiła Pani stać się takim wiarygodnym źródłem wiedzy w internecie?

Nie chodzi mi o to, żeby wszystkich odsyłać do moich kanałów i treści (*śmiech*). To raczej mój brak zgody na to, że my, lekarze, oddajemy pole bitwy, jakim jest internet, i jednocześnie mamy pretensje, że pacjenci powierzają swoje zdrowie osobom o wielkich zasięgach i nikłej wiedzy. Ludzie szukają medycznych informacji w internecie, trzeba się z tym pogodzić. To żadne odkrycie, że jest tam pełno porad „z kosmosu" czy promocji nieprzebadanych preparatów, także dla najmłodszych dzieci. Niepokoi mnie natomiast zjawisko medycyny opartej na celebrytach, która jest czymś przeciwstawnym do medycyny opartej na faktach. A my jako lekarze mamy obowiązek praktykować tę drugą. I dziś można robić to także online.

A co nas do tych źródeł pseudomedycznych tak przyciąga?

Atmosfera koleżeństwa, poczucie bycia wysłuchanym, język, który nas nie zawstydza, czego często nie można powiedzieć o wizytach w gabinetach.

Napisała Pani o sobie, że jest „najmniej potrzebnym człowiekiem internetu, bo każdy się zna na medycynie".

To opis mojego profilu na Instagramie – w kontrze do całego mnóstwa osób w internecie, które mają odpowiedź na każdy medyczny problem. Takich specjalistów „od wszystkiego" można znaleźć w każdej dziedzinie, tylko że zdrowie jest czymś szczególnie wrażliwym. A zdrowie dzieci, które jest moją działką, rządzi się wyjątkowymi prawami. Mówienie o konkretnych sytuacjach w stylu „u mojego dziecka to i to sprawdziło się przy tej i tej chorobie" bywa pomocne, bo dzięki temu można znaleźć wsparcie osób, które doświadczają podobnych problemów. Ale w sieci te granice między obserwacjami dotyczącymi własnych dzieci a uniwersalnymi poradami bardzo łatwo się zacierają.

Jest Pani lekarką od dziewięciu lat, od kilku działa w sieci. Po pracy na oddziale nie chciałaby Pani odpocząć od medycyny?

Miewam okresy mniejszej motywacji i zmęczenia, ale lubię to robić, bo widzę w tym duży potencjał edukacyjny. Moje posty czyta nawet sto tysięcy osób. I gdy rozmawiam ze znajomymi lekarzami, to wiem, że cokolwiek byśmy robili w gabinetach, choćbyśmy pracowali od rana

do wieczora przez trzydzieści lat, to nigdy nie dotrzemy do tak dużej grupy osób z profesjonalną wiedzą medyczną.

Kiedy pracowałam dodatkowo w poradni POZ, zauważyłam, że często powtarzam rodzicom to samo. Na przykład gdy w mojej okolicy była epidemia ospy i przychodziły kolejne dzieciaki, to cały czas nawijałam te same zdania o zasadach pielęgnacji. Zaczęłam wtedy robić notatki, żeby rodzice mogli sobie do nich wrócić w domu. I pomyślałam, że skoro już je mam, to może wrzucę je do sieci w formie bloga. Żeby do takich uniwersalnych porad, które i tak przekazuję w gabinecie, moi pacjenci mogli zajrzeć – wiedząc, że napisał je lekarz.

Ważne jest jednak, by pilnować tej granicy między rzeczywistością a siecią: nigdy nie rozwiązuję w internecie problemu, dlaczego czyjeś dziecko w tym momencie gorączkuje, bo to jest nieprofesjonalne i niebezpieczne. Konkretne przypadki diagnozuje się po zbadaniu. Ale na blogu mogę zamieścić ogólny artykuł o gorączce.

Czy w pokazywaniu siebie w internecie jest trochę próżności?

Trochę pewnie jest (*śmiech*). Ale to nie powinno być tylko to. Kiedyś od rodziców moich pacjentów usłyszałam, że dzięki temu, że wiedzą, jak wygląda np. ta biurokratyczna część mojej pracy, o której opowiadam, to oni mniej się denerwują, gdy czekają. Bo wiedzą już, że w dyżurce nie piję kawy, tylko wypełniam stos dokumentów potrzebnych do przyjęcia pacjenta na oddział.

Pokazuję też, że się doszkalamy, angażujemy w naszą pracę. Mam poczucie, że to opowiadanie o codziennej pracy lekarzy przydaje nam się jako środowisku na dłuższą metę: gdy był strajk medyków, to mogliśmy w bardziej bezpośredni sposób tłumaczyć, o co walczymy.

Nie uwierzę, że w środowisku medycznym są tylko entuzjaści takiej aktywności.

Jest trochę osób, którym nie podoba się, że coś gadam w internecie jako lekarka, głównie starszych z branży. Ale jestem przekonana, że takie popularyzowanie wiedzy medycznej można prowadzić bez żadnego uszczerbku dla profesjonalizmu. Bardzo lubię luźną interakcję, nie tylko w sieci. Gdy nie jestem poważną panią doktor za biurkiem, to mogę odczarować ten patriarchalny styl wizyty lekarskiej sprzed lat.

Gdzie jest granica tego, co lekarz może w internecie, a czego już nie?

Kiedy zastanawiam się, czy wrzucić na Instagrama jakieś medyczne treści, zadaję sobie pytanie, kim chcę być bardziej: lekarką czy internetową celebrytką? I dopóki górą jest medycyna, to myślę, że moja obecność w sieci ma sens. Tajemnica lekarska jest bezwzględna, ale często nawet nie naruszając jej i tak można pokazać za dużo.

Zawsze muszę najpierw zastanowić się nad dobrem konkretnego pacjenta, dopiero później nad tym, że chcę coś opowiedzieć i trochę pogwiazdorzyć w internecie. Nigdy nie publikuję zdjęć: ani pacjentów, ani moich z nimi. Wiem, że takie fotografie bardzo podnoszą zasięgi, ludzie chcą czytać o historiach konkretnych osób, zobaczyć je. Zdjęcia z dzieciakami mogą być z pozoru niewinne, mogą być przecież wykonane za zgodą wdzięcznych rodziców. Ale dla mnie relacja pacjent–lekarz nie powinna dziać się na oczach innych. Gdybym publikowała takie zdjęcia, kolejni pacjenci przychodząc do mnie do gabinetu czy na oddział, mogliby mieć wątpliwość, czy już po południu nie staną się internetową ciekawostką.

Jak w takim razie opowiadać bez historii konkretnych pacjentów?

Omawianie przypadków medycznych jest nieodłącznym elementem rozwoju medycyny: robi się to na konferencjach, w publikacjach. Ale ważne jest dbanie o anonimowość. I pamiętanie, że internet to nie profesjonalna medyczna konferencja. Dostęp do treści jest publiczny, więc trzeba tu być dodatkowo uważnym na to, co się udostępnia. Nawet gdy inni sami dzielą się z nami swoimi danymi w sieci, także tymi medycznymi. Nigdy też nie robię zdjęć dokumentacji czy wyników badań, staram się również nie publikować niektórych treści na bieżąco. Pacjent powinien ufać, że jestem w pracy, w realnym życiu, i zajmuję się nim. A moja wirtualna działalność jest tylko dodatkiem.

Zasady, o których Pani mówi, wydają są bardzo płynne, gdy patrzy się na różne profile medyków działających w sieci.

Mnie nie podoba się wykorzystywanie wizerunku pacjenta, ale każdy ma swój pomysł na działalność w internecie i swoje medyczne sumienie. A spektrum obecności lekarzy w sieci jest szerokie, odbiorcy są różni, każdy może znaleźć coś dla siebie: jak ktoś chce wiedzy, to ją znajdzie, jak ktoś chce żartów i czarnego humoru dotyczącego systemu, to też go znajdzie. A jak ktoś chce opowieści rodzinnych przeplatanych modą, to i takie znajdzie.

Myślę, że warto się przede wszystkim zastanowić, czy sami jako pacjenci chcielibyśmy w taki sposób trafić do internetowego wpisu.

„Lekarka zwykła wiejska" – to też napisała Pani o sobie.

Bo taka właśnie jestem. Oprócz edukowania pokazuję też realia mojej pracy w powiatowym szpitalu na Podkarpaciu. Mam wrażenie, że wizerunek medyka w mediach to lekarz z dużej placówki w wielkim mieście. Chciałam pokazać, że opieka nad pacjentem dzieje się też w innych miejscach. Pewnie, nie wszystkie problemy da się rozwiązać na naszym szczeblu, ale też nie taka jest nasza rola. A większość niewydolności systemowych nas łączy: tych z małych ośrodków i lekarzy z wielkich miast. Staram się obalać też stereotypy, że leczenie w mniejszych ośrodkach przebiega byle jak, i chcę pokazać, że tutaj także zależy nam na pacjentach i chcemy zapewnić im opiekę na jak najwyższym poziomie.

Ten niewydolny system Pani jeszcze nie zniechęcił?

Zniechęca mnie stale, ale staram się nie dawać, bo mam całe życie zawodowe przed sobą.

A dlaczego pediatria?

Lubię pracę z dziećmi: one są szczere, bezpośrednie. Nie ściemniają, kiedy im się coś nie podoba, to najczęściej o tym powiedzą. Oczywiście, jeśli już potrafią mówić. W pediatrii też większość problemów da się skutecznie leczyć – to bardzo budujące, gdy widzę, że coraz skuteczniej mogę pomagać dzieciom i wspierać całą rodzinę.

Ile łóżek jest na Pani oddziale?

Dwadzieścia kilka. Zajmujemy się wszystkimi ludźmi do osiemnastki, granicą jest tylko PESEL. To z punktu widzenia mojego rozwoju jako lekarza jest ↦

fascynujące, bo mam do czynienia z bardzo dużym przekrojem problemów. Ale wymaga to też szerokich kompetencji, które muszę na bieżąco dostosowywać do pacjentów. I tak na jednym dyżurze mogę przyjmować na oddział dwutygodniowe dzieciątko z zapaleniem płuc oraz nastolatka po próbie samobójczej. A tych jest więcej z każdym rokiem.

System to wytrzymuje?

Kiedy kilka lat temu zaczynałam specjalizację z pediatrii, to oczywiste było, że dziecko po próbie samobójczej, po naszej interwencji, szybko dostanie się do psychiatry dziecięcego i zwykle na oddział psychiatrii dzieci i młodzieży. Nikomu by nie przyszło do głowy, że taka ciągłość opieki może nie zostać zachowana. A w tym momencie nie zawsze się to udaje.

Co wtedy robicie?

Na pediatrii prawie zawsze potrafimy uratować dziecko po próbie samobójczej od strony toksykologicznej: odtrutki, płukanie żołądka, jeśli są to przypadki dotyczące przedawkowania leków. Jeśli próba jest związana z jakimś urazem, to zajmuje się nią urazowa część SOR. Przy mówieniu o takich przypadkach przestrzegam ogólnie zalecanej zasady, by nigdy nikomu nie mówić o metodach samobójstwa, żeby tej wiedzy nie wykorzystano.

Ale przyczyny, która wywołała próbę samobójczą, my pediatrzy nie jesteśmy w stanie usunąć: nie mamy wiedzy ani narzędzi do tego.

To jak wyglądałoby to w wydolnym systemie?

Po ustabilizowaniu stanu pacjenta powinniśmy go przekazać pod opiekę do ośrodka, który ma leczyć właśnie przyczynę, czyli do ośrodka psychiatrii dzieci i młodzieży. Dziś takiej opcji bardzo często nie ma, bo te oddziały są przepełnione, a znajdują się w nich głównie dzieci po próbach samobójczych. Kogo stamtąd wypisać, żeby zrobić miejsce dla nowego pacjenta?

ARCHIWUM PRYWATNE

RÓŻA HAJKUŚ jest lekarką kończącą specjalizację z pediatrii. Pracuje w Szpitalu Specjalistycznym w Jaśle (woj. podkarpackie) na Oddziale Pediatrii i Alergologii. Prowadzi blog lekarzdladzieci.pl oraz edukacyjne konto na Instagramie @roza_lekarkadladzieci.

Na Podkarpaciu takim ośrodkiem jest szpital w Łańcucie.

Wszyscy, którzy tam pracują, starają się nam pomagać, ale na tę liczbę problemów psychicznych, które mają dziś dzieciaki, oni nie zawsze są w stanie zaopatrzyć całe województwo. W innych częściach Polski, jak wynika z relacji moich znajomych lekarzy, wcale nie jest lepiej.

Po naszym zgłoszeniu czasem dostajemy odpowiedź: nie damy rady, nie ma miejsc. Należy wtedy takie dziecko przynajmniej jednorazowo skonsultować z psychiatrą. Starsze dzieci, już nastolatki, czasem zgodzą się skonsultować psychiatrzy dorosłych. Robią to niechętnie, ale nie ze złośliwości, tylko sami czują, że nie mają ku temu odpowiednich kompetencji.

Co dzieje się dalej?

Kiedy dziecko jest już zaopiekowane od strony fizycznej, a potem uda nam się zorganizować konsultację, na której dostanie zalecenia odnośnie do leczenia, to zostaje wypisane do domu. Rodzice sami muszą zapewnić mu dalszą opiekę. I ci, którzy mają zaplecze finansowe, szukają jej prywatnie. Ale nawet w sektorze prywatnym terminy przyjęć nie są natychmiastowe.

I gdy pacjent, dziecko, wychodzi od nas do domu, to nie wiemy, czy ta rodzina dostrzega wagę problemu, czy będzie chciała się do niego „przyznać", szukać pomocy – takie przypadki nie są rzadkością. Stygmatyzacja i wstyd przed sąsiadami są nadal ogromne, zwłaszcza w małych miasteczkach, jak u nas. Brakuje też systemu, który by pozwalał monitorować, czy nasz pacjent dostał dalszą pomoc. Nie mamy wglądu w wizyty w innych ośrodkach.

Rodziny są naprawdę pozostawione same sobie. Co możemy zrobić? Mówić o tym, gdzie się da, i protestować, ale mam wrażenie, że przyzwyczailiśmy się już wszyscy do tego, że lekarze nieustannie powtarzają hasła o braku personelu, więc nikt ich nie słucha.

Często się pyta lekarzy, jak można naprawić nasz system ochrony zdrowia.

Nie mam odpowiedzi na tak wielkie pytanie. Na co dzień staram się go łatać, jak tylko mogę.

©℗ Rozmawiała EWELINA BURDA

OGŁOSZENIE

Sąd Rejonowy dla Warszawy-Woli w Warszawie II Wydział Cywilny informuje o toczącym się w tutejszym Sądzie postępowaniu z wniosku Wandy Konstancji Sobieskiej, pod sygn. II Ns 835/21 o stwierdzenie nabycia spadku po Jerzym Nowaku, ur. 19 października 1941 r. w miejscowości Osiny, s. Kazimierza Nowaga i Heleny z d. Jazgarskiej, zm. 10 listopada 2021 r., ostatnio przed śmiercią zamieszkałym w Warszawie przy ul. Świętochowskiego 3 m 5, wzywając spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia publikacji ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili swoje prawo do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postępowaniu o stwierdzenie nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym dla Warszawy-Woli w Warszawie, pod sygn. akt II Ns 567/19, z wniosku Miasta Stołecznego Warszawa, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Marianie Stefanie Woźniaku, s. Henryka i Stefanii, ur. 21 lipca 1929 r. w Krakowie, zm. 4 kwietnia 2009 r. w Warszawie, ostatnio zamieszkałym w Warszawie przy ul. Okopowej 7a/14.

Sąd wzywa spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia publikacji ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili swoje prawo do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

OLGA

Drenda: *Tysięczne i pierwsze spojrzenie*

Moja mama powiedziała mi kiedyś, że jeśli spojrzymy na coś, co mijamy codziennie, po raz tysięczny i pierwszy, to wyzeruje się nasz licznik i zobaczymy ten widok jakby od nowa. Nie jestem pewna, czy to ona wpadła pierwsza na ten pomysł, czy Halina Kunicka, która miała piosenkę o podobnym tytule, ale musiałam wziąć to sobie do serca, bo wynotowuję sobie, gdy zdarzy mi się takie spojrzenie i gdy zapadnie mi w pamięć coś z pozoru przezroczystego i banalnego. To moment, kiedy niespodziewanie wyławiam coś chrupiącego z rzeczywistości, która wydaje się jednolitą zupą.

Trochę sprzyja mi moja osobista predyspozycja do zwracania uwagi na drzewa zamiast na las. Gdy oglądam film, ignoruję fabułę, a zwracam uwagę na samochody i swetry. Z wakacji w dzieciństwie bardziej niż zabawy, rozmowy i przygody mogę pamiętać smaki wafelków z limitowanej serii letniej, które akurat były dostępne w kiosku, albo pytania, które padły w finale „Familiady". To być może sprawia mi pewne problemy w życiu prywatnym (choć się staram nadrabiać), ale robię z tej cechy użytek i przydaje się ona przynajmniej w pracy (która w pewnym momencie zazębiła się z osobistymi pasjami, a „Hobby, które może stać się sztuką" to tytuł podręcznika do rysunku zamówionego dla mojej siostry w księgarni wysyłkowej w 1994... sami państwo widzą, takie królicze nory są wszędzie i łatwo w nie wpaść).

Kiedy zaczęłam pracę nad stroną i książką „Duchologia polska" o codzienności czasów transformacji ustrojowej, uświadomiłam sobie, jak łatwo opowieść – „prawda ekranu" – zasłania „prawdę czasu", czyli nasze codzienne doświadczenia. Zaczynamy mimo woli mówić telewizją, filmem, memem, zasłyszaną, lecz niesprawdzoną anegdotą, a narracja medialna, fikcyjna, obiegowa pochłania nasze własne wspomnienia. Zjada nasze swetry, limitowane edycje wafelków, nawierzchnie utwardzone, tapicerki samochodowe, lakiery do włosów i przybory szkolne. Zaczynamy wtedy wierzyć w to, co pokazał czy powiedział nam kto inny, czuć nostalgię za czymś, czego nigdy nie przeżyliśmy. Żywimy przekonanie, że bardzo obchodziły pięcioletnich nas wybory w 1989 r. (bo tak wypada uważać), choć w rzeczywistości pasjonowało nas bardziej wydłubywanie resztek gumy do żucia z buta i komiks o Ciotce Fru-Bęc. To trochę jak podwójna ekspozycja w fotografii, czyli zdjęcie zrobione na już istniejącym zdjęciu, i trzeba nieco się postarać, by dostrzec pierwotny kadr i przypomnieć sobie pasjonujący świat codziennego banału.

Może wydawać się anonimowa, ale ta wiata ma swoje imię: TYP KALISZ

OLGA DRENDA

Wspólnymi siłami udaje nam się zrekonstruować coraz więcej z niedawno minionej codzienności (za co dziękuję wszystkim bywalcom i bywalczyniom mojej strony). Oczywiście, jak w piosence Czesława Niemena, „czas jak rzeka płynie unosząc w przeszłość tamte dni", i sceneria naszych zwyczajnych życiowych perypetii zmienia się niepostrzeżenie. Wtem owad z logo supermarketu przyjmuje nieco inną minę, a płaz z innej sieci sklepów kurczy się do samego uśmiechu, jak kot z „Alicji w Krainie Czarów". Zmieniają się interfejsy aplikacji, z których korzystamy, asortyment sklepów, to, co leży na pizzy, repertuar telewizji i obsada sitcomów, czyli niby nic, a jednak sam miąższ naszego doświadczenia.

Szkoda byłoby, gdyby to przepadło. Postanowiłam, że będę zapisywać takie wszechobecne i zwyczajne rzeczy, które właśnie z tego powodu mogą szybko zostać zapomniane, nadpisane przez kolejne dane. Myślę o tym trochę jak o archiwum dla przybyszów z Marsa albo dla przyszłych archeologów za kilkaset lat. Nawet za kilkadziesiąt albo kilkanaście, bo wspomnienia o rzeczach zwykłych łatwo się ulatniają.

A tam, skąd ulatnia się zwyczajność, wkrada się szybciutko jakieś dopowiedzenie, wyolbrzymienie, płynące z potrzeby baśni. Rysowniczka Imogen Duthie, która prowadzi stronę internetową poświęconą zabawkom i zabawnym przedmiotom, pisała o powstałym 1500 lat p.n.e. jeżyku na kółkach znalezionym na terenie dzisiejszego Iranu, na obszarze starożytnego miasta Suza. Najprawdopodobniej był gadżetem, zabawką, choć archeolodzy żartują ze swojego „odruchu kolanowego", każącego zakładać, że każdy znaleziony przedmiot mógł mieć potencjalne znaczenie kultowe. Duthie dodała, że pewnie za tysiąc lat odnalezione wózki z supermarketu będą uważane za rytualną ofiarę dla boga o imieniu Tesco. Zwyczajny użytek jest widocznie za mało ekscytujący dla odkrywcy – odnaleźć po tylu wiekach coś, w czym wożono proszek do prania i parówki, co za rozczarowanie.

To brzmi znajomo. Kiedy w latach 90. panowała moda na odkrywanie rzekomej pamięci poprzednich wcieleń, gwiazdy kina i telewizji deklarowały, że w przeszłości były zazwyczaj egipskimi kapłanami, wojownikami albo potężnymi czarownicami. Zawsze dziwiło mnie, że nikt nie chciał być szewcem ani sprzedawcą placków. A ja wolę placki i bardziej ciekawią mnie ich dzieje. Będę serwować więc państwu placki. ©

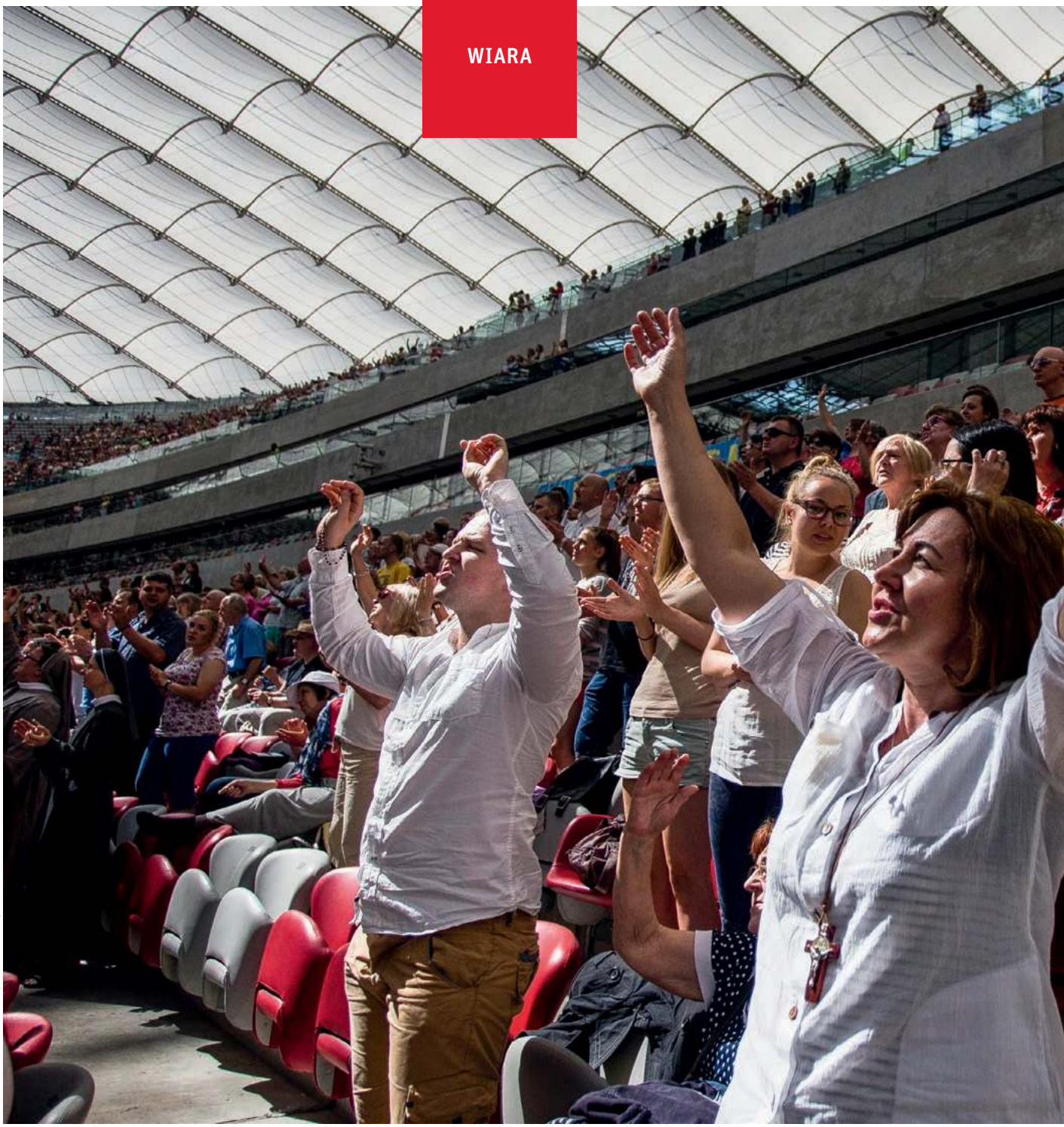

KRYSTIAN DOBUSZYŃSKI / NURPHOTO / GETTY IMAGES

WIARA, KTÓRA PARZY

Ruch charyzmatyczny w Polsce od kilkunastu lat się zmienia. Coraz więcej w nim lęku i demonów.

MAREK KĘSKRAWIEC

Spotkanie wiernych z ojcem Johnem Bashoborą na Stadionie Narodowym w Warszawie, 18 lipca 2015 r.

Potrzebują prostych rzeczy: wspólnoty i Słowa Bożego. Szukali ich w kościele parafialnym, często latami, podświadomie czując, że ich wiara jest powierzchowna, skupiona na rytuałach, pozbawiona emocji. I że nie ma przy nich prawdziwego pasterza, z którym można dzielić troski. Spotykali się w ławkach świątyni z innymi katolikami, przekazywali im znak pokoju, ale na tym się kończyło. Ta sama osoba na alejce osiedlowej prowadzącej do sklepu była już obca; nawet zwykłe „dzień dobry" grzęzło w gardle.

– Do naszej parafii trafił wspaniały, młody ksiądz. Był inny niż poprzednicy, sprawiedliwy, pełen energii. Ja mam prawie sześćdziesiątkę, ale przy nim odżywałam, mąż też. Potem nasz proboszcz jakoś tak zgorzkniał. Z jednej strony chyba się tu nudził, a z drugiej słabo znosił tę mentalność, która nakazuje patrzeć w księdza jak w święty obraz. W końcu przestaliśmy się rozumieć – wspomina z żalem pani Katarzyna, urzędniczka z małego miasteczka niedaleko Kalisza, którą jeszcze przed pandemią spotkałem na rekolekcjach prowadzonych przez słynnego charyzmatycznego kapłana, o. Johna Bashoborę z Ugandy.

To prawdziwy fenomen. Czarnoskóry kapłan, w kraju często ocenianym jako ksenofobiczny, stał się najpopularniejszym kaznodzieją gromadzącym tysiące wiernych. Rok 2013 – 58 tys. na Stadionie Narodowym, 45 tys. w 2015 r., 30 tys. w 2017 r. Później afrykański kapłan skupił się na spotkaniach w mniejszych ośrodkach, które wzmacniają małe lokalne wspólnoty.

Mogę śpiewać Alleluja

Wspólnota to słowo klucz do zrozumienia ruchu charyzmatycznego. Pionowa struktura obowiązująca w Kościele katolickim, z władzą idącą od papieża, przez biskupów, na proboszczach kończąc – nie wszystkim odpowiada. Zwłaszcza teraz, po doświadczeniu samotności i zagubienia podczas pandemii, w obliczu wojny i kryzysu ekonomicznego – bycie razem, wspieranie się pod okiem naturalnego, a nie narzuconego przewodnika, wydaje się niezwykle ważne. Za tą potrzebą podąża wielu księży oraz ludzi świeckich, tworzących w Kościele poziome struktury, skupione na przeżywaniu obecności Ducha Świętego w codziennym życiu, na każdym kroku.

Z jednej strony jest to ożywcze zjawisko. W takiej wspólnocie wierni skupiają się na bezpośredniej, częstej lekturze Pisma Świętego, z czym większość katolików jest na bakier, oraz na intymnym przeżywaniu obecności Boga, który staje się realnym towarzyszem życia. Tak samo zresztą jak inni członkowie wspólnoty, dzielący troski, niosący sobie pomoc w trudnych sytuacjach. Spotkałem wielu takich ludzi podczas rekolekcji prowadzonych przez o. Bashoborę.

– Uciekłam przed parafialną depresją – śmiała się jedna z uczestniczek, która przyjechała z Łodzi. – Tu mogę śpiewać głośno „Alleluja!", unosić ręce, kołysać się, trzymać za dłonie obcą osobę i czuć, że znam ją od zawsze. I nikt nie puka się w głowę, że coś ze mną jest nie tak.

Punktem wspólnym wielu opowieści płynących z ruchu charyzmatycznego są emocje. A właściwie to, jak zmienia się wiara, gdy staje się „gorąca", naprawdę przeżywana. Aby zobaczyć takie chrześcijaństwo „w akcji", pojechałem na trzydniowe rekolekcje z o. Bashoborą. Szukałem odpowiedzi na pytanie, dlaczego właśnie on stał się najpopularniejszym kaznodzieją w Polsce.

Pierwsze wrażenie było zaskakujące. Spodziewałem się showmana, który natychmiast zawładnie salą i rozhuśta emocje, tworząc atmosferę tajemniczości i respektu graniczącego z lękiem przed mistrzem. Tymczasem ujrzałem skromnego człowieka, który stopił się z tłumem. Wszedł wolnym krokiem, w skromnej, ciemnej kurtce, krępy, jakby trochę zmęczony. Nie popisywał się estradowymi sztuczkami, nie biegał z kąta w kąt, nie podkreślał na każdym kroku specjalnej relacji z Bogiem. Nie było w nim pychy, która często przywiera do popularnych przywódców duchowych.

Bashobora buduje klimat powoli, spokojnie. Jest bardziej jak brat łata niż mistrz, życzliwy, używający prostego języka, wspierający się czytelnymi alegoriami, akceptujący ludzkie niedoskonałości. Wchodzący między ławki, zwracający się bezpośrednio do ludzi, a co najważniejsze, posiadający poczucie humoru. Na spotkania z nim przyjeżdżają ludzie z całej Polski, bywa, że złamani chorobami własnymi lub najbliższych, przemocą domową, kłopotami w pracy, depresją, zagubieni w świecie. Przy Bashoborze mogą podładować akumulatory, przekonać się, że w swej drodze do Boga nie są jedynymi, którzy przeżywają podobne rozterki.

Ale jest też druga strona medalu. – Mówiąc o ruchu charyzmatycznym w Polsce, należy wyraźnie rozróżnić to, jak wyglądał on przed 2007 rokiem, i to, co stało się z nim w późniejszych latach, kiedy ↦

↦ do Polski napłynęły nowe formy religijności z Azji, Afryki i Ameryki – zaznacza ks. prof. Andrzej Kobyliński, wykładowca Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie.

Wcześniej religijność charyzmatyczna w Polsce kojarzyła się z ks. Franciszkiem Blachnickim, twórcą ruchu oazowego. Setki tysięcy Polaków zaczęły w latach 70. XX wieku tworzyć wspólnoty odwołujące się bezpośrednio do Pisma Świętego, praktykujące spontaniczną modlitwę (zamiast „klepania zdrowasiek") i kierowane przez pełnych energii księży. Z czasem oazy zaczęły przenikać się z „dorosłym" Ruchem Odnowy w Duchu Świętym, który również przyjął za cel przemianę sformalizowanego życia duchowego katolików i nadanie mu żywej formy wspólnotowej. Ważne było też przeświadczenie, że opisane w Biblii dary Ducha Świętego są dostępne dla każdego, kto naprawdę pójdzie za Jezusem.

– Te wspólnoty bardzo się zmieniły z biegiem lat – uważa ks. Jacek Prusak, krakowski jezuita, zarazem doktor psychologii i terapeuta. – Manifestuje się w nich na pewno większa niż kiedyś potrzeba doświadczania zjawisk niezwykłych, nadnaturalnych, wzmacnianych obecnie przez renesans egzorcyzmów i spisy zagrożeń duchowych. Od zawsze jednak ludzie lgnęli do ruchów charyzmatycznych kierowani marzeniem o powrocie do chrześcijaństwa pierwotnego, zorganizowanego nie wokół dzwonnicy i kancelarii parafialnej oraz beznamiętnej liturgii prowadzonej bez pasji, ale wokół szczerej, emocjonalnej modlitwy, a także wspólnoty i pełnego charyzmy lidera, dzięki którym objawia się obecność Boga i w których do głosu dochodzą charyzmaty Ducha Świętego. Czasem bardzo spektakularne, jak uzdrawianie chorych czy proroctwa, dające poczucie, że Bóg jest obecny tuż obok nas. To bardzo wzmacnia wiarę całej wspólnoty. Ludzie chcą doświadczyć tego, w co wierzą, a jeśli tego doświadczają, utwierdzają się w przekonaniu, że to jest prawda.

Problem w tym, że – jak uważa ks. Prusak – charyzmatycy najczęściej traktują treść Pisma Świętego literalnie, wprost. Wierzą, że cuda, które są tam opisane, to nie jest zamknięta karta w historii chrześcijaństwa, a Nowy Testament nie jest jedynie wspomnieniem tego, co działo się dwa tysiące lat temu. Oni uważają, że opisane tam rzeczy, nadzwyczajne dla większości z nas, staną się zwyczajne, jeśli ludzie zaczną znowu szczerze uwielbiać Boga. Mają zarazem dość uproszczoną wizję świata. Cofają się do czasów Jezusa i traktują je tak, jakby w nich wyczerpywał się cały model rzeczywistości.

– Słowem: my posługujemy się innym obrazem świata niż oni – uważa ks. Prusak. – Chociaż są naszymi rówieśnikami w XXI wieku, to ich świat nie jest tym światem, który nas otacza, ale tym sprzed dwóch tysięcy lat, z kart Nowego Testamentu.

Choroba jest grzechem

Po 2007 r. – wedle prof. Kobylińskiego – tendencje do karmienia wiary nadzwyczajnymi zjawiskami znacznie wzrosły. Wtedy to do Polski zaczęli przyjeżdżać słynni kaznodzieje z Indii i Brazylii oraz o. Bashobora z Ugandy. Ten ostatni oprócz aury uzdrowiciela cieszył się też marką... wskrzesiciela.

– Przed rekolekcjami na Stadionie Narodowym w 2013 roku cała Polska mówiła, że ugandyjski kapłan przywrócił do życia dwadzieścia siedem osób, zaś organizatorzy milczeli, jakby kolportowanie takich rewelacji było im na rękę, bo ściągało tłumy – wspomina ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, prowadzący liczne ośrodki opieki nad ludźmi niepełnosprawnymi intelektualnie. Najbardziej oburzało go to, że Bashobora sam nigdy nie prostował tych opowieści.

Faktem jest na pewno, że kapłan z Ugandy nie epatuje historiami o wskrzeszeniach. Podczas rekolekcji usłyszałem tylko jedną. Bashobora siedział w biurze sierocińca (założył ośrodek i szkołę z internatem dla sierot, ofiar wojny), gdy pojawili się pracownicy z martwym dzieckiem na rękach. – Wziąłem je w objęcia i powtarzałem: *„I love you"*. I dziecko ożyło. Teraz jednak muszę uważać, by go nie wywyższać – cała opowieść o. Johna o przywróceniu do życia zmarłego to ledwie kilka zdań. Nie było w niej żadnego potwierdzenia ze strony lekarza, żadnej wątpliwości, że może to był tylko letarg. Uczestnikom rekolekcji w ogóle to nie przeszkadzało, nikt nie zadał nawet jednego pytania o szczegóły cudu.

To druga strona życia wspólnot. Obserwując przez kilka lat spotkania różnych grup charyzmatycznych, dostrzegłem niski poziom krytycyzmu. A zarazem wielką otwartość na ponadnaturalne tłumaczenie nawet zwykłych z pozoru zjawisk.

Spektakularnym przejawem nieustannego poszukiwania drugiego dna jest stosunek do chorób. Zwłaszcza te poważniejsze nie mogą być dziełem przypadku – one są konsekwencją grzechu. Może to być grzech nasz, grzech naszych bliskich, może to być wreszcie grzech naszych przodków. – Jeśli jakaś dusza choruje, cierpi też ciało – słyszałem wielokrotnie.

Konsekwencją takiego myślenia nie jest na szczęście porzucenie tradycyjnej medycyny, niemniej bardzo wielu członków wspólnot charyzmatycznych bierze równocześnie udział w mszach o uzdrowienie lub o uwolnienie, które odbywają się cyklicznie w niektórych polskich kościołach.

Poszukiwanie psychicznych źródeł chorób nie jest dziś niczym dziwnym w medycynie. W tym kontekście interesujące są zwłaszcza tzw. zaburzenia konwersyjne, czyli np. mocne osłabienie słuchu lub wzroku pod wpływem traumatycznych przeżyć (często w dzieciństwie), a nawet częściowy paraliż kończyn, którego przyczyn nie da się wyjaśnić żadnym uszkodzeniem fizycznym. Na podobnej zasadzie wielu z nas odczuwa pod wpływem stresu ból w jamie brzusznej, duszności, kołatanie serca, szczególnie wrażliwe osoby wręcz wymiotują lub mdleją. Mechanizm przenoszenia silnych negatywnych emocji na ciało nie jest dokładnie poznany, ale skutkuje niekończącymi

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny, pod sygnaturą I Ns 456/21, na skutek wniosku Asekuracji spółki z o. o. w Sopocie toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Hannie Małgorzacie Kałowskiej, zm. 16 października 2017 r. w Mińsku Mazowieckim, ostatnio stale zamieszkałej w Mińsku Mazowieckim.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

się pielgrzymkami do kolejnych lekarzy przy zerowym efekcie.

– W swojej długoletniej praktyce lekarskiej spotkałem się dziesiątki razy z niewytłumaczalnymi przypadkami czasowej utraty mowy lub napadów pseudopadaczkowych. Miałem pacjentkę, która w wieku czternastu lat doznała czasowego porażenia kończyn. Dopiero po latach wyjawiła mi, że doszło do tego z powodu szokującej sceny z udziałem jej matki i konkubenta – opowiada prof. Sławomir Czachowski, kierownik Katedry Psychologii Klinicznej i Neuropsychologii UMK w Toruniu.

Podczas specjalnych nabożeństw oraz spotkań ze słynnymi charyzmatykami niezwykłe znaczenie ma osobowość prowadzącego, oświetlenie, profesjonalnie budowane napięcie oraz indywidualna podatność na sugestię. W takich okolicznościach chorzy cierpiący na niedowłady mogą wstawać z wózków, a niedowidzący odzyskać ostrość wzroku. Najczęściej tylko czasowo, ale jest to dla nich źródło ogromnej nadziei i powód do uczestnictwa w kolejnych tego typu seansach.

– Jeśli religijne rytuały pomagają w uzdrowieniu tych ludzi, to nie wolno ich wyszydzać – podkreśla prof. Czachowski. – Jednak pytanie o rolę Boga w tym wszystkim może być dla mnie tylko pytaniem o to, kto stworzył ten system, ale nie o to, czy Bóg leczy osobę, która wstaje z wózka.

A teraz cię uwolnię

Z pozoru mogłoby się wydawać, że wspólnoty charyzmatyczne są pełne radości. Nie zawsze. Część wiernych popada bowiem w pandemoniczną wizję świata, w którym nieustannie toczy się walka dobra ze złem. W tej wizji szatan codziennie wystawia nas na próby, atakuje chorobami – ale możemy się przed nim bronić. Taki m.in. cel ma święcenie wody, soli i oleju na koniec nabożeństw czy rekolekcji. Widziałem to wielokrotnie, np. podczas mszy o uwolnienie jednej z krakowskich wspólnot związanych z miesięcznikiem „Egzorcysta", na łamach którego czytelnicy są nieustannie straszeni manifestacjami obecności diabła i demonów we współczesnym świecie.

Do katolickich wspólnot charyzmatycznych trafił też (skopiowany z Kościoła zielonoświątkowego) obrzęd nakładania rąk przez kapłana na głowy wiernych, dzięki czemu spływać ma na nich boska, ozdrowieńcza moc. Obserwowałem to na własne oczy wielokrotnie. Często nie miałem wątpliwości, że dla stojących obok mnie ludzi ceremonia ta jest radosnym, ale i wstrząsającym doznaniem emocjonalnym, i to zanim jeszcze kapłan dotknął wiernego. Ci ludzie upadali (nazywane jest to spoczynkiem w Duchu Świętym), a po kilkudziesięciu sekundach odzyskiwali świadomość, opisując mi błogostan i jedność z Bogiem. Inni robili to bardzo sztucznie, nie sposób było pozbyć się wrażenia, że wywracają się tylko dlatego, że inni to robią.

> Część charyzmatyków **twierdzi, że jest w stałym kontakcie z Bogiem,** bo potrafi spośród wielu myśli wyróżnić te pochodzące od Niego.

Seanse uzdrawiania różnią się między sobą. Dla o. Bashobory to w zasadzie tylko dodatek do rekolekcji. Jednak przyjeżdżający często do Polski brytyjski katolicki charyzmatyk Damian Stayne z uzdrawiania uczynił centrum swojej działalności. Podczas wywiadu dla wspólnoty Mocni w Duchu mówił parę lat temu: „Było 249 uzdrowień w piątek i 350 fizycznych uzdrowień wczoraj. Wiele guzów, nowotworów, zmniejszyło się i zniknęło. Ludzie odrzucali kule, wiele osób głuchych wyjmowało aparaty słuchowe. Była pewna kobieta, która miała operację na ucho w wieku 12 lat. Operacja nie powiodła się i całkowicie zniszczyła jej ucho. Ucho było całkowicie głuche przez 54 lata. I po wypowiedzeniu słów rozkazu dla uzdrowienia uszu ona słyszy na to ucho doskonale, słyszy nawet szept. Po 54 latach!".

Widziałem długie nagrania z tych spotkań. Fakt, na scenie pojawiło się ok. 20 osób, które opowiadały, że poprawił im się wzrok i słuch, nikt jednak nie twierdził, że zniknął mu nowotwór. Zresztą, jak to stwierdzić bez badań?

Krakowski jezuita ks. Jacek Siepsiak od lat 70. XX wieku obserwuje przemiany w ruchu charyzmatycznym. Jego zdaniem kiedyś nie było w nim tak dużej fascynacji zjawiskami nadnaturalnymi oraz potrzeby ciągłej obrony przed wpływem diabła.

– Wpędza się ludzi w poczucie winy, przeraża, po czym przychodzi lider i mówi: „teraz ja cię od tego uwolnię, Bóg dał mi moc" – tłumaczy Siepsiak, który równocześnie zauważył, że w obecnych wspólnotach bardzo popularna stała się kolejna forma „specjalnej więzi z Bogiem". To glosolalia, czyli umiejętność mówienia tzw. językiem aniołów, poprzez który Duch Święty przekazuje rzekomo ważne treści. Językoznawcy wielokrotnie badali nagrania dźwięków wydawanych przez ludzi w transie i nie dostrzegli nigdy żadnej wewnętrznej struktury układającej się w spójny przekaz. Prawda jest zazwyczaj trywialna. Charyzmatyk używa określonego (zazwyczaj bardzo ubogiego) zasobu sylab, który potem kopiują jego wyznawcy. Nie przeszkadza to im jednak twierdzić, że posiedli ekskluzywną umiejętność kontaktu z Bogiem.

– Glosolalia nie jest dla mnie charyzmatem dla wybrańców ani też legitymacją świętości, jest za to doskonałym narzędziem wprowadzającym w mistyczną ciszę. Zaczynasz się modlić bez ubierania w konkretne słowa, wychodzisz z formułek, uwalniasz się. Wydajesz dźwięk, którego nie rozumiesz, to jest trochę jak mruczenie, jak nucenie melodii. Na pewno jednak nie mówię biblijnym językiem staroaramejskim, który ktoś mógłby przetłumaczyć. Można przyrównać go raczej do dziecięcego gaworzenia lub do śpiewu w transie – tłumaczy o. Siepsiak.

Głos Boga?

Część wiernych ze wspólnot idzie jeszcze dalej. Twierdzą, że są w stałym kontakcie z Bogiem, bo potrafią spośród wielu myśli wyróżnić te pochodzące od Niego. Dr Tanya Luhrmann, słynna amerykańska antropolożka, badała to zjawisko i doszła do wniosku, że podobną zdolność można wyrobić podczas specyficznego treningu.

– Dla nas umysł jest czymś zamkniętym. Nikt nie wie, co myślimy, dopóki mu tego nie powiemy. Oni zaś patrzą na umysł, jakby był przeźroczysty. Stany mentalne traktują nie jako funkcję naszej psychiki, tylko funkcję obejmującego wszystko Ducha – tłumaczy o. Prusak. – Podstawowe założenie jest takie, że Bóg się z nami nieustannie komunikuje. I to nie poprzez fenomeny mistyczne, że ↦

↦ czasem ktoś usłyszy głos Boga albo ujrzy Jezusa lub Maryję. Ich zdaniem o wiele częściej zdarza się, że podczas modlitwy albo nawet poza nią Bóg bezpośrednio, spontanicznie do nas mówi, tylko my nie jesteśmy zazwyczaj do tego dostrojeni. Inaczej mówiąc, ci ludzie są zdania, że Bóg bez przerwy chce się z nami skontaktować, tylko my tak daleko odeszliśmy od Niego, że straciliśmy tę „boską częstotliwość". Według Tanyi Luhrmann, jeśli ktoś do rozmowy z Bogiem podchodzi bardzo poważnie i ma do tego pewne predyspozycje psychiczne, to w pewnym momencie nastąpi swoisty przeskok i od tego czasu taki człowiek funkcjonuje inaczej: w niezrozumiały dla większości, rzekomo irracjonalny sposób. Nie ma to jednak nic wspólnego z chorobą psychiczną. Członkowie wspólnot nie tracą kontaktu z rzeczywistością, nie mają urojeń, chodzą do pracy, funkcjonują w niej w normalny sposób, myślą logicznie, ale w ich życiu Bóg przestaje być Tajemnicą, a wewnętrzne odczucia stają się probierzem wiary.

Myślą logicznie, ale świat, który tworzą, jest pełen sprzeczności. Jest w nim i radość ze stałej obecności Boga w życiu, i poważne podejście do chrześcijańskich wartości. Zarazem w ludziach tych tkwi często głęboki lęk i elementy myślenia pełnego zabobonów, jak przekonanie, że możemy być karani przez Boga klątwą za grzechy przodków, kłócące się choćby z wolną wolą.

Hierarchia kościelna jest w sprawie wspólnot podzielona. Jedni biskupi je wspierają, inni niechętnie widzą charyzmatyków w swych diecezjach. Generalnie istnieje świadomość wielu zagrożeń, ale nikt nie chce przesadnie atakować ruchu, który w czasach kryzysu wiary utrzymuje przy katolicyzmie tłumy entuzjastycznie nastawionych do Boga ludzi. A poza tym przywódcy polskiego Kościoła muszą się dziś mierzyć z kryzysem własnego autorytetu. Tym, co głoszą, nie odpowiadają bowiem na potrzeby tysięcy zagubionych wiernych, którzy coraz częściej wolą iść za głosem serca, w stronę prawdziwych pasterzy.

©℗ MAREK KĘSKRAWIEC

Niektóre wypowiedzi pochodzą z książki autora pt. „Bashobora. Człowiek, który wskrzesza zmarłych".

KAMIL PIKLIKIEWICZ / EAST NEWS

Siostra Jeannine Gramick. Warszawa, 1 grudnia 2016 r.

List od przyjaciela

MARCIN CHODUŃ

Siostra Jeannine Gramick z zakonu loretanek od ponad pół wieku pomaga w USA osobom LGBT+. Tę działalność docenił papież, dziękując zakonnicy za „bliskość i współczucie".

Aktywiści z założonej w 1977 r. przez s. Jeannine Gramick oraz o. Roberta Nugenta katolickiej organizacji New Ways Ministry (Nowe Drogi Duszpasterstwa) napisali do papieża list. Chcieli przedstawić w nim historię swojej organizacji oraz cel jej działalności – budowanie mostów pomiędzy społecznością LGBT+ i Kościołem katolickim.

Zrobili to, choć nie wiedzieli, jakiej odpowiedzi mogą się spodziewać.

W przeszłości Watykan i większość amerykańskich hierarchów spoglądali na działalność s. Jeannine Gramick zdecydowanie krytycznym okiem.

Nic dziwnego, że s. Gramick bardzo się ucieszyła, gdy otrzymała odręcznie napisaną odpowiedź od Franciszka. – Czułam się, jakbym dostała list od przyjaciela – wyznaje.

Normalni ludzie

Dokładnie pamięta tamtą chwilę – w 1971 r. jako doktorantka matematyki na Uniwersytecie Pensylwanii podczas domowej mszy spotkała 25-letniego wówczas Dominica Basha. Dominic od wczesnych lat swojego życia wiedział, że jest gejem. W tamtych czasach jednak o tym się po prostu nie mówiło. Gorzej: gdy rodzice Dominica dowiedzieli się o jego orientacji, wyrzucili go z domu. Już jako nastolatek czuł powołanie do życia konsekrowanego; wstąpił do zakonu franciszkanów. Jednak po krótkim czasie opuścił zgromadzenie – nie mógł pogodzić swojej orientacji seksualnej („takiej, z jaką stworzył mnie Bóg") z nauczaniem Kościoła. Wiedział, że gdyby podczas spowiedzi powiedział o swoim homoseksualizmie, zostałby wyrzucony z konfesjonału. Czy tak można żyć?

Po tamtej mszy powiedział do s. Gramick, że ma wielu przyjaciół, którzy chcieliby być na tej mszy, ale się boją. Myślą, że Kościół ich nie chce. Siostra zaproponowała: „Dlaczego nie zrobimy domowej mszy w twoim mieszkaniu, a ty zaprosisz na nią swoich gejowskich przyjaciół?". Tak zaczęły się cotygodniowe liturgie w mieszkaniu Dominica. – Wiedziałam, że to jest coś, co Kościół po prostu musi zrobić dla tych ludzi – mówi s. Gramick.

Co wówczas wiedziała o osobach homoseksualnych? Znała to słowo ze słyszenia, ale ledwie wiedziała, co ono oznacza. W głowie miała mity i stereotypy, żywe w tamtych czasach w amerykańskim społeczeństwie. Lesbijki i geje? Uważano powszechnie, że wielu z nich to zapewne dobrzy ludzie, ale jednak w jakiś sposób są niezrównoważeni psychicznie.

Kiedy jednak poznała Dominica i jego przyjaciół, wydali się normalnymi ludźmi. Siostra Gramick pamięta zwłaszcza pewną młodą prawniczkę – bardzo ją podziwiała za jej mądrość. Pomyślała wtedy: „Ta kobieta na pewno nie jest niezrównoważona".

Dominic pozostał bardzo pobożny – wstąpił ostatecznie do Kościoła episkopalnego (Kościół anglikański w USA). Jego mieszkanie było pełne symboli religijnych. Stał się wpływowym aktywistą – zbierał fundusze na badania nad AIDS oraz na rzecz praw osób LGBT+. Gdy w 1993 r. umierał, powiedział s. Gramick, że się nie boi. Życie było dla niego jak kolejka górska. Czuł, że w chwili śmierci będzie na jej szczycie, a potem bez tchu rzuci się w otwarte ramiona kochającego Boga.

Trudne relacje

Siostra Gramick przyznaje: – Kontakty z amerykańskimi hierarchami od początku działalności New Ways Ministry były trudne.

Gdy pod koniec lat 70. XX w. razem z o. Robertem Nugentem zaczęła organizować na terenie całego kraju warsztaty edukacyjne dla katolików na temat genezy homoseksualizmu, jego aspektów medycznych oraz homofobii (w ciągu ponad dekady odbyły się one w trzech czwartych wszystkich amerykańskich diecezji), arcybiskup diecezji waszyngtońskiej kard. James A. Hickey zwrócił się do przełożonych siostry o przeprowadzenie dochodzenia i zalecenie odpowiednich kar. Prośbę tę ponowił jeszcze dwukrotnie – jednak wszystkie przełożone generalne zgromadzenia s. Gramick konsekwentnie odmawiały. – W czasie gdy byłam siostrą ze zgromadzenia Notre Dame, moje przełożone wspierały to dzieło – wspomina siostra.

Nazwę warsztatów – „New Ways" – s. Gramick i o. Nugent wzięli z listu pasterskiego bp. Francisa Mugavera, w którym mówił on o potrzebie znalezienia „nowych dróg" niesienia prawdy o Chrystusie lesbijkom i gejom. – Podczas warsztatów analizowaliśmy wszystkie negatywne cytaty biblijne dotyczące homoseksualizmu i pokazywaliśmy, jak bibliści sobie z nimi radzą – wspomina s. Gramick. – Mówiliśmy także o teologicznych wykładniach dotyczących orientacji i zachowań seksualnych.

Wedle niej od końca lat 60. do początku lat 80. XX w. wśród amerykańskich katolików panowała ekscytacja spowodowana Soborem Watykańskim II oraz ideą sprawiedliwości społecznej. – Biskupi w USA byli raczej zachowawczy, ale księża, zakonnice i świeccy, odpowiedzialni za instytucje katolickie, wykazywali dużą gotowość do przyjęcia czegoś kontrowersyjnego lub po prostu nowego – mówi. – Sytuacja radykalnie się zmieniła, gdy na początku lat 80. i 90. Jan Paweł II mianował nowych biskupów. Od tej chwili katoliccy liderzy, choć nadal bardzo otwarci i przyjaźni wobec osób LGBT+, bali się tego, co może powiedzieć ich biskup.

Siostra Gramick pamięta, że w tamtym czasie wielu biskupów uniemożliwiało prowadzenie warsztatów. – Odbywały się one głównie w domach matek wspólnot kobiecych lub w ośrodkach rekolekcyjnych. Z radością mogę powiedzieć, że siostry zakonne jako pierwsze w Kościele poruszały kwestię homoseksualizmu.

Ostatecznie kard. James A. Hickey zwrócił się do Watykanu, aby wywarł odpowiedni nacisk na przełożonych s. Gramick w celu zakończenia jej posługi. Kongregacja Nauki Wiary powołała w 1985 r. komisję do zbadania sprawy. Jej prace trwały do 1999 r. W ich efekcie s. Gramick i o. Nugent otrzymali zakaz wykonywania jakiejkolwiek pracy duszpasterskiej związanej z osobami LGBT+. W przesłanym zawiadomieniu watykańska komisja stwierdziła, że prezentowane przez nich treści na temat homoseksualizmu nie przedstawiały „wewnętrznego zła aktów homoseksualnych i obiektywnego zaburzenia tego rodzaju skłonności".

W wyniku tej decyzji Jeannine Gramick opuściła wspólnotę sióstr Notre Dame i wstąpiła do sióstr loretanek, aby kontynuować swoją posługę. Ten okres swojego życia wspomina jako trudny, pełen stresu. Patrząc wstecz, wydaje jej się, że cierpiała wówczas na depresję.

Postęp mimo wszystko

Więzi między archidiecezją Waszyngtonu a New Ways Ministry (organizacja ma siedzibę w graniczącym z Waszyngtonem mieście Mount Rainier w stanie Maryland) w latach 80. i 90. praktycznie nie istniały. – Jednak od 2000 r., gdy kard. James A. Hickey przestał być arcybiskupem Waszyngtonu, zaczęliśmy mieć dobre, prywatne relacje z każdym z jego następców, w tym z obecnym arcybiskupem, kard. Wiltonem D. Gregorym – mówi s. Gramick.

Według amerykańskich aktywistów LGBT+ Kościół rzymskokatolicki, największa denominacja chrześcijańska w Stanach Zjednoczonych (jej liczebność szacuje się na 62 mln członków), w ostatnich trzech dekadach coraz bardziej akceptował w życiu kościelnym gejów i lesbijki żyjących w celibacie, oferując im jak najpełniejsze przyjęcie. ↦

↦ Od niedawna jednak nietolerancja nawet wobec tych wiernych znów rośnie – choć wszystko zależy od konkretnego miejsca. Są w USA takie diecezje i parafie, które z zasady odmawiają wsparcia w swoich strukturach osobom i rodzinom LGBT+. Zdarzały się również przypadki zwolnień pracowników LGBT+ z katolickich szkół i instytucji parafialnych.

Siostra Jeannine Gramick: – Przyznaję, że nadal nie jesteśmy tam, gdzie powinniśmy być jako Kościół. Mimo wszystko jednak postęp się dokonuje: 50 lat temu nie można było w Kościele nawet powiedzieć słowa „gej".

Rzeczy najważniejsze

Choć s. Gramick dodaje, że ów postęp dokonuje się bardzo powoli – nawet w chwili pisania listu do papieża wielu katolików w USA wciąż uważało, że New Ways Ministry nie jest organizacją katolicką. – Przewodniczący Konferencji Biskupów Katolickich USA, kard. Francis E. George z Chicago, stwierdził, że nie jesteśmy organizacją katolicką, ponieważ opowiadamy się za małżeństwami cywilnymi dla lesbijek i gejów.

Zdaniem siostry Jeannine Gramick, w sprawie wsparcia osób LGBT+ nadal **nie jesteśmy tam, gdzie powinniśmy być jako Kościół.**

Tym większa była radość, gdy nadeszła odpowiedź od papieża – i to już po dwóch tygodniach. W kolejnym liście aktywiści z New Ways Ministry wraz z s. Gramick napisali do papieża, że nie chcą robić niczego bez jego zgody. Odpowiedź na to pismo nadeszła w ciągu zaledwie tygodnia. Wtedy korespondencja zaczęła przybierać bardziej osobiste tony – w pierwszym liście, który s. Gramick napisała do Franciszka we własnym imieniu, przedstawiła się i opowiedziała mu o swojej babci (ma zarówno ze strony ojca, jak i matki polskie korzenie). Wiedziała – tłumaczy – że papież obdarzał swoją babcię wielką miłością.

We własnoręcznie napisanej po hiszpańsku odpowiedzi Franciszek pochwalił ją za „gotowość do cierpienia w imię miłości" – bez strachu przed bliskością, bez potępiania kogokolwiek, z „czułością siostry i matki". Napisał, że jej posługa jest „w Bożym stylu", a list zakończył słowami: „Dziękuję, siostro Jeannine, za całą twoją bliskość i współczucie".

Siostra Gramick: – Za sprawą papieża Franciszka w Kościele nastaje nowa era. Ludzie mogą czuć się bardziej wolnymi.

Jaką widzi przyszłość osób LGBT+ w Kościele? W wywiadzie dla jednej z amerykańskich gazet wyraziła niedawno nadzieję, że przyjdzie taki dzień, gdy będą się oni czuli częścią Kościoła, jak każdy inny wierny. Bo tak naprawdę, według niej, liczy się to, czy ktoś podąża za błogosławieństwami. Czy pomagasz ubogim? Czy odziewasz ludzi, którzy są nadzy? Czy odwiedzasz tych, którzy są w więzieniu? Czy jesteś miłosierny?

– To jest – mówi – najważniejsze, a nie czyjaś płeć, tożsamość płciowa czy orientacja seksualna. © MARCIN CHODUŃ

REKLAMA

ZIELONA NIEPODLEGŁOŚĆ
IGRZYSKA WOLNOŚCI
14-16.10.22
EC1 Łódź

Adam Bodnar | Jane Goodall | Mariusz Szczygieł | Mark Lilla
Martyna Wojciechowska | Etgar Keret | Hanna Zdanowska
Johan Norberg | Barbara Kurdej-Szatan | Tomasz Sekielski
Karolina Korwin Piotrowska | Adam Zieliński „Łona"

bilety na www.igrzyskawolnosci.pl

Organizator
LIBERTÉ!

Partnerzy strategiczni
ŁÓDZKIE CENTRUM WYDARZEŃ

Wierzący znad Tygrysu

MARCELINA SZUMER-BRYSZ
Z DIYARBAKIRU (TURCJA)

Najznamienitszy meczet Diyarbakıru do VII wieku był kościołem św. Tomasza. Choć w tej części Turcji mieszkają dziś głównie kurdyjscy muzułmanie, dzwonnice w tym mieście mają takie samo prawo bytu jak minarety.

MEHMET DORUK TASCI / ALAMY / B&EW

Kościół ormiański św. Cyriaka w Diyarbakırze Turcja, 8 maja 2022 r.

Pierwsze zaskoczenie to architektura. Nawykła do bogatych, dekoracyjnych i przykrytych licznymi kopułami meczetów osmańskich, których pełen przegląd podziwiać można w Stambule, przez chwilę nie mogę się odnaleźć na dziedzińcu otaczającym Ulu Cami. Wielki Meczet – główna świątynia Diyarbakıru i jeden z najstarszych meczetów w Turcji – zupełnie ich nie przypomina. Prosta, wręcz surowa budowla z ciemnego bazaltu, z jasnymi, kamiennymi „plastrami miodu" w oknach, kojarzy się raczej z protestanckim kościołem niż meczetem, mimo iż głazy udekorowane są inskrypcjami w języku arabskim, a przed budynkiem znajduje się tradycyjna fontanna, w której wierni dokonują niezbędnych ablucji.

Skojarzenie okazuje się słuszne. Ulu Cami powstał mniej więcej w połowie VII wieku, w wyniku przekształcenia bizantyjskiego kościoła św. Tomasza. Stało się to po podbiciu Diyarbakıru przez Arabów. Podobno nawet gdy świątynia chrześcijańska stała się meczetem, wciąż jeszcze służyła jako miejsce modlitwy wiernym obu wyznań. Meczet szybko zyskiwał na znaczeniu, do dziś uznawany jest za jedną z pięciu najważniejszych świątyń muzułmańskich na świecie. Przez stulecia przechodził liczne remonty i przebudowy. Inskrypcje z nazwiskami kolejnych władców, którzy się do nich przyczynili, do dziś dostrzec można w różnych miejscach budowli. Wnętrze Ulu Cami zaskakuje tak samo jak jego bryła. Podczas gdy z zewnątrz budynek jest ciemny, w środku dominują kolory. Intensywnie turkusowy dywan podkreśla biel zlokalizowanych po sąsiedzku mihrabu i minbaru. Jasne kolumny przy wejściu podtrzymują drewniane elementy dekoracyjne zainstalowane w przedsionku, z których dosłownie kapią kobalty, pomarańcze i fiolety geometrycznych wzorów.

Jest dość tłocznie jak na tę porę dnia. Kilku starszych mężczyzn czyta Koran, rozłożony na specjalnych stojakach, kilku po prostu siedzi opartych o liczne bazaltowe kolumny. Niektórzy plotkują, oparci o ściany z nogami wyciągniętymi do przodu, młodsi pokazują sobie coś w telefonach. Najwidoczniej Ulu Cami to dla tutejszych mężczyzn miejsce nie tylko modlitwy, ale też spotkań.

Mosty zamiast murów

Ludność leżącego nad wodami Tygrysu Diyarbakıru – przedsionka dawnej Mezopotamii – to w znakomitej większości muzułmańscy Kurdowie. Z etnicznymi Turkami dzielą obywatelstwo i wiarę w Allaha, nie gwarantuje to jednak spokoju w regionie. Największe zamieszki ostatnich lat miały tu miejsce na przełomie 2015 i 2016 r., kiedy ludzie powiązani z uważaną w Turcji za organizację terrorystyczną Partią Pracujących Kurdystanu po raz kolejny usiłowali ogłosić rodzaj niezależności od Ankary. W zabytkowej dzielnicy nieopodal Ulu Cami wyrosły okopy i zasieki, a na ulicach pojawiły się czołgi. Meczet nie ucierpiał, ale jedną z przypadkowych „ofiar" tamtych wydarzeń stał się liczący sobie dziś 646 lat największy na Bliskim Wschodzie ormiański kościół św. Cyriaka (Surp Giragos) znajdujący się po sąsiedzku.

Nie była to pierwsza z zadziwiających przygód tej świątyni. Funkcję sakralną kościół pełnił przez stulecia, do 1915 r., kiedy to osmański rząd postanowił pozbyć się „spiskujących" Ormian z kraju (Turcy do dziś nie nazywają tamtych wydarzeń ludobójstwem), a ich dobra skonfiskował. Już trzy lata później stał się główną kwaterą stacjonujących w regionie wojsk niemieckich. W kolejnych latach kościół służył za magazyn tkanin. Dopiero w latach 50. XX wieku wrócił w ręce Ormian, nie było jednak środków, by go odnowić, więc dalej niszczał. W końcu wierni doczekali się życzliwego gestu ze strony rządu, który sypnął groszem na częściową ↦

↦ renowację świątyni. Otwarto ją w 2011 r. tylko po to, by pięć lat później ponownie zamknąć i to na całe siedem lat. Renowacja zakończyła się kilka miesięcy temu i wreszcie kościół Surp Giragos z wielką pompą otwarto dla wiernych i zwiedzających. W ceremonii otwarcia udział wziął m.in. turecki minister kultury i turystyki Mehmet Nuri Ersoy. „Niestety świątynie, które są jednymi z ważnych skarbów naszego dziedzictwa kulturowego, były atakowane i niszczone przez grupy terrorystyczne. Równie ważna jak poszanowanie miejsc kultu i wierzeń jest ich ochrona i uważamy to również za naszą własną odpowiedzialność" – mówił przedstawiciel tureckiego rządu.

Ważne słowa padły z ust patriarchy Kościoła ormiańskiego w Turcji. Sahak Mashalian zaznaczył, że ponowne otwarcie kościoła to nie tylko wielkie święto dla żyjących w mieście Ormian, ale przede wszystkim pomost, dzięki któremu będzie można dalej budować turecko-ormiańskie relacje: „Otwarcie tego kościoła jest kołem ratunkowym dla kurczącej się chrześcijańskiej równowagi Diyarbakıru. Zawiera ważne i znaczące przesłanie przyjaźni. W tysiącletnich stosunkach turecko-ormiańskich jest tak wiele jasnych i pozytywnych wydarzeń i doświadczeń, które należy podkreślić. Trzeba ocenić ten kościół, który został otwarty dla kultu, jako pomnik dobrosąsiedzkich stosunków między Ormianami, Turkami i Kurdami, chrześcijanami i muzułmanami".

Na otwarciu kościoła Surp Giragos pojawiły się tłumy Ormian z całej Turcji, a nawet z zagranicy. Ci, którzy nie mogli przyjechać osobiście, łączyli się z bliskimi przez telefon i uczestniczyli w mszy online. Będą mieli jednak kolejną szansę. W tym samym czasie, gdy oddano do użytku odrestaurowaną świątynię, decydowały się losy innego, znajdującego się po sąsiedzku ormiańskiego miejsca kultu. XVI-wieczny kościół św. Sarkisa (Surp Sargis), z którego zostały dziś tylko ściany i wsparte na wąskich kolumnach łuki, również doczeka się remontu. Niezbędne pomiary już się rozpoczęły, trwa też wybór projektu.

Pierwszy kościół powstał tu już **w III wieku na ruinach świątyni pogańskiej.** Do dziś czczone są relikwie apostołów Tomasza i Jakuba.

Kościół centrum życia

Radość Ormian, którzy usłyszeli w końcu modlitwę we własnym języku, doskonale rozumieją miejscowi Asyryjczycy. Pierwsza od kilku lat msza w syryjskim prawosławnym kościele św. Marii (Meryem Ana Kilisesi) odbyła się w zeszłym roku. Tyle że w ich przypadku przerwa nie wynikała z powodów politycznych ani lokalowych. Chodziło o... brak księdza. Poprzedni, Yusuf Akbulut, odszedł na emeryturę, nie miał go kto zastąpić. W końcu znalazł się nowy duchowny i w Boże Narodzenie odbyła się msza i świąteczne przyjęcie, na którym pojawili się nie tylko wierni, ale też większość lokalnych mediów, dzięki którym niewielki kościół znalazł się w centrum uwagi.

A jest się czym interesować. Pierwszy kościół powstał w tym miejscu już w III wieku, na ruinach świątyni pogańskiej. O późniejszych dziejach budowli informuje kilkanaście inskrypcji wmurowanych podczas podejmowanych przez wieki prac budowlanych. Z tymi zresztą bywało różnie: w latach 50. XX wieku do napraw wykorzystano materiały tak słabej jakości, że podczas kolejnych prac, na początku XXI wieku, trzeba było zastąpić je innymi. Do dziś znajdują się tu relikwie świętych: Tomasza i Jakuba, oraz bogata kolekcja literatury sakralnej kaligrafowanej przez mnichów. Kościół robi wrażenie bardzo zadbanego.

Znów – jak w przypadku Ulu Cami – uderza, a wręcz hipnotyzuje jego prosta konstrukcja. Na główny dziedziniec wchodzi się przez kolejne ganki, w końcu wita nas prosta ściana z trzema łukami wspartymi na wąskich kolumnach. Przed wejściem maleńka fontanna, z boku przylegająca do kościoła ściana budynku, który pełnił kiedyś funkcję szkoły i gospody. „Nasze życie kręciło się wokół kościoła św. Marii. Kościół był dla nas miejscem kultu, ale i domem, miejscem modlitwy, ale i zabawy – wspomina w artykule „Diyarbakır'ın Süryanileri" Truman Şakarer, Asyryjczyk z Diyarbakıru. – W soboty uczyliśmy się tu pieśni i hymnów po turecku i aramejsku, w niedzielę uczestniczyliśmy w mszy, a po niej bawiliśmy się na dziedzińcu. Mieszkaliśmy na tej samej ulicy, na której był kościół, gdy moja babcia źle się czuła i nie mogła przyjść na mszę, stawała po prostu na balkonie i obserwowała, co się dzieje na dziedzińcu". Mężczyzna wspomina, że kościół wydawał mu się ogromny, dopóki nie wyjechał do Stambułu. „Gdy po latach wróciłem i na niego spojrzałem, zobaczyłem, że jest miniaturą tamtych. Zrobiło mi się smutno. Moją jedyną pociechą jest fakt, że stoi i od setek lat służy naszej społeczności".

Społeczności Diyarbakıru służy jeszcze jeden kościół. Częściowo odrestaurowana rzymska świątynia, która powstała w IV wieku, a której patronem został z czasem św. Jerzy, pełni od kilkunastu miesięcy funkcję galerii sztuki. Wcześniej (od około XIII wieku) była też łaźnią dla turkmeńskich władców. W tej trójnawowej bazylice w ubiegłym roku zakończyła się część prac konserwatorskich. Nie odtworzono charakterystycznej owalnej kopuły, spoglądając więc w górę z wnętrza kościoła, widać niebo.

„Diyarbakır to miejsce, gdzie różne kultury i wierzenia koegzystują w pokoju. Posiadanie tak starożytnego miasta to wielkie bogactwo. Musimy sprawić, by Diyarbakır był jednym z pierwszych miast, które przychodzą do głowy zainteresowanym historią" – mówił podczas otwarcia ormiańskiej świątyni minister Mehmet Nuri Ersoy.

Chyba już się to udaje.

© MARCELINA SZUMER-BRYSZ

OGŁOSZENIE

Sąd Rejonowy w Słubicach pod sygn. akt I Ns 149/22 prowadzi postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Czesławie Kunickiej, z d. Zawal, c. Józefa i Janiny, zm. 2 października 2020 r. w Skwierzynie, której ostatnie stałe miejsce pobytu znajdowało się w Kostrzynie nad Odrą. W skład spadku wchodzi udział w lokalu mieszkalnym położonym w Kostrzynie nad Odrą przy ul. Osiedlowej 6A i udział w garażu.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w ciągu trzech miesięcy od dnia publikacji ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

ZUZANNA

Radzik:
Przez ściśnięte gardło

Kto z nas patriotycznych wzruszeń nie nauczył się w szkole? W końcu gdzie, jak nie w szkole, uczymy się być częścią większej całości albo ciut od niej dystansować? W moim przypadku polonistka z podstawówki nieco przesadzała, wzruszając się do łez każdym wierszem o cierpieniu Polaków i wojnie. Czternastoletni, siedzieliśmy w ławkach skrępowani jej płaczem, czując, że nasze dorastanie musi oznaczać krytyczny dystans do wyciskaczy łez. I już w liceum było jasne, że wzruszać się sprawami kraju nie wypada. Nowocześni jesteśmy przecież. Dla równowagi było jednak harcerstwo, ten dziwny szacunek do ognia i munduru, poczty sztandarowe, hymn i honor wciągnięcia flagi na obozowy maszt. No i gawędy przy ognisku, czasem zbyt pouczające czy ckliwe, ale pasujące do dziwnego nastroju takich chwil. Mam w sobie wyhodowany taki mięsień wzruszeń patriotycznych, nic nie poradzę.

Tylko nie mam go na czym ćwiczyć. Bo przecież nie porwie mnie tłumny marsz w narodową rocznicę. Ani polscy politycy, którzy nie umieją specjalnie w mowy, choć wydawałoby się, że to ważne narzędzie przekonywania i uprawiania polityki. Nie ma się gdzie wzruszyć, nie ma komu dać się pociągnąć, żeby poczuć, że ktoś mnie zabiera we wspólną misję, angażuje do wspólnej sprawy. Lubiłabym się tak poczuć, nawet jeśli XX wiek zaszczepił nam na zawsze podejrzliwość wobec kolektywnych odruchów serca. Lubiłabym... i wtedy przed Parlamentem Europejskim na pierwszej wrześniowej sesji staje Ursula von der Leyen i wygłasza coroczną mowę, nazwaną na wzór amerykańskiego pierwowzoru: State of the Union.

Orędzie o stanie Unii. Słucham sobie przed komputerem i roztapiam się w Wielkim, Wspólnym, Zespolonym i Kontynentalnym. Napawam się podniosłością momentu, że razem znaczy tak wiele, zwłaszcza w tym roku. Mała rzecz, godzinne przemówienie. Niszowy rytuał europejskiego patriotyzmu.

Państwo pewnie tę mowę przeoczyli, bo przegapiły ją też media. W końcu ważniejsze na dziś się zdaje, kim będzie Jacek Kurski, niż jaka będzie Unia Europejska i co w niej słychać najważniejszego. Bardzo wam jednak polecam ten wrześniowy rytuał. Jest do odtworzenia, mowę można jeszcze odsłuchać albo przeczytać. Można sobie zrobić własne święto bycia w Europie i myślenia Europą. Nie wstydzę się specjalnie, że w podniosłej atmosferze siedziałam przed komputerem, patrząc na drobną kobietę ubraną w barwy Ukrainy – ale właściwie to i unijne – która z mocą deklarowała, dokąd europejski polityczny organizm ma razem iść.

„Jeszcze nigdy Parlament nie debatował o stanie naszej Unii, gdy na terytorium Europy toczyła się wojna – zaczęła. – Przywróciliśmy Europie jej wewnętrzną siłę. Będziemy potrzebować całej tej siły". I mówiła o wojnie w Ukrainie, że „to nie tylko wojna rozpętana przez Rosję przeciwko Ukrainie. To wojna o naszą energię, naszą gospodarkę, nasze wartości; wojna o naszą przyszłość". Mówiła o cenach energii, ale też o kryzysie klimatycznym, suszy, konieczności trwałych zmian rynku energii, wspólnych inwestycji w nowe rozwiązania i adaptacji do zmian klimatycznych. O solidarnym cięciu zużycia energii, o wspólnym przeciwdziałaniu ekstremalnym zjawiskom pogodowym i suszy, bo zmianom klimatycznym żaden kraj nie da rady w pojedynkę. O dofinansowaniu badań i nowych kierunków, o bezwzględnym wsparciu Ukrainy, ale też konieczności stworzenia systemu dostępnej dla obywateli opieki psychicznej, bo to może im ocalać życie. Mocno i jasno mówiła. Konkretnie, ale też o wizji. A ja dałam się ponieść, bo chciałam na to pozwolić. Chciałam poczucia pociechy i wzmocnienia, że wobec tego wszystkiego jednak myślimy razem, a nie każdy kraj w pojedynkę.

Ile Europa może osiągnąć, gdy jest zjednoczona – stwierdzała stanowczym głosem, powtarzając często o sile tkwiącej w jedności, solidarności, punktując kraje, które niszczą praworządność i zapowiadając walkę z korupcją oraz obcymi wpływami osłabiającymi nasze demokracje. Apelując o polityczną wolę, mówiła: „Chcę Europy, która podchodzi do migracji z godnością i szacunkiem".

Mówiła, że już czas przeformułować traktaty założycielskie i rozwijać idee ojców założycieli w imię dalszego rozszerzenia, ale też konieczności międzypokoleniowej solidarności, którą trzeba w traktaty wpisać. Wskazała, jakie rysują się nowe horyzonty: „Unia odważniejsza. Bliższa obywatelom w trudnych czasach. Śmielsza w reakcji na historyczne wyzwania i codzienne troski Europejczyków".

Niech żyje Europa! – zakończyła. Niech żyje! – odpowiedziałam odruchowo przed komputerem, przez ściśnięte gardło. Niech się dalej integruje! ©

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Stalowej Woli I Wydział Cywilny pod sygn. akt I Ns 274/22 toczy się postępowanie z wniosku Davida Śpiewaka z uczestnictwem Raphaelle Jeanne Spennato o stwierdzenie nabycia spadku po Arturze Pawle Śpiewaku zmarłym dnia 7 lutego 2018 roku w Tulon, którego ostatnim miejscem stałego pobytu była Stalowa Wola.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się w Sądzie Rejonowym w Stalowej Woli i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Kielcach toczy się postępowanie w sprawie VIII Ns 409/22 o stwierdzenie nabycia spadku po Alicji Chojnowskiej, posiadającej ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Kielcach, zmarłej w dniu 3 lutego 2022 roku. W skład spadku po zmarłej wchodzi lokal mieszkalny położony w Kielcach przy ulicy Pomorskiej.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się i udowodnili swoje prawa, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Być jak „Johnny”

GRZEGORZ NUREK

Laureatką nagrody „Okulary ks. Kaczkowskiego. Nie widzę przeszkód” została lekarka Grupy Granica Paulina Bownik. Uroczystości, w której wyróżniono też podróżniczkę Martynę Wojciechowską, towarzyszył pokaz filmu o duchownym.

Gala wręczenia nagrody „Okulary ks. Kaczkowskiego. Nie widzę przeszkód” połączona z sopocką premierą filmu pt. „Johnny”.

Prezydent Sopotu Jacek Karnowski, burmistrz Pucka Hanna Pruchniewska, marszałek województwa pomorskiego Mieczysław Struk, prezes zarządu Fundacji im. ks. Kaczkowskiego Anna Specjał.

Nominowane do nagrody osoby to ci, którzy podobnie jak ksiądz Jan na przekór wszystkiemu, pod prąd, kiedy się nie opłaca, ale warto, robią to, co im rozum, serce i dusza podpowiadają. Na przekór innym, w sposób często szaleńczy, wariacki. Dzięki takim pozytywnym „wariatom” świat jest dużo, dużo lepszym miejscem – mówił prowadzący w sopockim Multikinie galę nagrody scenarzysta wchodzącego do kin filmu „Johnny” Maciej Kraszewski.

Dlaczego „okulary”? – Były jego elementem charakterystycznym, ale też stały się symbolem dostrzegania w człowieku pięknych zasobów, które odpowiednio stymulowane, docenione i wsparte rozkwitają, dają nieprawdopodobne efekty, przede wszystkim czyniąc życie ludzi, ale i świat wokół nich, trochę lepszym. Te okulary mają specyficzną cechę; patrząc przez nie, nie widzi się przeszkód – tłumaczył Maciej Kraszewski.

Wyjątkowi nominowani

Zgłoszeń napłynęło 73, wybrano finałową dziesiątkę: Jacka Antoszka, Izabelę Leśniak, Paulinę Bownik, Ewę Liegman, Marinę Hulię, Martę Ostrowską, Bartłomieja Jojczyka, Dominikę Chabin-Pactwę, Małgorzatę Mirochę i Monikę Lewandowską. Nominowani to społecznicy, wolontariusze niosący pomoc tym, którzy jej najbardziej potrzebują: ciężko chorym, niepełnosprawnym, starszym i dzieciom, także uchodźcom.

– Patron tej nagrody jest wyjątkową postacią. Potrzebujemy dzisiaj wskazówek i takich przykładów, czasami też bohaterów, którzy porywają do tego, aby wyjść poza siebie, wyjść do drugiego człowieka – mówił marszałek województwa pomorskiego, członek kapituły nagrody Mieczysław Struk. Prócz niego w kapitule znaleźli się Helena Kaczkowska i Józef Kaczkowski (rodzice ks. Jana), aktor Jerzy Stuhr, wiceprezydentka Sopotu Magdalena Czarzyńska-Jachim, burmistrz Pucka Hanna Pruchniewska, dziennikarz i redaktor Piotr Żyłka, działaczka społeczna Kapsyda Kobro-Okołowicz, nauczyciel roku 2018 Przemysław Staroń, dziennikarka Katarzyna Olubińska-Godlewska oraz redaktorka i publicystka Katarzyna Jabłońska.

– Droga Heleno, Ziuku, Magdo, Filipie. Chciałem wam serdecznie podziękować, że pozwoliliście nam kontynuować przyznawanie tej nagrody. Z trzech powodów: po pierwsze wielu z nas zawdzięcza bardzo wiele Janowi, wielu przeżyło po ludzku najgorsze chwile. Chcę podziękować za wspaniałe kazanie przed Bożym Narodzeniem poświęcone uchodźcom. Jesteśmy dumni, że Jan wychował się w Sopocie, pracował i pełnił funkcję kapłańską w Pucku, w innych miejscach na Pomorzu. Ponadto jesteśmy wdzięczni, że możemy tę nagrodę przyznawać ludziom wyjątkowym. Pamiętam pierwszą edycję. Już jak się słuchało o nominowanych, to chciało się przed każdym z nich przyklęknąć i powiedzieć: „Jesteś wielkim człowiekiem” – mówił prezydent Sopotu Jacek Karnowski.

Pucczanin z Sopotu

Burmistrz Pucka Hanna Pruchniewska dodawała: – Będę mówiła w imieniu mieszkańców Pucka, którzy wciąż uważają, że spotkało nas wielkie szczęście, że ksiądz Jan właśnie u nas znalazł dla siebie miejsce do życia, pracy, posługi kapłańskiej. Dyrekcja i wolontariusze puckiego hospicjum kontynuują i dbają o jego dzieło. Ksiądz Jan poruszył wiele serc, z każdym rozmawiał, miał niesamowity kontakt z młodzieżą, wielu młodych wyciągnął na

MATERIAŁ PARTNERA

ALINA ŻEMOJDZIN KFP/JUMS X 3

Laureatka tegorocznej nagrody „Okulary ks. Kaczkowskiego" Paulina Bownik. Sopot, 14 września 2022 r.

prostą. Film „Johnny" jest o naszym przyjacielu, pucczaninie z Sopotu.

Laudację na cześć Pauliny Bownik, laureatki nagrody, wygłosił Piotr Żyłka: – Ksiądz Jan miał piękne i wrażliwe serce, zawsze gotowe do pomocy, ale miał też w sobie odwagę, żeby przypominać nam o rzeczach najważniejszych, nawet jeśli oznaczało to zadawanie pytań niewygodnych, wytrącanie nas z dobrego samopoczucia – mówił Żyłka. – Dlatego gdy pod koniec ubiegłego roku w gronie osób związanych z fundacją im. ks. Jana Kaczkowskiego postanowiliśmy w kampanii społecznej przypomnieć jego słowa o znaczeniu gościnności, a dokładnie o tym, jak ważne jest, abyśmy byli gotowi wyciągnąć pomocną dłoń do innego, potrzebującego człowieka niezależnie od jego pochodzenia, wiary czy koloru skóry, robiliśmy to właśnie w tym duchu. Pamiętam, że w trakcie jednej z rozmów w tym czasie Filip, brat Jana, powiedział, że gdyby Jan żył, to prawdopodobnie zapakowałby samochód śpiworami i jeździł wzdłuż polsko-białoruskiej granicy, starając się ratować uchodźców, którzy zbyt często zamiast na otwarte ramiona trafiają na kolczaste druty. Jan nieraz mówił, że nasz stosunek do uchodźców, w szczególności z tych odległych krajów, jest testem jakości naszego człowieczeństwa i chrześcijaństwa. Laureatką II edycji nagrody zostaje osoba, która tak jak Jan nie widzi przeszkód, żeby nieść pomoc potrzebującym, nawet jeśli władze państwowe i propagandowe media nazywają taką pomoc nielegalną, niosących pomoc zdrajcami, a uchodźców odczłowieczają – lekarka Grupy Granica, kobieta, która od wielu miesięcy razem ze wszystkimi dobrymi ludźmi reagującymi na trwający wciąż kryzys humanitarny ratuje życie uchodźców na polsko-białoruskiej granicy.

Nie zapominajcie

Werdykt kapituły został przyjęty kilkuminutową owacją na stojąco.

– Jestem bardzo wzruszona – mówiła laureatka. – Przywykłam do tego, że temat uchodźców nikogo już nie obchodzi. Sytuacja na polsko-białoruskiej granicy się nie zmieniła. Propaganda głosząca, że zbudowaliśmy płot i uchodźców już tam nie ma, jest fałszywa. W dalszym ciągu ludzie są zmuszani do przekraczania granicy, są wypychani przez polskich pograniczników na stronę białoruską, gdzie doznają przemocy fizycznej, seksualnej, są okradani i głodzeni. Spotykałam kobiety ciężarne i dzieci przez pół roku błąkające się po lasach. Ta tragedia dzieje się teraz, w tej chwili, nie skończyła się. Oficjalna liczba zgonów to 16 osób, ale nikt z nas w te dane nie wierzy. W ciągu roku Grupa Granica udzieliła pomocy 11 tysiącom ludzi i udziela pomocy nadal. Natomiast wszystkie siły i środki zostały przekierowane na granicę z Ukrainą. Mamy wrażenie, że nikt o nas nie pamięta. Potrzebujemy wolontariuszy, pieniędzy, waszej pomocy, więc proszę, nie zapominajcie o nas.

Okocelebryta

W kategorii „Okocelebryta" nagrodę otrzymała dziennikarka i podróżniczka Martyna Wojciechowska.

– Jej relacje z podróży to opowieści o kobietach wykluczonych, żyjących bez poczucia bezpieczeństwa, szans na edukację, rozwój czy pracę. Podobnie jak ksiądz Kaczkowski dał szansę i pomógł Patrykowi [byłemu więźniowi, wolontariuszowi w puckim hospicjum, który stał się pierwowzorem bohatera filmu „Johnny" – red.] i innym niebiologicznym „synom", tak i ona zmieniła życie swej niebiologicznej córki. Podczas podróży do Tanzanii poznała Kabulę, albinoskę, która w wieku 13 lat została okaleczona przez grupę mężczyzn, chcących pozyskiwać ciała albinosów w celu tworzenia amuletów. Kabula otrzymała nowy dom, ale i szansę na studia. Chce zostać prawniczką i walczyć o prawa takich osób jak ona. Zmieniając życie jednego człowieka, zmieniasz cały świat. Martyna zmienia życie ludzi na każdym krańcu świata – mówiła w laudacji Katarzyna Olubińska-Godlewska.

Gali nagrody w Multikinie towarzyszyła sopocka premiera filmu „Johnny" w reżyserii Daniela Jaroszka według scenariusza Macieja Kraszewskiego – z udziałem reżysera, producenta i aktorów. W rolę ks. Kaczkowskiego wcielił się Dawid Ogrodnik, a w rolę Patryka Galewskiego Piotr Trojan, nagrodzony kilka dni później za tę kreację na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni.

– Uwielbiam Szekspira, więc pozwolę sobie powiedzieć: „Wiemy, kim jesteśmy, ale nie wiemy, kim możemy się stać". Stańmy się kimś na wzór księdza Kaczkowskiego – powiedział Dawid Ogrodnik. ©

Gala nagrody odbyła się 14 września w Multikinie w Sopocie.

NAGRODA OKULARY KS. KACZKOWSKIEGO
NIE WIDZĘ PRZESZKÓD

ORGANIZATORZY

FUNDACJA im. KS. JANA KACZKOWSKIEGO

Sopot

SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

WSPÓŁORGANIZATOR

PUCK

SPONSOR

NDI

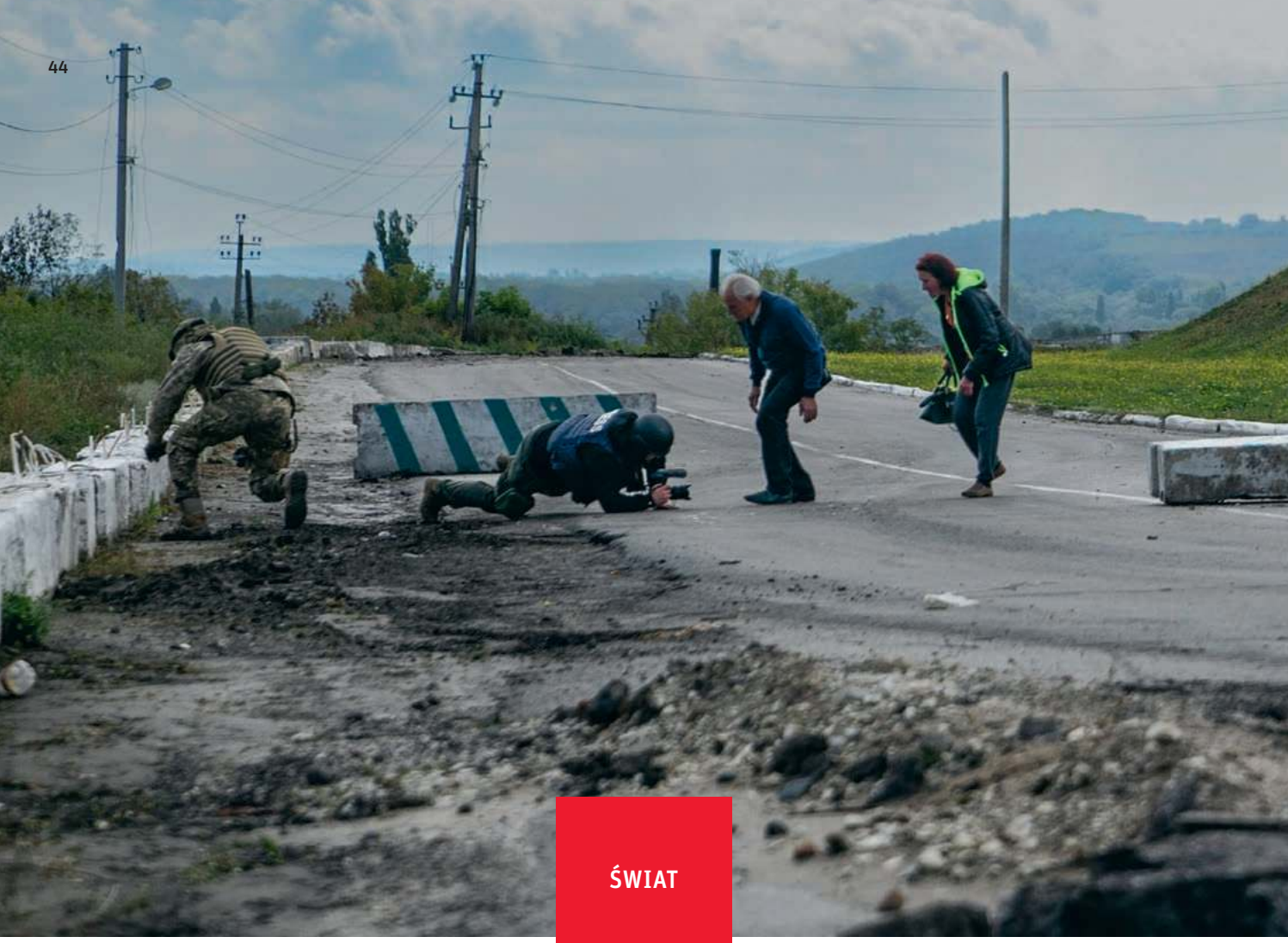

ŚWIAT

RODZINA ZOSTAŁA ZA RZEKĄ

Każdy chciałby zadzwonić, zapytać, jak się mają bliscy. Na próżno, zwykle po kilku słowach połączenie się urywa.

TEKST I ZDJĘCIA PAWEŁ PIENIĄŻEK Z KUPIAŃSKA (OBWÓD CHARKOWSKI, UKRAINA)

Plac Centralny wygląda, jakby przeszedł huragan. Część budynków ma zerwane dachy, ziemia usłana jest gruzem. Aż dziw bierze, że większość latarni ostała się w całości. Na budynku rady miejskiej, postrzelanym i bez okien, wciąż wisi plakat: „Jesteśmy z Rosją jednym narodem!". Za budynkiem, przed pomnikiem wieszcza Tarasa Szewczenki, sterczy wbity w grunt korpus rakiety.

Nad drugą stroną miasta, oddzieloną od centrum rzeką Oskoł, unosi się dym. Po ukraińskiej kontrofensywie z początku września właśnie ta rzeka stała się w obwodzie charkowskim linią frontu. Ale nie tu, w Kupiańsku, gdzie Ukraińcom udało się przebić na jej drugi brzeg. Dziś – pięć dni po tym, jak siły ukraińskie wkroczyły do miasta – sytuacja po drugiej stronie Oskołu wciąż jest chaotyczna.

Akurat panuje cisza. Po lekko zachmurzonym niebie przelatują sporadycznie ptaki.

Ulicą przylegającą do placu Centralnego idzie para, na oko po pięćdziesiątce. Podchodzą do żołnierza Ołeksija.

– Nasza córka mieszka za mostem. Możemy tam przejść? – pyta mężczyzna.

– Nie wiem, czy wam się uda, bo teraz pracują i tamci, i nasi – odpowiada Ołeksij.

Pracuje, czyli strzela, artyleria.

– Proszę iść, ale bardzo, bardzo ostrożnie – dodaje Ołeksij.

Zanim odejdą, rozlega się głośny wystrzał. To – jak mówią mężczyzna i ko-

Żołnierz Ołeksij, dziennikarz oraz para mieszkańców chronią się przed ostrzałem. Kupiańsk, 15 września 2022 r.

bieta – najlepsza ilustracja tego, jak tu żyją. Przez ciągłe eksplozje nie śpią, nie mają wody i prądu. Nie mają też zasięgu, by zadzwonić do córki po drugiej stronie miasta. Muszą zaryzykować, aby zobaczyć, czy ma się dobrze.

Ledwie zaczęli mówić o swoich problemach, a już dobiega odgłos kolejnych wystrzałów, jeden za drugim. Huczą rakiety, jakby leciała flota samolotów odrzutowych. Po chwili dochodzi do kolejnych wybuchów, a po nich do serii pomniejszych eksplozji.

To rakiety kasetowe, które rozpadają się na ładunki o dużym polu rażenia. Ich ofiarami często pada ludność cywilna. Właśnie z tego względu wiele państw podpisało konwencję o niestosowaniu tej broni, jednak nie zrobiła tego ani Rosja, ani Ukraina (ani też Polska).

Burza wybuchów trwa niemal pół minuty. Żołnierz i mężczyzna leżą przyklejeni do ziemi, oddychają ciężko. Kobieta tylko przykucnęła, na jej twarzy maluje się jednak grymas.

Nie widzieli, jak całkiem niedaleko spadała rakieta, której przylot można było dostrzec gołym okiem. Ani tego, że w odległości kilkuset metrów zaczął unosić się dym w kilku miejscach.

Odzywa się krótkofalówka Ołeksija.

– Jak się macie? – pyta Wasyl, żołnierz z tego samego oddziału.

– Chujowo... Chujowo, Wasia.

Wasyl nie odpowiada.

– To nasi strzelają? – pyta Ołeksija mężczyzna leżący na ziemi, jakby z nadzieją.

– Chuj go wie – odpowiada Ołeksij.

Znowu odzywa się głos Wasyla: – Powtórz.

– Chujowo, kurwa!

– To chyba nie pójdziemy do córki – mężczyzna leżący na ziemi odzywa się do wciąż kucającej żony.

– Pewnie nie.

– Idziemy w stronę pojazdów – przez krótkofalówkę rozlega się inny głos.

– Biegniemy – odpowiada Ołeksij.

Nikt się nie żegna ani o nic nie pyta. Rozchodzą się, każde w swoim kierunku.

Mer podjął współpracę

Gdy 24 lutego zaczęła się inwazja, jednym z celów rosyjskich ataków był obwód charkowski. Wojska rosyjskie od pierwszych godzin z dużą szybkością zajmowały tu kolejne terytoria. Już pierwszego dnia stały w pobliżu Charkowa. Aby spowolnić natarcie, ukraińska armia wysadzała mosty znajdujące się w obwodzie.

Mimo to już dwa dni później rosyjskie wojska znalazły się w pobliżu Kupiańska. Jeszcze wieczorem lokalne władze zapewniały, że wszystko jest pod kontrolą, ale następnego ranka Rosjanie wkroczyli do miasta.

Mer Hennadij Mazehora był pierwszym ważnym urzędnikiem, który przeszedł na stronę nacierającej armii. Twierdził, że miasta nie miał kto bronić, że ukraińskich żołnierzy w nim nie było, a także, że chciał uniknąć zniszczeń i ofiar, dlatego poszedł na współpracę. Ukraińska prokuratura od razu wszczęła przeciwko niemu postępowanie, ↦

Jeden z wysadzonych mostów w Kupiańsku, 15 września 2022 r.

↦ oskarżono go o zdradę państwową. Dalsze losy Mazehory nie są znane.

Część mieszkańców Kupiańska wyszła na protesty przeciwko władzy okupacyjnej. Na placu Centralnym, gdzie teraz walają się gruzy, około stu osób z niebiesko-żółtymi flagami krzyczało: „Kupiańsk to Ukraina". Rosyjscy wojskowi strzelali w powietrze; krzyczeli, aby ludzie się rozeszli.

Podczas kolejnej demonstracji drogę zatarasowały ludziom transporter opancerzony i samochód pancerny. Na zapisie wideo słychać, jak rosyjski żołnierz przez megafon powiedział: „Szanowni obywatele, opuśćcie wasze ulice..." – po czym się poprawił – „...opuście ulice!".

„To nasze ulice! Nasze miasto!" – krzyczał wściekły tłum.

„To wasze ulice, to wasze miasto" – próbował uspokoić ich żołnierz.

„Precz stąd!"

Boimy się, że wrócą

To tutaj, w Kupiańsku, protestujący ludzie rzucili się na jeden z samochodów z namalowaną literą „Z". Ktoś nawet wskoczył na maskę i próbował nogą wybić szybę. Znajdujący się w nim rosyjscy żołnierze przebili się przez tłum i odjechali w pośpiechu.

Organizator protestów, Mykoła Maslij, który był także deputowanym rady miejskiej i weteranem wojny w Donbasie, został zatrzymany. Jego losy do dzisiaj są nieznane.

Ołena, pielęgniarka na oddziale chirurgicznym w szpitalu w Kupiańsku, także chodziła na te protesty. Krzyczała wraz z innymi: „Precz!". Byli bezbronni, nie mogli poradzić sobie sami z wojskowymi.

Gdy jeszcze miała dostęp do internetu, Ołena czytała wpisy, w których mieszkańców Kupiańska oskarżono o sympatyzowanie z Rosjanami. Oburza ją to do dzisiaj.

– Nie uważam, że jesteśmy zdrajcami – Ołena mówi podniesionym głosem. – Boimy się, że to wszystko wróci. W trakcie okupacji było bardzo ciężko.

– Odnosili się do nas normalnie. Wszystko było w porządku, ale to nie byli nasi – wtóruje jej druga pielęgniarka.

– To nasze miasto, nasza ziemia. My ich tutaj nie zapraszaliśmy i nie chcemy ich.

W trakcie półrocznej okupacji szpital w Kupiańsku był główną placówką medyczną na okolicznych terenach zajętych przez Rosjan. W większości przywozili cywilów, sporadycznie też swoich żołnierzy, których od razu po tym, jak ustabilizował się ich stan, zabierano gdzieś dalej.

– Jesteśmy zobowiązani udzielać pomocy każdemu – przyznaje druga pielęgniarka.

Ludzie nie wytrzymują

Kupiańsk, gdzie do rosyjskiej inwazji z 24 lutego mieszkało ok. 29 tys. osób, miał tego pecha, że na początku września nagle znalazł się na linii frontu i stał się obiektem ciężkich ostrzałów artyleryjskich. Można powiedzieć, że to miasto znalazło się w epicentrum Jüngerowskich „stalowych burz".

Do ciężkich starć doszło czwartego dnia kontrofensywy. Po tym, jak ukraińskie wojska przełamały obronę, rosyjska armia salwowała się chaotyczną ucieczką. Nowe pozycje zajęli dopiero za rzeką Oskoł. Ukraińskie wojska starają się przez nie przebić, by odzyskać ostatnie okupowane terytoria obwodu charkowskiego i otworzyć drogę na Ługańszczyznę. Jednak jak do tej pory udało im się przejść rzekę jedynie w Kupiańsku i w okolicach Iziumu. Ich kontratak stracił impet.

To właśnie wtedy, gdy front stabilizował się wokół linii rzeki, miasto stało się celem intensywnych ostrzałów artyleryjskich.

– Po raz pierwszy ludzie zaczęli masowo stąd wyjeżdżać na samym początku inwazji. Od czasu, gdy teraz zaczął się cały ten koszmar, miasto znowu opuszcza bardzo dużo ludzi. Nawet ci opanowani nie są w stanie wytrzymać takich nerwów – przyznaje Wiktoria, także pielęgniarka.

Wszystkie rozmowy, które odbyłem w trakcie krótkiej wizyty w Kupiańsku, przerywane były odgłosami artylerii rosyjskiej i ukraińskiej. Głównie były to eksplozje rakiet z ładunkami kasetowymi, powodujące straszny huk, a przede wszystkim konsekwentnie zamieniające miasto w ruinę.

W trybie oszczędzania

Ściany szpitala na razie gwarantowały bezpieczeństwo. Nic na niego nie spadło, a do tego konstrukcja wydawała się solidna. Do 24 lutego pracowało w nim ok. 900 osób, teraz jest ich ok. 20. Za to pacjentów jest pięć razy więcej. Codziennie do szpitala trafia ok. 25 osób, w większości z ranami odłamkowymi.

– Funkcjonujemy bez prądu, wody i przy minimalnej ilości personelu – przyznaje Jurij Czepurko, zastępca dyrektora szpitala. Wyznaczony przez Rosjan

dyrektor zniknął, nim w mieście pojawiła się ukraińska armia.

Energię zapewnia agregat prądotwórczy, ale dostęp do diesla jest ograniczony. Szpital ma tylko skromne zapasy, które przywożą wolontariusze. Wystarczyłoby go na godzinę normalnego funkcjonowania placówki. Dlatego oszczędzają. Siedzą po ciemku, a agregat włączają tylko, gdy potrzebują go, by ratować kolejnego rannego.

Po ustabilizowaniu najciężej rannych ludzi przewożą – dzięki pomocy ochotników, wolontariuszy czy żołnierzy – do miejscowości znajdujących się dalej od linii frontu. Największy problem jest z tymi, którzy nie mogą siedzieć. Ich zazwyczaj wywieźć się nie da.

– Pracujemy bez stałych zmian. Śpimy, kiedy się da, bo wszystko zależy od tego, kiedy przywożą pacjentów. Bywa, że śpimy dwie-trzy godziny na dobę – stwierdza Czepurko.

Bez pożegnania

Tego dnia wszyscy pracownicy szpitala, z którymi rozmawiałem, mówili, że nie wracali do domu od ośmiu-dziewięciu dni. Wyjątek to chirurg, który mieszka w pobliżu.

Jurij Czepurko pochodzi z pobliskiej Kiwaszariwki. W dniu, gdy przyjechał na swoją zmianę, przesunęła się linia frontu: Kupiańsk znalazł się po stronie ukraińskiej, a Kiwaszariwka – rosyjskiej. Nie wziął ze sobą rzeczy, nie mógł pożegnać się z rodziną. Z powodu braku sieci nie może się z nimi skontaktować od ponad tygodnia. Ma tylko nadzieję, że wszystko z nimi dobrze.

Każdy chciałby gdzieś zadzwonić, aby zapytać, jak się mają bliscy, gdzie się znajdują, czy udało się im wyjechać, albo po prostu powiedzieć, że wciąż żyje. Dlatego gdy tylko w szpitalu nagle pojawia się choćby słaby zasięg, personel niewykonujący żadnych zadań od razu biegnie na zewnątrz i próbuje się dodzwonić. Dotąd na próżno, zwykle po kilku słowach połączenie się urywa.

Kupiańskiem znowu wstrząsają wybuchy. Lekarze i pielęgniarki stoją przed wejściem, nie reagują. Nauczyli się, kiedy naprawdę trzeba się bać. Mimo zszarganych nerwów, czekają cierpliwie, aż linia frontu odsunie się od ich miasta, a ich koszmar się skończy.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

Rzeczywistość na odwrót

ANNA ŁABUSZEWSKA

Odpowiedź Kremla na kontrofensywę Ukrainy to mobilizacja i błyskawiczne „referenda". A Rosjanie? Zaczynają protestować.

Przygrywką do orędzia prezydenta Rosji – zapowiadanego szumnie na 20 września wieczorem, a wyemitowanego ostatecznie 21 września o poranku – były działania podjęte z nagła na terenach okupowanych. Ogłoszono, że jeszcze we wrześniu w donbaskich „republikach", a także na zajętych terenach obwodów zaporoskiego i chersońskiego odbędą się „referenda akcesyjne". Wyniki tej hucpy można było ogłosić z góry.

Jeszcze kilka dni wcześniej kremlowskie media i politycy twierdzili, że „referenda" nie mogą się odbyć, gdyż nie da się zapewnić bezpieczeństwa. Aż tu nagle takie przyspieszenie. Politolog Abbas Gallamow przypuszcza, że „przedstawiciele lokalnych władz [w regionach okupowanych – AŁ] przestraszyli się, iż Rosjanie zostawią ich samym sobie, jak w obwodzie charkowskim. Zdali sobie sprawę, że muszą się jakoś ratować, i zaczęli działać bez porozumienia z Kremlem na zasadzie: przeprowadzimy referendum, będziemy Rosją, wtedy nas nie zostawią".

Może tak było, a może zadziałał Kreml, który nakazał głosowania, by w ten sposób powstrzymać Ukrainę przed dalszymi atakami, zaznaczyć teren jako swój i mieć pretekst – przynajmniej na użytek wewnętrzny (bo społeczność międzynarodowa nie uzna „referendów") – do obrony „własnego" terytorium.

Drugim wydarzeniem stanowiącym przygotowanie przed orędziem było przyjęcie przez Dumę nowelizacji kodeksu karnego. Dopisano kilka artykułów: za dobrowolne poddanie się do niewoli lub samowolne opuszczenie jednostki grozi do 10 lat łagru, za odmowę wykonania rozkazu do 3 lat.

W orędziu do narodu Putin zapowiedział, że poprze referenda, i ogłosił „częściową mobilizację". Ma dotyczyć rezerwistów, zwłaszcza mających wojskowe specjalności. Nie ogłosił jednak (czego spodziewali się niektórzy) stanu wojennego. „Operacja specjalna" pozostaje „operacją specjalną", przynajmniej formalnie. Ale po ukraińskiej kontrofensywie Kreml doszedł do wniosku, iż prowadzenie jej na obecnym poziomie jest skazane na niepowodzenie. Dotąd starano się minimalizować przymusowe zaangażowanie społeczeństwa – jednostki frontowe uzupełniano żołnierzami kontraktowymi, plotkom o mobilizacji zaprzeczano, a gdy okazało się, że chętnych jest za mało, rekrutowano więźniów.

W końcu skala porażki w obwodzie charkowskim zmusiła Kreml do zmiany tonacji i sposobu prowadzenia wojny. W wywiadzie, jakiego udzielił po wystąpieniu Putina minister obrony Siergiej Szojgu, mówił, że pod broń zostanie powołanych 300 tys. ludzi. I Putin, i Szojgu mówili o zakresie mobilizacji łagodnie – przymiotnik „częściowa" ma być środkiem uspokajającym, by nie doprowadzać do wrzenia w społeczeństwie.

Daremnie. Już tego dnia odnotowano wielki wzrost zainteresowania sposobami na szybką emigrację: wykupiono bilety lotnicze do Stambułu i Erywania. Antywojenny ruch Wiosna zaczął rozsyłać instrukcje, jak uniknąć poboru. I jeszcze tego dnia w kilkudziesięciu miastach odbyły się protesty przeciw mobilizacji; zatrzymano ponad tysiąc osób.

W przemówieniu Putina zwracają uwagę zastosowane masowo projekcje. „O wszystko, czego dopuszczają się sami, oskarżają Ukraińców" – zauważa emigracyjny politolog Iwan Prieobrażenski. I rzeczywiście, Putin łże w żywe oczy, mówiąc, że to Zachód grozi Rosji bronią jądrową, albo że ukraińska armia dopuszcza się zbrodni wobec ludności cywilnej. Słuchając Putina, miałam wrażenie, że przechodzę na drugą stronę lustra i wpadam w równoległą rzeczywistość, w której wszystko jest na odwrót. ©

O sytuacji w Rosji autorka pisze w rubryce **Rosyjska Ruletka** na stronie internetowej „TP".

MARCUS BRANDT / AFP / EAST NEWS

Olaf Scholz odwiedza ukraińskich żołnierzy szkolonych w obsłudze przeciwlotniczych dział Gepard, które Niemcy przekazały Ukrainie. Poligon koło Oldenburga, 25 sierpnia 2022 r.

Czego Niemcy nie wiedzą

ANNA KWIATKOWSKA

Skutkiem rosyjskiej inwazji może być koniec układu sił w Unii, gdy o jej polityce decydowała tzw. stara Europa. Dokonująca się zmiana powinna skutkować strategicznym sojuszem Polski i Niemiec. Tylko czy to możliwe?

Wojna na Ukrainie, wyjątkowa reakcja na nią Polski oraz większości państw Europy Środkowej i Wschodniej, a także zaangażowanie i wsparcie USA sprawiły, że coraz częściej słychać o „przesunięciu Unii Europejskiej na wschód". Nie jest to jeszcze geograficzne rozszerzenie, z jakim mieliśmy do czynienia w 2004 r., ale raczej przesunięcie punktu ciężkości Unii – w wielkim uproszczeniu oznaczające, że wzrosła waga naszego regionu, a zwłaszcza Polski.

Nasze bezprecedensowe zaangażowanie w pomoc Ukrainie – na każdym poziomie, od politycznego przez militarny aż po humanitarny (ze strony państwa, samorządów oraz społeczeństwa) – a także wzmocnienie bezpieczeństwa wschodniej flanki NATO czy w końcu strategiczna rola Polski jako logistycznego centrum wsparcia Ukrainy – wszystko to wywindowało nasze znaczenie tak czysto polityczne, jak i w wymiarze bezpieczeństwa.

W konsekwencji jednym ze skutków pełnowymiarowej inwazji Rosji na Ukrainę z 24 lutego może być koniec lub co najmniej początek końca dotychczasowego układu politycznego w Unii; koniec *status quo*, w którym dominującą rolę w kształtowaniu polityki odgrywały państwa tzw. starej Europy.

Scholz wciąż nie rozumie

Wydaje się, że Niemcy zauważyli to wyzwanie i próbują – przynajmniej retorycznie – zarządzać tą zmianą, z ich punktu widzenia trudną. „Nie chcę Unii ekskluzywnych klubów lub dyrektoriów, lecz Unii równouprawnionych członków. Chciałbym wyraźnie dodać, że fakt, iż Unia Europejska nadal rozwija się w kierunku wschodnim, jest zyskiem dla nas wszystkich. Niemcy, jako kraj leżący w środku kontynentu, zrobią wszystko, aby w Europie zbliżyć do siebie Wschód i Zachód, Północ i Południe" – mówił Olaf Scholz w trakcie swojego programowego wystąpienia dotyczącego polityki europejskiej, które wygłosił na praskim Uniwersytecie Karola pod koniec sierpnia.

Takie słowa Scholza, kwitujące zachodzące zmiany w sposób nad wyraz oględny, zastanawiają – zwłaszcza gdy inni mówią o ewolucji czy też wręcz rewolucji politycznej, dokonującej się na naszych oczach, a nawet o „wywróceniu stolika". Uzasadnione jest pytanie, czy kanclerz nie zauważył doniosłej zmiany, która się dokonuje, czy też może celowo stara się ją bagatelizować lub nie uważa jej wcale za ważną.

Przy okazji warto zwrócić uwagę, że w jego wypowiedzi – jak wielokrotnie w kryzysowych momentach w przeszłości – pojawiła się znana niemiecka narracja oferowania się w służebnej z pozoru roli mediatora (służebnej z pozoru, bo któż ma lepsze możliwości kontrolowania i zarządzania procesem niż słynny „uczciwy makler").

Za hipotezą, że mamy tu jednak do czynienia z brakiem świadomości zmian, jakie zachodzą w Europie, oraz (a może przede wszystkim) z brakiem świadomości tego, jak bardzo Niemcy utraciły polityczną wiarygodność – zwłaszcza w Europie Środkowej i Wschodniej, ale także w USA – przemawiają również inne liczne wystąpienia najbliższych doradców kanclerza,

szefa Urzędu Kanclerskiego, wreszcie samego Scholza.

Ruchy niedokończone

Ale i inni aktorzy na niemieckiej scenie politycznej, a także przedstawiciele biznesu sprawiają wrażenie, jakby nie zdawali sobie sprawy z głębokości rys na wizerunku Republiki Federalnej w związku z rosyjską inwazją oraz z przebiegiem tej wojny. Stąd biorą się połowiczne, jakby niedokończone ruchy – takie jak zwlekanie z dostawami ciężkiego uzbrojenia. Albo podporządkowanie się dużej części biznesu decyzjom politycznym oraz, z drugiej strony, jednoczesne niecierpliwe wyczekiwanie niektórych jego przedstawicieli na koniec wojny i normalizację stosunków z Federacją Rosyjską (w Rosji pozostało prawdopodobnie 80 proc. małych i średnich niemieckich przedsiębiorstw, które były tam obecne przed 24 lutego).

Konsekwencją jest dość powszechne w elicie politycznej i biznesowej myślenie, że nie stało się nic tak wielkiego, czego nie można byłoby naprawić przy pomocy dotychczasowej polityki z większymi (a nawet radykalnymi, patrz energetyka) lub mniejszymi modyfikacjami. Przykładem wiary w tego typu modyfikacje jest choćby propozycja niemieckiego MSZ lobbowania za „strategiczną reorientacją europejskiej polityki wobec Rosji" w tandemie Niemcy-Francja. Czy po 24 lutego to naprawdę najlepszy duet do pracy nad nową polityką Unii wobec Rosji? Przypomina się bajka Krasickiego o ślepym, co prowadził kulawego.

Ucieczka do przodu

Niemcy uważają najwyraźniej, że opinie o kompromitacji ich dotychczasowej polityki wobec Rosji (polegającej na uzależnianiu się od dyktatury) oraz oburzenie z powodu ich kunktatorskiej reakcji na inwazję i nieadekwatnego do ich potencjału wsparcia dla Ukrainy to jedynie chwilowe zachwianie koniunktury politycznej. Że są to procesy, które będzie można – owszem, z niejakim wysiłkiem, ale jednak szybko – odwrócić i utrzymać rolę Niemiec jako państwa wiodącego w kształtowaniu przyszłości Europy (oraz, co nie jest bez znaczenia, wieść prym przy powojennej odbudowie Ukrainy).

Co więcej, w tej trudnej dla siebie sytuacji Niemcy stosują typową ucieczkę do przodu: proponują Europie – ustami kolejnych socjaldemokratów, od współprzewodniczącego partii po minister obrony – swoją przywódczą rolę (niem. *Führungsmacht*), i to także w sprawach militarnych.

Niemcy straciły na znaczeniu i na wiarygodności, ale nie na potencjale – o czym powinniśmy pamiętać, zwłaszcza w Polsce. Zamiast ciągłych połajanek i znęcania się w duchu *Schadenfreude* nad ich niewątpliwymi strategicznymi błędami, możemy poszukać szansy na prawdziwą kooperację z tym bogatym, wielkim i ludnym krajem.

Coraz bardziej widać bowiem, że bez polsko-niemieckiej współpracy trudny będzie rozwój projektu Unii Europejskiej (choć oczywiście trwać może on i bez tej współpracy). Prawdziwe zarządzanie dokonującą się w Europie zmianą powinno skutkować strategicznym sojuszem Polski i Niemiec – tych dwóch kluczowych dla siebie partnerów. Tym bardziej że bez reprezentacji naszej części Europy w zarządzaniu Unią nie będzie można liczyć na jej *prosperity*.

Problemy z sojuszem

W tej tezie ważne jest każde słowo. Partnerzy „kluczowi" nie oznacza jedyni; sojusz z Francją czy Ukrainą nie jest zbędny czy niepożądany. „Partnerzy" to równi sobie gracze – tacy, którzy wiedzą, że walczą głównie o interesy własnego kraju, o które nikt inny nie zadba tak dobrze jak oni. „Partnerstwo" czy „sojusz" nie wyklucza wzajemnej krytyki, ale przymiotnik „strategiczny" każe wspierać także rozwój całego projektu, czyli Unii.

W tej wizji są tylko dwa problemy. Za to zasadnicze. Niemcy nie zdają sobie sprawy nie tylko ze skutków utraty wiarygodności i porażki ich dotychczasowej polityki, ale też z potrzeby strategicznego partnerstwa z Polską. Polska natomiast nie jest gotowa do, jak to się ładnie mówi w Niemczech, „przejęcia odpowiedzialności", tj. wzięcia na barki części władzy w Unii.

Rozwiązanie obu tych problemów wymaga dłuższego czasu; oba są też niezwykle trudne do przezwyciężenia. Przy czym ten „polski" problem wymaga inwestycji w rozwój sprawnych instytucji oraz w ludzi, zdolnych nie tylko wypracować strategie działania (w tym odpowiedź na pytanie, jakiej Unii chcemy); wymaga też zawalczenia o obsadę stanowisk urzędniczych w Unii, od najniższych do najwyższych, wszędzie tam, gdzie wykuwane i podejmowane są decyzje.

Oczywiście poważną przeszkodą jest tu polaryzacja polskiej sceny politycznej. Jednak są dowody, że jesteśmy zdolni do integrowania się i wysiłku w imię realizacji wielkich ponadpartyjnych i ponadkadencyjnych projektów.

Wstrząs dla niemieckich elit

Ogromny wysiłek, jakiego musiałaby się podjąć tutaj polska klasa polityczna, i tak wydaje się mimo wszystko nieco mniejszym problemem niż ten, którego rozwiązania musieliby podjąć się decydenci w Niemczech. Zmiana po stronie niemieckiej wymagałaby bowiem niemalże ewolucji tożsamościowej, przeorania dotychczasowych tamtejszych prawd oraz obalenia aksjomatów – filarów polityki, i to nie tylko zagranicznej.

Czym bowiem, jeśli nie wręcz metafizycznym wstrząsem (młodzież powiedziałaby może: mindfuckiem) dla niemieckich polityków byłoby jednoczesne przyznanie, że motor francusko-niemiecki stracił impet (czy nawet w ogóle zdolność działania), a państwa Europy Środkowej i Wschodniej prowadziły w wielu aspektach rozsądniejszą politykę? Że polityka polska wobec Rosji i obszaru postsowieckiego, choć nie nieomylna, była zasadniczo słuszna, miała wymiar ponadpartyjny i strategiczny, oparty nie tylko na doświadczeniu, ale także na wciąż pogłębianej wiedzy.

Dalej: że nasze podejście do USA jako filaru bezpieczeństwa Europy było racjonalniejsze. Że polityka migracyjna Polski nie jest emocjonalna („emocjonalność" to zarzut w niemieckiej kulturze politycznej) oraz że nie jest oparta na nacjonalizmie i ksenofobii, lecz na racjonalnych przesłankach uwzględniających aspekty finansowe, bezpieczeństwa, a przede wszystkim społeczne. Że patriotyzm jest wartością, i to jedną z najwyższych, i że nie ma nic wspólnego z nacjonalizmem. Itd., itp.

Po co im Polska?

Gdyby Niemcy przeżyły takie przeoranie swojego dotychczasowego myślenia, doszłyby do wniosku, że Polska może być wartościowym partnerem do realnych konsultacji i dzielenia się odpowiedzialnością w najważniejszych sprawach dotyczących kształtowania Unii i jej rozwoju. Także w kierunku nadania jej roli „globalnego gracza" – do czego Niemcy wszak dążą, przynajmniej retorycznie. ↦

↦ Na razie jednak Niemcy nie wiedzą, po co im Polska. A już na pewno, po co im Polska jako strategiczny partner. Konkretną, tę prawdziwą politykę Niemcy w Unii usiłują prowadzić nadal głównie z Francją, dla reszty partnerów, w tym dla Polski, pozostawiając „inne działania dyplomatyczne" i retorykę. Im sprawniejszy polityk, tym retoryka milsza sercu interlokutora.

Tak jest i teraz. Jak zawsze w trudnych dla stosunków polsko-niemieckich sytuacjach, politycy z zachodniej strony Odry przyjeżdżają do Polski i jak jeden mąż głoszą ten sam slogan, tak czytelny, że możemy go nazwać przekazem dnia: „Myślmy o przyszłości!". Taką odpowiedź na trudne pytania słyszeliśmy już wiele lat temu – i w trakcie awantury o Centrum przeciwko Wypędzeniom, i przy dyskusjach o budowie kolejnych nitek gazociągu Nord Stream, i podczas debat o polityce wobec Rosji, z jej koncentracją na ofertach wobec Rosji oraz jej percepcji świata, i przy wielu innych okazjach. Teraz ten frazes powrócił w niezmienionej formie przy okazji dyskusji o pomocy Ukrainie.

Krew, pot i łzy

Tymczasem przed nami, Niemcami i Polakami, wielka szansa i jednocześnie bardzo trudny czas. Polskę i cały nasz region czekają „krew, pot i łzy" – także po to, aby przygotować się do wzięcia większej odpowiedzialności za europejski projekt, aby obmyśleć i wypracować strategie działania i wykorzystania naszych zasobów.

To będzie trudny proces. Ale jeszcze boleśniejszym będzie przekonanie (się) Niemców i Francuzów do potrzeby zmiany ich sposobu funkcjonowania.

Nam powinno zależeć zwłaszcza na Niemcach. Nie możemy pozwolić, aby znowu skonsolidowali się w uporze przeprowadzenia jedynie najmniejszej liczby najniezbędniejszych zmian, i aby postawili na powrót do metody „więcej tego samego", w naiwnym oczekiwaniu na inne niż dotąd rezultaty.

Dotyczy to zarówno wojny na Ukrainie, jak też lawiny wszelkich zmian, które ona spowodowała i jeszcze spowoduje. © ANNA KWIATKOWSKA

Autorka kieruje Zespołem Niemiec i Europy Północnej w Ośrodku Studiów Wschodnich imienia Marka Karpia w Warszawie.

IBRAHIM CHALHOUB / AFP / EAST NEWS

Gdy nie masz na prąd

DALIA MIKULSKA Z BEJRUTU

W Libanie słowu „kryzys" towarzyszą coraz to nowsze przymiotniki. Jest kryzys polityczny, ekonomiczny, walutowy, wodny, żywnościowy, paliwowy, medyczny oraz – dziś najbardziej widoczny – energetyczny.

Poranek w centrum libańskiej stolicy. Młoda kobieta wchodzi do placówki Blom Banku i wyciąga z torebki pistolet. Biorąc obecnych jako zakładników, domaga się pieniędzy. Gdy przerażeni pracownicy spełniają jej prośbę, ucieka przez okno z tyłu budynku. Zabiera ze sobą 12 tys. dolarów amerykańskich i ok. 30 mln funtów libańskich (według obecnego kursu czarnorynkowego to niecałe 800 dolarów).

Co wyróżniało ten incydent od klasycznych napadów na banki, to fakt, że kobieta żądała wydania własnych pieniędzy – potrzebowała ich, aby opłacić leczenie chorej na raka siostry. Podjęcie ich z banku w Libanie w inny sposób nie jest dziś możliwe.

Bliskowschodnia Szwajcaria

Kobieta nazywa się Sali Hafez, ma 28 lat i jest projektantką wnętrz. Jak powiedziała dziennikarzom lokalnej telewizji Al-Dżadid TV, którzy wkrótce po napadzie przeprowadzili z nią wywiad, pistolet był w rzeczywistości zabawką jej 5-letniego siostrzeńca. „Pokrzyczałam trochę, ale nie chciałam nikomu zrobić krzywdy – powiedziała. – Nie miałam innego wyjścia".

Wcześniej Sali Hafez odwiedzała bank wielokrotnie, prosząc o wypłatę gotówki. Jej konto, podobnie jak konta wielu Libańczyków, było zamrożone. Dwa dni przed napadem spotkała się z dyrektorem placówki. Błagała go, tłumacząc, że bez tych pieniędzy jej siostra może umrzeć.

Choć razem z siostrą miały w banku ok. 200 tys. dolarów, dyrektor obiecał jej wypłatę jedynie 200 dolarów miesięcznie – i to w dodatku w libańskiej walucie, która należy do najmniej stabilnych na świecie. Ta kwota nie wystarczyłaby nawet na zastrzyki, które siostra Sali Hafez musi codziennie przyjmować, a na

Kolejka w piekarni w Trypolisie, w której chleb sprzedawany jest po niższych niż zwykle cenach dzięki dotacjom z pomocy zagranicznej. Większość pszenicy importowanej przez Liban pochodziła wcześniej z Ukrainy. 27 lipca 2022 r.

pewno nie na drogie leczenie za granicą, które mogłoby uratować jej życie. Rodzina sprzedała już większość mebli, by opłacić leczenie. Zanim Sali wzięła do ręki zabawkowy pistolet, rozważała sprzedaż nerki.

Młoda kobieta należy do tych, którym jeszcze do niedawna dobrze się powodziło. Bo Liban wcale do biednych krajów nie należał. Na ulicach wciąż zobaczyć można drogie samochody – choć nawet wielu właścicieli porsche nie zawsze stać dziś na benzynę.

Kiedyś Liban określany był mianem „Szwajcarii Bliskiego Wschodu". Podobieństw do tego europejskiego kraju było kilka – choćby niewielka powierzchnia, pokryte śniegiem góry, różnorodność społeczna, a przede wszystkim bardzo rozwinięty system bankowy. Liban wychwalano także za liberalizm obyczajowy i względną stabilność. Aż do roku 1975, gdy rozpoczęła się 15-letnia wojna domowa.

Kiedy się zakończyła, w latach 90. XX w. na gruzach zaczęto budować banki i korporacje, a kraj powoli wracał do dawnej świetności. Wprawdzie wojenni watażkowie stali się politykami, a osoby, które po zakończeniu konfliktu zbrojnego w 1990 r. przejęły władzę, trzymają się jej do dziś. Jedną z nich jest Riad Salame, który tuż po wojnie stanął na czele Banque du Liban, banku centralnego.

Zamrożone konta

Salamego nazwano „magikiem finansów", gdy zarządzany przez niego Banque du Liban oraz inne banki zaczęły oferować wysokie stopy procentowe Libańczykom, którzy wpłacali na konta dolary. Z jeszcze wyższego zysku mieli cieszyć się depozytariusze wpłacający funty libańskie. Uczestniczyły w tym także inne banki oraz politycy, którzy często są ich akcjonariuszami. Dzięki polityce Salamego funt libański utrzymywał także stały kurs względem dolara amerykańskiego (do 2019 r. jeden dolar wart był 1500 funtów).

Wkrótce jednak okazało się, że libański system bankowy, uważany za jeden z najlepszych na świecie, jest w rzeczywistości oparty na oszustwie, które pozwalało wysoko postawionym osobom na pranie brudnych pieniędzy. Dzieło Salamego to tzw. schemat Ponziego, czyli rodzaj piramidy finansowej.

Libańskie banki kusiły klientów wysokimi stopami procentowymi, choć w rzeczywistości nie generowały żadnego zysku. Kraj zaciągał pożyczki, a dotychczasowi klienci otrzymywali pieniądze kolejnych osób, które wpłacały swoje środki. Banki pożyczały więc od jednych po to, aby spłacić drugich. Taka sytuacja nie mogła trwać wiecznie.

Losy Riada Salamego i Charlesa Ponziego (zm. 1949), od którego nazwiska pochodzi określenie tego rodzaju oszustwa finansowego, są jednak różne. Włosko-amerykański oszust został w końcu pociągnięty do odpowiedzialności. W przypadku Libanu jednak, choć naruszone zostało prawo finansowe, zamieszanych w to było zbyt wiele wysoko postawionych osób, a one są zwykle w tym kraju ponad prawem.

Z ujawnionych jesienią 2021 r. „Pandora Papers" – zbioru prawie 12 mln dokumentów, opublikowanych przez międzynarodowe konsorcjum dziennikarzy śledczych – wynika, że Salame, a także premier Nadżib Mikati i wielu innych decydentów wyprowadzili swoje pieniądze z Libanu do rajów podatkowych, jeszcze zanim prawda o oszustwie ujrzała światło dzienne. W efekcie to depozytariusze, tacy jak Sali Hafez, płacą cenę za politykę finansową Salamego. Konta Libańczyków zostały zamrożone trzy lata temu i od tego czasu nie mogą oni wypłacić swoich pieniędzy. Nikt nie wie, czy kiedykolwiek je odzyskają.

Wszystkie rodzaje kryzysu

– Dziś większość Libańczyków żyje na podobnym poziomie, bo ci, którzy mieli oszczędności w dolarach, stracili do nich dostęp – mówi mi Ghina, lokalna pracowniczka Polskiego Centrum Pomocy Międzynarodowej. – Część z nas po prostu nie ma pieniędzy, a inni mają je na rachunkach, ale nie mogą ich wypłacić.

Gdy razem z Ghiną odwiedzałam beneficjentów fundacji PCPM, zrobiłyśmy przy okazji kilka dodatkowych przystanków po drodze – w piekarniach. Ghina chciała kupić chleb dla swojej rodziny. Niestety, każdy sprzedawca kręcił głową z zatroskaniem i tłumaczył, że z powodu wojny w Ukrainie w całym kraju zabrakło mąki.

Ale nie tylko przez rosyjską inwazję na Ukrainę w Libanie brakuje podstawowych dóbr. Od kilku lat w tym kraju słowu „kryzys" towarzyszą coraz to nowsze przymiotniki. Jest kryzys polityczny, ekonomiczny, walutowy, wodny, żywnościowy, paliwowy, medyczny (bo ludzi nie stać na leki) i – chyba najbardziej widoczny – kryzys energetyczny. Czasem jeden kryzys wynika z drugiego, np. w wyniku kryzysu ekonomicznego Libanu nie stać na to, aby kupić od innych krajów prąd czy gaz.

– Nie wiemy, jaki kolejny kryzys nas czeka – usłyszałam przed przeprowadzką do Libanu, w sierpniu 2021 r.

Pierwszym nowym arabskim słowem, którego wtedy się nauczyłam, było „kahraba", czyli prąd. Bo o tym, czego najbardziej brakuje, często się mówi. Trudno wyobrazić sobie, aby w Polsce po powrocie do domu od progu pytano, czy jest prąd. On jest dla nas wciąż trochę jak powietrze. Tymczasem dla Libańczyków stał się już niemal dobrem luksusowym. W sieci płynie rzadko, a generatory są drogie. Dlatego zwykle dostępny jest tylko przez parę godzin dziennie, a i wtedy jego moc jest ograniczona.

Gdy nie masz na lodówkę

Poprzednio do Libanu pojechałam w roku 2017. Wtedy był to zupełnie inny kraj, doświadczający wówczas przede wszystkim kryzysu uchodźczego.

W tym maleńkim państwie, wielkości średniego polskiego województwa, liczącym niespełna 7 mln mieszkańców, osiedliło się ponad milion syryjskich ↦

↦ uchodźców. Nie starczyło dla nich mieszkań, a oni nie mieli pieniędzy, bo Liban, w którym się schronili przed wojną niszczącą ich kraj od 2011 r., był znacznie droższy od ich ojczyzny. Wielu mieszkało więc w garażach i barakach. Na czynsz i tak nie mieli. Wspierały ich organizacje międzynarodowe, w tym od 2012 r. także Polskie Centrum Pomocy Międzynarodowej, dopłacając syryjskim rodzinom do czynszu.

Ghina przypomina sobie pewnego Syryjczyka, który dostał od PCPM wsparcie finansowe na zapłatę czynszu: – Rozpłakał się. Zapytałam, dlaczego, a on wyjaśnił, że gdy tłumaczyliśmy mu, że to darowizna celowa, na zapłatę czynszu, on zastanawiał się, skąd wziąć pieniądze na zakup lodówki. Jego żona ma cukrzycę, w lodówce powinni przechowywać insulinę, która jest dla niej niezbędna. Poza tym, żeby lodówka działała, trzeba oczywiście mieć prąd, a on nie miał na generator...

– W moim domu prąd z sieci jest tylko przez godzinę, i to co jeden lub dwa dni – dodaje Ghina. – To tyle co nic, musimy więc dodatkowo płacić za generator. Ale nie każdego na to stać. Płaca minimalna to 675 tys. libańskich funtów, czyli według obecnego kursu mniej niż 20 dolarów. To ledwo starczy na opłaty za generator, na zapłacenie rachunku za zużycie prądu już nie wystarczy.

– Dlatego wielu z naszych podopiecznych musi zrezygnować z generatora, to dla nich za duży wydatek – kontynuuje Libanka. – Ograniczają też zakupy żywności, przestają na przykład kupować ryby, jedzą coraz mniej protein. Bez działającej lodówki jedzenie szybko się psuje, kupują więc tylko to, co szybko zjedzą. Na marnowanie żywności ich nie stać.

Mimo to, gdy Ghina dzwoni do Nawal, jednej z podopiecznych PCPM, aby uprzedzić ją o naszej wizycie, starsza pani z przejęciem zastanawia się, czym poczęstować gościa z zagranicy. Kryzys z pewnością nie zniszczył jednego: legendarnej bliskowschodniej gościnności.

W poszukiwaniu chleba

Sytuacja Libanu zaczęła pogarszać się w 2019 r. To wtedy konta bankowe zostały zamrożone, a libańska waluta – i wraz z nią pensje większości Libańczyków – zaczęła drastycznie tracić na wartości. Ceny jednak idą w górę. Firmy, które mają taką możliwość, starają się więc podnosić wynagrodzenia, ale nie są w stanie nadążyć za szalejącą inflacją.

Dla Libańczyków nawet **prąd stał się niemal dobrem luksusowym.** W sieci płynie rzadko, a generatory są drogie.

– Ktoś, kto zarabiał kiedyś półtora miliona funtów, czyli według kursu sprzed kilku lat tysiąc dolarów, teraz może dostawać np. 7 milionów funtów. Ale dziś to mniej niż 200 dolarów. Za taką kwotę nie da się przeżyć – mówi Ghina. – Nie sądzę, aby libańskie firmy były w stanie podnieść wynagrodzenia tak, żeby nadążyć za inflacją. Ci, którzy pracują w organizacjach pozarządowych, mają szczęście, bo zarabiają w dolarach.

Pozostali, czyli większość Libańczyków, biednieją. Przedstawiciele klasy średniej, którzy w bankach przechowywali swoje oszczędności, nie mają do nich dostępu, bo banki też nie mają pieniędzy. Zatem już nie tylko syryjscy uchodźcy, ale też coraz więcej ubogich Libańczyków potrzebuje pomocy.

Drożeje także benzyna. Podczas mojego pobytu w Libanie w ciągu kilku miesięcy cena za przejazd taksówką wzrosła dwukrotnie. A Bejrut nie należy do miast, po których łatwo poruszać się transportem publicznym. Przejazd przykładowo z Ras el Nabaa do Hamry (ok. 4 km), który jeszcze w styczniu tego roku kosztował ok. 30 tys., dziś kosztuje już 60 tys. funtów. Kierowca, zanim przyjedzie, dzwoni do pasażera, aby negocjować wyższą cenę. Inaczej przejazd mu się nie opłaca, bo ceny w aplikacji, służącej do wzywania taksówki, rosną wolniej niż cena benzyny.

Gdy rząd umówił się z bankiem centralnym, że ten będzie dopłacać do cen paliwa, Libańczycy stali w długich kolejkach na stacjach benzynowych. Kiedy zdecydowano o zniesieniu dopłaty, ceny paliwa drastycznie wzrosły. Rosną też ceny innych produktów, bo ich producenci ponoszą coraz większe koszty transportu. Wraz z kryzysem paliwowym i ekonomicznym narastają problemy z dostępem do prądu, bo generatory są zasilane paliwem.

Podobnie wzrastają ceny pieczywa. Chleb, do którego kiedyś rząd również dopłacał, od października 2019 r. zdrożał trzynastokrotnie. Nie dość zresztą, że jest drogi, to i tak brakuje go na półkach sklepowych – w szczególności w mniejszych miejscowościach.

To dlatego Ghina, która mieszka w Al-Batrun, ok. 50 km na północ od Bejrutu, a pracuje w stolicy, została poproszona przez swoją rodzinę, by poszukała chleba w Bejrucie.

– Młodzież może się przyzwyczaić do zamienników – tłumaczy. – Ale jak wytłumaczyć babci, że nie ma chleba? Przez całe swoje życie jadła na śniadanie chleb z hummusem czy baba gannoush, pastą z pieczonego bakłażana.

Najbardziej znienawidzony

W ostatnich tygodniach doszło do jeszcze kilku innych napadów na banki, przeprowadzonych przez zdesperowanych depozytariuszy. Miesiąc temu niejaki Basam Szejk Husejn przetrzymywał zakładników przez kilka godzin. Udało mu się dzięki temu wypłacić ok. 35 tys. dolarów z posiadanych 200 tys., które ma zamrożone na koncie; pozwoliło mu to zapłacić za hospitalizację ojca. Z kolei Abdallah Assaii, mieszkaniec doliny Bekaa, wziął kilkudziesięciu klientów i pracowników banku jako zakładników, aby wypłacić swoje oszczędności. Obu uznano później za bohaterów.

Zanim sięgnęli po taką metodę, wcześniej klienci próbowali innych sposobów. W październiku 2021 r. wojsko interweniowało przeciw właścicielom rachunków, którzy obrzucali bank kamieniami. W lutym tego roku doszło do starć, w których wojskowi użyli pałek; byli ranni.

Riad Salame, obwiniany za kryzys finansowy, jest dziś prawdopodobnie najbardziej znienawidzonym człowiekiem w Libanie. Dziennikarze „Beirut Today" zapytali niedawno Libańczyków, co by zrobili, gdyby obudzili się w jego skórze.

„Złożyłbym rezygnację ze stanowiska" – odpowiedział mężczyzna w średnim wieku.

„Oddałabym ludziom ich pieniądze, w szczególności osobom w potrzebie" – odpowiedziała kobieta.

„Kupiłbym sobie bugatti" – zażartował młody chłopak.

„Zabiłabym się" – odpowiedziała młoda dziewczyna.

© DALIA MIKULSKA

Wolność? To nie tutaj

EWA KLEWAR Z GWATEMALI

Prezydent Gwatemali bezwzględnie zwalcza krytykujących go dziennikarzy oraz niezależnych sędziów i prokuratorów. Ubogi i wysoce skorumpowany kraj Ameryki Środkowej odchodzi od demokracji.

JOHAN ORDONEZ / AFP / EAST NEWS

Moment aresztowania dziennikarza śledczego Joségo Rubéna Zamory, dyrektora dziennika „El Periódico". Stołeczne miasto Gwatemala, 29 lipca 2022 r.

Jest letnie popołudnie, koniec lipca. W burym, betonowym mieście Gwatemala – stolicy państwa o tej samej nazwie – panują duszne upały. José Rubén Zamora Marroquín kończy właśnie rodzinny obiad. Ze Stanów Zjednoczonych przyjechały wnuki, musi być zadowolony ze spotkania z rodziną, która od 2003 r. przebywa poza krajem.

Jego bliscy nie wyjechali za pracą, jak większość Gwatemalczyków. Uciekli ze strachu: po tym, jak grupa gangsterów na kilka godzin zrobiła z Zamory zakładnika w jego własnym domu. To było ostrzeżenie. Poważne i jedno z wielu, które miał otrzymać w kolejnych latach.

Kilka dni wcześniej Zamora, jeden z najbardziej znanych w Gwatemali dziennikarzy śledczych, opublikował artykuł o korupcji w sferach rządowych. I oto ten spokojny letni dzień w rodzinnym gronie zostaje właśnie przerwany: pod dom Zamory podjeżdżają wozy policyjne i czarne pick-upy bez rejestracji. Uzbrojeni funkcjonariusze z zakrytymi twarzami wchodzą do budynku i przez kolejne godziny przeczesują jego pomieszczenia, podczas gdy pozostali na zewnątrz pilnują wejścia. Wokół zbierają się dziennikarze i zaciekawieni przechodnie.

Patrząc na rozmach tej akcji, można by pomyśleć, że namierzono któregoś z poszukiwanych przestępców. Tymczasem policja konfiskuje dwa telefony i skuwa w kajdanki Zamorę, 66-letniego spokojnego mężczyznę o białych włosach.

Przynajmniej część kraju wstrzymuje oddech. Zamora to postać dużego kalibru: nie tylko dziennikarz, ale także dyrektor „El Periódico", gwatemalskiego dziennika i jednej z najbardziej krytycznych wobec obecnej władzy gazet w kraju. Jak podkreślają niezależne media, to pierwszy przypadek od podpisania kończących wewnętrzny konflikt porozumień pokojowych w 1996 r., gdy do więzienia w Gwatemali trafia dziennikarz tak wysokiej rangi.

„Przypuszczam, że to wszystko ma związek ze spiskiem przeciwko mnie. Jeśli tak jest i więzienie ma być ceną za miłość do Gwatemali, to trudno, nie ma wyjścia" – Zamora zdążył jeszcze powiedzieć to dziennikarzom, zanim wsadzono go do policyjnego wozu. Na godzinę przed północą został oficjalnie zatrzymany i przewieziony do Pałacu Sprawiedliwości. Od tamtej pory pozostaje w więzieniu.

Rosjanie i mały książę

Prokuratura zapewnia, że aresztowanie nie ma związku z dziennikarską aktywnością Zamory: zarzuca mu szantaż i pranie pieniędzy. Trudno jednak bezkrytycznie przyjąć te wyjaśnienia. „El Periódico", założony przez Zamorę w tamtym pamiętnym roku 1996, od lat opisuje powiązania władzy z mafią i afery korupcyjne z udziałem najwyżej postawionych polityków w kraju. W dzienniku pojawiły się m.in. szczegóły zeszłorocznej wizyty rosyjskich milionerów, związanych z przemysłem wydobycia niklu. Z detalami opisano ich szczodre powitanie, luksusowe hotele i asystę sowicie opłaconych kobiet (a także ich zagadkowe zniknięcie).

Jednak tym, co najbardziej rozwścieklło władze w Gwatemali, jest kwestia dywanu: zwiniętego w rulon i skrywającego paczki gotówki. To prezent, jaki prezydent Alejandro Giammattei, urzędujący od 2020 r., miał otrzymać od rosyjskich gości. Dwa miesiące od tej wizyty przedsiębiorcy oficjalnie wyrazili zainteresowanie otrzymaniem koncesji na działalność w porcie Santo Tomás de Castilla we wschodniej części Gwatemali. W planach mają konstrukcję terminalu do eksportu minerałów.

Dziennik nie poprzestaje na aferach. W jego dziale satyrycznym opublikowano opowieść o małym księciu, bezgranicznie chciwym, i zakochanym w nim ogrze, który dotarł do władzy, by obdarować lubego prezentami. Gwatemalczycy szybko dostrzegli w wymyślonych postaciach odbicie prezydenta i Miguela Martíneza: młodego polityka, który zadziwiająco szybko wspiął się po szczeblach władzy, cieszy się licznymi przywilejami i nie odstępuje prezydenta na krok. Dziennikarze krytyczni władzy piszą o nim jako o najbardziej wpływowym człowieku w kraju, a plotki niosą się same.

Giammattei, konserwatywny polityk, nie lubi kpin. Nie życzy sobie, by kwestionowano jego decyzje, pytano, z kim robi interesy i jak wydaje publiczne pieniądze. ↦

↦ W swej ofensywie przeciwko tym, którzy zaczynają być niewygodni, ma potężne narzędzie: kontrolę nad wymiarem sprawiedliwości.

Lista Engela

W maju tego roku prezydent Giammattei podjął decyzję o nominacji Consuelo Porras na stanowisko prokurator generalnej. To już jej druga kadencja. Pierwsza upłynęła pod znakiem afer korupcyjnych, zarzutów o utrudnianie najważniejszych śledztw w państwie i wyświadczanie przysług osobom z jej najbliższych kręgów.

Od ubiegłego roku Porras znajduje się na publikowanej przez Stany Zjednoczone „Liście Engela" (nazywanej tak od nazwiska byłego amerykańskiego kongresmena Eliota Engela, który jako pierwszy zaproponował opublikowanie takiego dokumentu), wskazującej na osoby, które, w ocenie amerykańskiego Departamentu Stanu, stanowią zagrożenie dla demokratycznych procesów i instytucji w Ameryce Środkowej, są skorumpowane bądź zakłócają śledztwa dotyczące korupcyjnych afer. Figurujący na liście nie mają prawa wjazdu do Stanów Zjednoczonych, istnieje też możliwość zamrożenia ich aktywów w USA.

Reelekcję Porras skrytykowało wiele organizacji pozarządowych, w tym Human Rights Watch: „Podczas (pierwszej) kadencji Porras Prokuratura Generalna wszczynała fałszywe postępowania przeciwko niezależnym sędziom, prokuratorom i dziennikarzom". Taktyka prokurator generalnej okazała się skuteczna: kraj, jedna po drugiej, opuszczają osoby, w których wielu Gwatemalczyków widziało ostatni bastion broniący podupadającej demokracji.

Polowanie na czarownice

Do dziś już ponad 20 prawników, sędziów i prokuratorów zajmujących się sprawami korupcyjnymi uciekło z Gwatemali w obawie przed represjami. Wśród nich Erika Aifán, sędzina w procesie dotyczącym domniemanych łapówek, wręczonych gwatemalskim politykom przez brazylijski koncern budowlany Odebrecht. Opuściła Gwatemalę, gdy zarządzana przez Porras prokuratura podjęła kroki w celu pozbawienia jej immunitetu sędziowskiego.

Wyjechał także Juan Francisco Sandoval, niegdyś dyrektor FECI (Specjalnej Prokuratury przeciwko Bezkarności). Dziś mieszka w Stanach Zjednoczonych. To on zbierał dowody w sprawie pieniędzy rzekomo przekazanych w dywanie prezydentowi przez gości z Rosji. Wyjechał po tym, jak decyzją Porras pozbawiono go stanowiska i wydano za nim nakaz aresztowania. Do granicy z Salwadorem, dla bezpieczeństwa, eskortował go ambasador Szwecji.

Podobne historie opowiadają pozostali pracownicy instytucji wymiaru sprawiedliwości, szukający azylu z dala od ojczyzny. W dzień zatrzymania Zamory aresztowana została również Samari Gómez, asystentka prokuratora w FECI. „To polowanie na czarownice" – powiedziała gwatemalskim mediom.

Dziś oczy Gwatemalczyków zwrócone są na sędziego Miguela Ángela Gálveza. Orzeka on w sprawie „Diario Militar" („Notatnik wojskowy"): procesie, w którym byli wojskowi i funkcjonariusze policji oskarżani są o nielegalne zatrzymania, tortury i egzekucje przynajmniej 195 dysydentów politycznych w latach 80. XX w., podczas krwawego konfliktu wewnętrznego.

To jeden z najważniejszych procesów dotyczących zadośćuczynienia ofiarom tamtego konfliktu, toczących się obecnie w Gwatemali. Sędzia otrzymuje pogróżki śmiercią, podjęto też pierwsze kroki w celu pozbawienia go immunitetu. O zapewnienie bezpieczeństwa Gálvezowi apelują m.in. Światowa Organizacja Przeciwko Torturom i Międzyamerykański Trybunał Praw Człowieka. Chyba wszyscy obserwujący ostatnie wydarzenia zadają sobie pytania – jak długo sędzia Gálvez będzie mógł pozostać w kraju? Czy zdoła doprowadzić proces do końca?

Już ponad 20 prawników, sędziów i prokuratorów zajmujących się sprawami korupcyjnymi uciekło z Gwatemali w obawie przed represjami.

Prezydent Giammattei nie chce, by pytano, z kim robi interesy.

Wiecznej wiosny nie będzie

O opinię o dzisiejszej Gwatemali proszę Jas Gidalti. To jedna z tych osób, które są urodzonymi aktywistkami. Pojawia się na manifestacjach, debatach, lokalnych wydarzeniach solidarnościowych. Pokazuje mi zdjęcia z protestów: stoi sama, z zasłoniętą twarzą, przed kordonem uzbrojonej policji i wymachuje tęczową flagą.

Dorastała w VI Dzielnicy, *zona roja*, czerwonej strefie, znanej z przemocy gangów. Szukając pracy musiała podawać zmyślony adres; niełatwo się pozbyć etykiety złego pochodzenia. Doświadczenia z tej części miasta wpłynęły na całe jej późniejsze życie. To tam przez pięć lat udzielała lekcji kobietom, które nigdy nie miały szansy na pójście do szkoły. Jedna z uczennic została zastrzelona na jej oczach, wychodziła właśnie z zajęć. Była to zemsta za to, że zdecydowała się złożyć zawiadomienie o gwałcie.

– Kilka z moich uczennic zostało pielęgniarkami. Ich przeszłością były gangi, a mimo to wciąż żyją – opowiada z wilgotnymi od łez oczami. – Od tamtej pory coś we mnie się zmienia, czuję, że chcę zbawić świat. Wtedy też zaczynam zdawać sobie sprawę z ryzyka i z tego, że w naszym kraju istnieją struktury, które nie pozwalają na tę zmianę. CACIF (organizacja gwatemalskich przedsiębiorców, znana z bliskich kontaktów z władzą i znaczącego wpływu na politykę w kraju), gangi narkotykowe, skorumpowani politycy nie pozwalają, by przyszła wieczna wiosna, o jakiej nam opowiadają.

„Nie chcemy starej polityki"

Jas Gidalti pracuje w fundacji Visibles, działającej na rzecz osób LGBT.

– Dzięki tej pracy sama „wyszłam z szafy" – opowiada. To zmieniło jej pozycję, zaczęła dostrzegać kruchość swej sytuacji. – Zastanawiam się, jak żyć w kraju, który jest tak konserwatywny, szowinistyczny i skorumpowany, że nie daje nam żadnych narzędzi, by się rozwijać. Gdy zdasz sobie sprawę z rzeczywistości, w jakiej żyjesz, gdy odczujesz to całą sobą, ciężko później o spokój – dodaje.

Opowiada mi o tegorocznej paradzie równości i o tym, jak mimo ponurej sytuacji w kraju, widząc ulicę pełną tańczących ludzi poczuła, że w kraju zachodzą zmiany.

– Tyle że w kwestii praw człowieka zawsze będzie to walka. Dzisiejsze represje dotykające dziennikarzy nas także dotyczą, my będziemy kolejni – sądzi Gidalti. – Jeśli ktoś uważa, że to, co się dzieje w kraju, go nie dotyczy, żyje w jakimś magicznym świecie. Patrzymy na początki dyktatury. Ci, którzy podczas konfliktu wewnętrznego zmasakrowali naród, wciąż kontrolują kraj.

O Gwatemali mówi, że jednocześnie ją kocha i nienawidzi. – Czasem chciałabym o niej zapomnieć. Ale kiedy wyjadę... – zawiesza głos.

Jas jak wiele młodych osób, z którymi rozmawiam, bierze pod uwagę emigrację. Ale jeszcze nie teraz, nie chce czuć, że opuszcza kraj w potrzebie. Pokłada nadzieję w przyszłorocznych wyborach prezydenckich i wyborach do Kongresu. – Chcę pracować nad większą świadomością podczas głosowania, przede wszystkim z młodymi ludźmi. Już nie chcemy starej polityki. Ona nigdy nam w niczym nie pomogła.

Lepiej być ostrożnym

O sytuacji w kraju alarmuje również UDEFEGUA: organizacja pozarządowa zajmująca się ochroną obrońców praw człowieka. Według jej danych przez ponad dwa lata rządów prezydenta Giammatteiego zarejestrowano już 2646 przypadków ataków na osoby broniące praw człowieka. To więcej niż podczas całych kadencji jego dwóch poprzedników. Opublikowany niedawno komunikat organizacji mówi wprost: „Decyzje obecnego rządu prowadzą nas do odnowienia państwa autorytarnego”.

Konflikty w stolicy, rozgrywane na wysokich szczeblach władzy, znajdują odzwierciedlenie w reszcie kraju. Z dala od miasta toczą się brutalne spory o terytorium, dostęp do podstawowych usług i poszanowanie przyrody.

Według ostatniego spisu powszechnego z 2018 r. blisko 44 proc. ludności Gwatemali ma pochodzenie rdzenne, w większości są to Majowie. Ziemia, postrzegana w mieście jako okazja do interesów, poza nim ma inne znaczenie.

– To nasza matka, która zapewnia nam pożywienie. Ziemia to także nasze prawo, jest dla nas święta i traktujemy ją z szacunkiem – mówi mi Hector, jeden z aktywistów z zachodniego wybrzeża kraju. Jest liderem organizacji sprzeciwiającej się plantacjom trzciny cukrowej, rozciągającym się po departamencie Retalhuleu jak zielony ocean. Gigantyczne uprawy pozbawiają lokalne społeczności wody. Praca oferowana na plantacjach odbywa się w fatalnych warunkach, często bez umowy, pick-upy rozwożące pracowników są pełne nieletnich.

Hector to nie jest jego prawdziwe imię. Prosił, by je zmienić. Lepiej być ostrożnym, tym bardziej że grożono mu śmiercią, a za jego działalność postawiono mu zarzuty kryminalne.

Jak widzi przyszłość? – Przewidujemy ogromną falę emigracji. Jeśli pytasz o nadzieję, to raczej jej nie mamy. Instytucje upadły, rząd i przemysł rolniczy na wielką skalę narzucają nam swoje zasady. Być może zmiana zależy od większej świadomości społeczeństwa, jedności. Ale to wymaga wielkiej pracy. W najbliższych wyborach startować będą te same partie co zawsze, nie sądzę, by coś się mogło zmienić – jego głos jest smutny, niemal obojętny.

■■■

„Od kiedy w 1989 r. zacząłem pracować jako dziennikarz, powtarzam nieustannie, że żyjemy w narkotykowo-kleptokratycznej dyktaturze, która nas porywa i zastrasza” – mówił Zamora po aresztowaniu.

Niedługo przed dniem niepodległości, obchodzonym w Gwatemali 15 września, kraj obiegła wiadomość o wyjeździe z kraju kolejnej ważnej dla demokracji postaci. Jordán Rodas, były już prokurator ds. praw człowieka, otwarcie krytykował władze państwowe, alarmował, że w kwestii praworządności i praw człowieka nastąpił poważny regres. Nie zwlekał zbyt długo. Na kilka godzin po zakończeniu kadencji, o drugiej nad ranem przekroczył granicę z Salwadorem.

Hector: – Według nas nie ma żadnej niepodległości. Ona jest tylko dla niewielkiej grupy stanowiącej władzę. Tutaj nie ma wolności. W dzień niepodległości nie będziemy świętować, raz jeszcze przypomnimy sobie o trwającej opresji.

© EWA KLEWAR

CONRADFESTIVAL

Natura przyszłości
całoroczny cykl rozmów **Grzegorza Jankowicza**

O tożsamości. Spotkanie z ABDULRAZAKIEM GURNAHEM

- Co jest istotą doświadczenia ludzi zamieszkujących tzw. kraje peryferyjne?
- Jak dzisiejsze formy sprawowania rządów wpływają na nasze poczucie tożsamości?
- Jakie nowe koncepcje tożsamości inspirowane są przez zmiany polityczne i kulturowe?
- Jak literatura może nam pomóc w uporaniu się z doświadczeniem migracyjnym?
- Co dają nam opowieści, których głównym tematem jest tożsamość?

FOT. SIMONE PADOVANI / AWAKENING

transmisja: **czwartek | 29.09. | 19.00 | /TygodnikPowszechny**

dofinansowanie Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

partner strategiczny allegro

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

HISTORIA

ŚWIĘTA KONTRABANDA

Co najmniej milion egzemplarzy Biblii przerzucono nielegalnie do Związku Sowieckiego. Jak dziś wspominają to ówcześni „przemytnicy"?

ANDRZEJ OTCZYK

Hrihorij Parylak ze Lwowa był młodym chłopakiem, gdy jego rodzice urządzili we własnym mieszkaniu magazyn Biblii w języku rosyjskim i ukraińskim, przemycanych z Polski.

– Czekaliśmy na pociągi z Przemyśla i odbieraliśmy literaturę od zaufanych osób. Byli wśród nich zielonoświątkowcy, adwentyści, metodyści, przedstawiciele innych wyznań, także młodzież katolicka. Od nas z kolei paczki z Pismem Świętym zabierali kurierzy z dalszych regionów, z Krzywego Rogu na wschodniej Ukrainie, z Kaukazu, nawet z Syberii. Dopiero jako dorosły zdałem sobie sprawę, jakie konsekwencje groziły nam w razie wpadki: wysoka grzywna, a nawet więzienie. Dla komunistycznych funkcjonariuszy Biblia była czymś bardziej niebezpiecznym niż broń. Obowiązkowe pytania, które słyszało się w czasie kontroli granicznej, brzmiały: „*Zbroja jest*'? *Biblia jest*'?" – wspomina Parylak w rozmowie z „Tygodnikiem".

Historyk ks. Roman Dzwonkowski we wstępie do „Leksykonu duchowieństwa polskiego represjonowanego w ZSRS 1939-1988" pisze: „Warunkiem stworzenia komunistycznego »raju« było wyeliminowanie wierzeń religijnych. Bezwzględne dążenie do tego celu rozpoczęło się już w czasie rewolucji bolszewickiej i było konsekwentnie realizowane".

Sowiecka władza burzyła świątynie, więziła i mordowała duchownych, zakazała nauczania religii dzieci i młodzieży, a także rozpowszechniania, opracowywania i przechowywania literatury religijnej. Łamanie tych zakazów objęte było od początku surowymi sankcjami, łącznie z wieloletnim uwięzieniem w łagrze, na mocy osławionego art. 58 kodeksu karnego z 1927 r.

Po II wojnie światowej antyreligijny kurs partii komunistycznej został jeszcze zaostrzony. Pod rządami Nikity Chruszczowa w 1961 r. XXII zjazd Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego wytyczył kierunki „budowy rozwiniętego komunizmu", za jeden z celów uznając likwidację religii. Ten priorytet nie zniknął później w epoce Leonida Breżniewa; odwilż przyniosły dopiero rządy Michaiła Gorbaczowa.

Polski pomost

Założyciel i wieloletni dyrektor misyjnej organizacji Open Doors, Holender Anne van der Bijl (w kręgach protestanckich znany jako „brat Andrew"), opowiada w filmie „Boży przemytnicy", że pomysł przewozu zakazanej księgi na wschód po raz pierwszy pojawił się podczas jego wizyty w Warszawie w 1955 r.

Nie miał tu żadnych kontaktów, więc po niemiecku zapytał w autobusie o kogoś, kto może mu podać adres jakiegoś chrześcijanina w tym mieście. Tak trafił do Brytyjskiego i Zagranicznego Towarzystwa Biblijnego przy Nowym Świecie 41. Ówczesny dyrektor tej instytucji, Aleksander Enholc, opowiedział niespodziewanemu gościowi o ateistach, którzy ryzykując więzieniem, a nawet życiem, za sowitą opłatą przemycali do Związku Sowieckiego rosyjskojęzyczne Biblie kupowane w sklepie Towarzystwa.

Wtedy po raz pierwszy „brat Andrew" pomyślał, że musi przerzucać Pismo Święte do Związku Sowieckiego. Był lipiec, w polskiej stolicy trwały gorączkowe przygotowania do V Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów, sztandarowej imprezy partii komunistycznej.

Mieszkający obecnie w Wiśle Henryk Król wspomina w rozmowie z „Tygodnikiem", że sklep przy Nowym Świecie 41 był traktowany przez władze PRL jako dowód na wolność religijną w Polsce, ale w rzeczywistości zaspokajał zaledwie małą część popytu na Biblię. W innych krajach bloku wschodniego nie było nawet takich miejsc, więc zaopatrywanie w Pismo Święte ludzi wierzących stało się jednym z zadań działających na Zachodzie misji – nie tylko holenderskiej Open Doors, ale też niemieckich („Licht nach Osten", „Friedensstimme", „Ewangelia dla każdego") i innych, także amerykańskich oraz kanadyjskich.

Polska pełniła tu rolę swoistego pomostu między Zachodem a Wschodem. Przedstawiciele misji rzadko zapuszczali się dalej niż nad Wisłę, powierzając dalsze rozpowszechnianie literatury polskim współpracownikom. Punkty przerzutowe funkcjonowały w wielu miejscowościach, od Szczecina i Wrocławia po Warszawę, Płock i Lublin.

Skrytka pod kazalnicą

Władysław Kosowski z Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego w rozmowie z „Tygodnikiem" opowiada o dostawach literatury, które do Szczecina szły drogą morską ze Szwecji. Magazyn książek, przeważnie Biblii w języku rosyjskim, działał w jednym z domów prywatnych, a korzystali z niego współpracujący z sobą adwentyści i baptyści.

Pastor Kościoła Baptystów w Olsztynku, nieżyjący już Stefan Szmigiel,

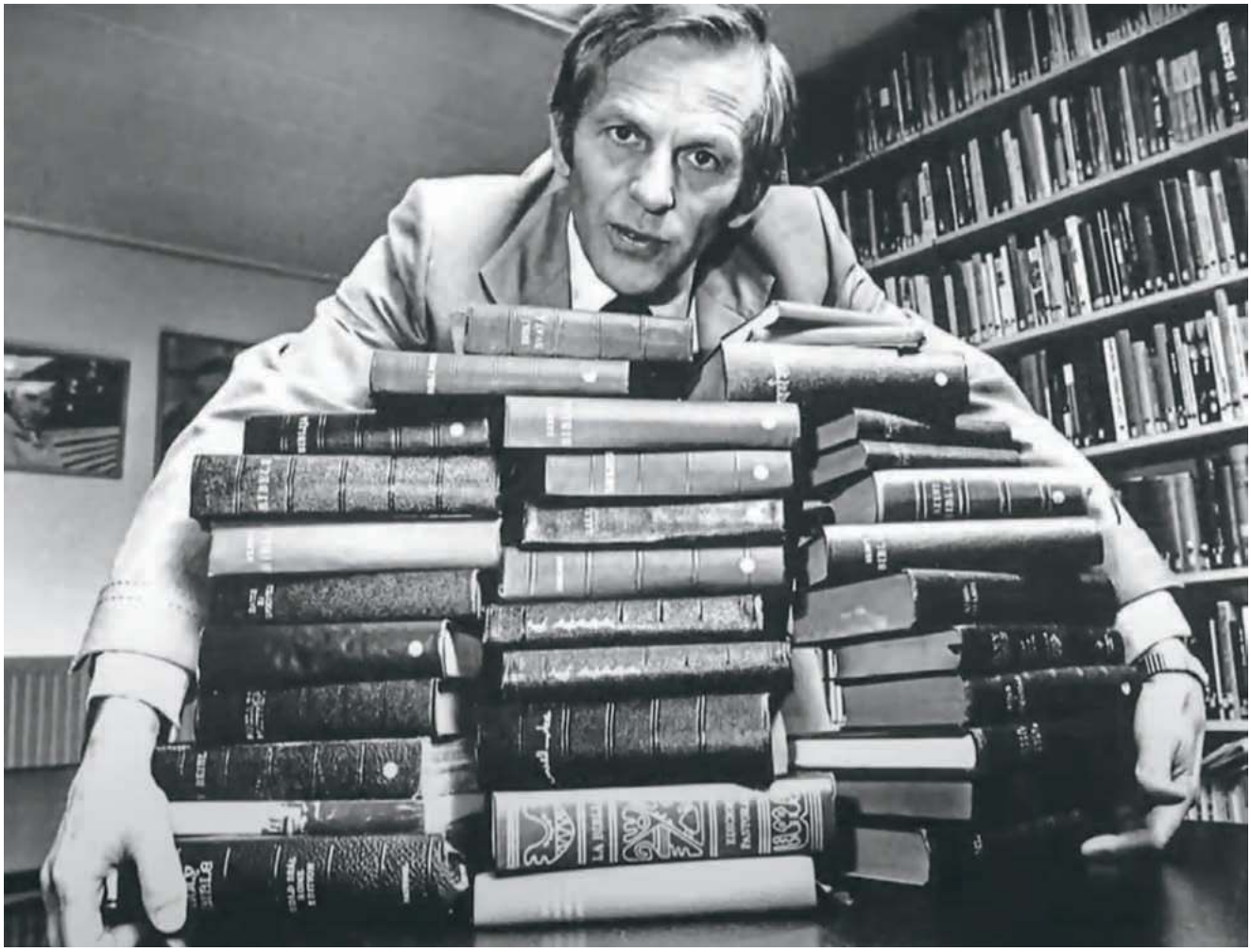

ARCHIWUM OPEN DOORS USA

Założyciel i wieloletni dyrektor Open Doors, Holender Anne van der Bijl – znany jako „brat Andrew" – na pomysł przerzucania Biblii do Związku Sowieckiego przez Polskę wpadł jeszcze w latach 50. XX wieku.

schowek na zakazany towar urządził w baptysterium kaplicy, zamaskowany deskami. Z kolei Krzysztof Bednarczyk, pastor baptystów w zborze krakowskim – również już nieżyjący, a dla sprawy przerzutu literatury religijnej na Wschód zasłużony – przyjmował duże partie Biblii w języku rosyjskim i umieszczał je w kościele pod podium, na którym stały stół komunijny i kazalnica.

Punkt przerzutowy, zawiadywany przez osoby z kręgu Instytutu Prymasa Wyszyńskiego w Częstochowie, działał też w klasztorze jasnogórskim. W Lublinie taki punkt zorganizowały w swym klasztorze siostry szarytki. Mieszkający w tym mieście Julian Grzesik barwnie opisał przeżycia związane z przerzutem literatury na Wschód w książce „Przemytnicy Biblii w posłudze ewangelicznej".

Również on i jego żona uczestniczyli w rozpowszechnianiu Biblii. Julian wspomina w rozmowie z „Tygodnikiem", że kiedy otrzymał zakaz wyjazdów za granicę, żona Helena przez wiele lat samodzielnie kontynuowała to dzieło. W ich mieszkaniu, w bloku na drugim piętrze, również działał punkt przerzutowy.

Pod osłoną nocy

Składowanie literatury przeznaczonej do wywozu za wschodnią granicę mogło mieć dla gospodarzy zakonspirowanych pomieszczeń przykre skutki, dlatego książki transportowano w tajemnicy. O schowkach wiedziało wąskie grono osób, a dostawy odbywały się zwykle nocą.

Julian Grzesik opisuje wzbudzający dziś uśmiech wyjątek od tej reguły: „Pewnego dnia, w czasie stanu wojennego, o godzinie 9.00 pomagaliśmy w rozładowywaniu jednej z dostaw Biblii u sióstr szarytek przy ulicy Staszica. W pobliżu, przy ulicy Zielonej, stacjonowało ZOMO. W pełnej napięcia atmosferze, gdy pracownicy sąsiadującego z klasztorem szpitala usuwali parkujące na chodniku samochody, przez wąską bramę wjechał na teren kościelny duży samochód z zachodnią rejestracją. Dostarczoną w takiej scenerii literaturę ukryły siostry w pomieszczeniach klasztornych".

Licząca ponad sto lat Halina Ostik z Warszawy, która w czasie II wojny światowej pomagała Żydom, walczyła w AK, uczestniczyła w powstaniu warszawskim i trafiła do niemieckiego obozu, tak w książce „Halina. Wiara pośród ognia" opowiada o przeżyciach związanych z przemycaniem Biblii w epoce PRL: „W tym czasie staliśmy się [z „bratem Andrew" – red.] przyjaciółmi i postanowiliśmy, że będziemy współpracować w przekazywaniu Biblii ludziom w Polsce". Chcąc zminimalizować ryzyko, „Biblie po rosyjsku i polską literaturę chrześcijańską przywożono różnymi drogami, aby nie tworzyć schematu, który ktoś mógłby wykryć. Robiliśmy to głównie w nocy, a książki były wnoszone do mojego mieszkania w ciężkich walizkach".

„Wiedzieliśmy oczywiście, że gdyby Służba Bezpieczeństwa zrobiła nalot na budynek, książki zostałyby znalezione ↦

↦ – wspominała Halina Ostik. – Zatem moi młodzi znajomi, którzy pracowali ze mną, zabierali je i rozdawali tak szybko, jak to było możliwe".

Brat Dick przybywa przed północą

O nocnych dostawach Biblii do rodzinnego domu w Gliwicach opowiada mi również Henryk Król. – Naszym głównym kontaktem był brat Dick z Open Doors – wspomina. – Nigdy nie wiedzieliśmy, kiedy się zjawi, zwykle było to między godziną 23 a 24. Po kryjomu rozładowywaliśmy w naszym garażu jego samochód. Pojazd ten miał specjalne schowki pod podłogą, podwójne ściany i nie wiem, czy też nie podwójny sufit. W jednym transporcie mogło być do tysiąca Biblii.

– Brat Dick odwiedzał nas dwa lub trzy razy w roku – wspomina Król. – Pakunki rozwoziliśmy następnie do mniejszych punktów na Śląsku Cieszyńskim, w Wiśle, Skoczowie czy Ustroniu. Kiedy nadchodził sygnał, literaturę rosyjskojęzyczną przekazywaliśmy zaufanym kurierom, a oni przemycali ją dalej na Wschód. Istniała cała sieć złożona z ludzi dobrej woli, z różnych denominacji, którzy nie bali się konsekwencji swego zaangażowania w tę pracę. Bez Biblii nie możemy przecież mówić o chrześcijaństwie, dlatego bycie częścią sieci przemytników Pisma Świętego było wielkim honorem.

W puszkach z morelami

Bywało i tak, że literaturę przewozili do Związku Sowieckiego stacjonujący w Polsce żołnierze Armii Czerwonej. Zadania tego podejmowali się za wysoką opłatą, podobnie jak personel pociągów międzynarodowych. Czasem korzystano też z poczty, nie mając jednak pewności, że przesyłki nie zostaną po drodze skonfiskowane.

Najpewniejszą, ale też obarczoną największym ryzykiem metodą przemytu pozostawało więc przewożenie „towaru" przez zaufanych kurierów. Opasywali się oni specjalnie przygotowanymi Bibliami, ubierali luźną odzież, w torbach podróżnych umieszczali książki pod rzeczami osobistymi – i liczyli na szczęście w czasie kontroli celnej. Przydatne były też skrytki w przedziałach wagonów kolejowych.

Biblie, albo same Nowe Testamenty, przewożono w pudełkach po czekoladkach lub ciastkach, w proszku do prania, a nawet zapiekano w bułkach. Członkowie jednego z protestanckich zborów w Lublinie przez długi czas szmuglowali małe Biblie zawinięte w folię i schowane... w grubej kiełbasie. Celnicy, widząc pęta kiełbas w używanych wtedy powszechnie siatkach z „oczkami", odstępowali od kontroli.

> Obkładałem się Bibliami, tors i nogi – wspomina Stefan Szmigiel. – Było takie powiedzenie: **„Na granicy w Mościskach serce ściska".**

– Nieraz w darach z Zachodu przychodziły do nas Biblie ukryte w puszkach z morelami, brzoskwiniami lub innymi produktami – opowiada Władysław Kosowski z Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego. – Były zafoliowane, zabezpieczone przed wilgocią. Odkryliśmy jednak, że wystarczyło taką puszkę podnieść, by przekonać się, iż coś jest nie tak. Była lekka, a poruszając nią, nie słyszało się charakterystycznego chlupotania. Postanowiliśmy więc wtłaczać do puszek wodę, aby wszystko się zgadzało.

Strach ściskał serce

Stefan Szmigiel niejednokrotnie przewoził zakazany „towar" przez granicę.

– Biblie rozkładało się na połowę i obkładało się nimi naokoło, nie tylko tors, ale też nogi – wspominał. – Było takie powiedzenie, że „na granicy w Mościskach serce ściska". Modliłem się: „Boże drogi, pobłogosław, daruj mi ten pokój, bym pod Twoim schronieniem mógł przejechać bezpiecznie przez granicę". I chociaż człowiek opasany literaturą wyglądał jak słupek, to jednak udało mi się szczęśliwie uniknąć wpadki.

Podobną metodę przemytu zastosował Adam Król, kiedy jako opiekun grupy studentów Politechniki Śląskiej w Gliwicach, jadącej na praktyki w Związku Sowieckim, przekraczał wschodnią granicę. – Byłem w za dużym płaszczu, obładowany Bibliami – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem". – Bałem się strasznie, z natury nie jestem bohaterem. W trakcie kontroli wyszedłem na korytarz wagonu, modląc się. Bóg mi pomógł, kontrola po prostu mnie ominęła. Byłem przekonany, że w razie wpadki stracę pracę asystenta na uczelni. Wszystkie adresy kościołów w Związku Sowieckim miałem tylko w mojej pamięci. Chciałem mieć pewność, że jeśli mnie złapią, to tych adresów nie znajdą.

Jadwiga Michalkiewicz, odwiedzając rodzinę na Wschodzie, zawsze przewoziła przy okazji duże ilości literatury. Biblie umieszczała pod bielizną osobistą w bagażach, opasywała się też rozłożonymi książkami i zakładała za duże ubrania.

Pewnego razu miała przesiadkę na lotnisku w Moskwie i gdy samolot z Warszawy wylądował, usłyszała w głośnikach, że ma się zgłosić przy wyjściu. Pomyślała, że pewnie wpadła. Na miękkich nogach szła do drzwi wyjściowych, a tam czekała na nią załoga samolotu i dzieci z kwiatami. Okazało się, że była iluś tam milionowym pasażerem tych linii lotniczych.

Kobieta z walizkami

Byli wśród tych przemytników ludzie, którzy dostarczanie Biblii na Wschód uznali za cel życia. Nie brakowało też osób, zwłaszcza kobiet, dla których przemyt ten był jednym z rozdziałów spełnionego życia – takich jak wspomniane Halina Ostik czy Helena Grzesik.

Albo jak siostra Stanisława Andronowska, szarytka z Lublina, wnuczka powstańca styczniowego Jana Korsaka i siostra porucznika Bohdana Andronowskiego, który w 1939 r. trafił do niewoli sowieckiej i został zamordowany. Znana była z tego, że otaczała opieką biednych i samotnych. Swego czasu ktoś spoza Lublina, nie znając jej nazwiska, zaadresował swą prośbę: „Do siostry od nagłej potrzeby" – i w mieście wiadomo było, o kogo chodzi.

W przemycaniu Biblii siostrę Stanisławę wspomagali alumni seminarium księży marianów w Lublinie, w tym Jan Gajek – dziś wizytator apostolski dla wiernych obrządku bizantyjskiego na Białorusi, zwierzchnik Kościoła katolickiego obrządku bizantyjsko-białoruskiego. Zachęcił wówczas innych studentów do pomocy siostrze Stanisławie i sam, z grupą młodzieży reprezentującej różne wyznania, przewoził Biblie do Lwowa i Bułgarii. W przemycie uczestniczyły też siostry urszulanki z Lublina.

Z kolei z Instytutem Prymasa Wyszyńskiego związana była Regina Mulko. – Panią Reginę poznałam na początku lat 80. Była osobą skromną, cichą, a jednocześnie otwartą i gotową służyć drugiemu

człowiekowi – wspomina Małgorzata Skrzypczak z Instytutu. – Kiedy wyjeżdżała na Wschód, zabierała kilka walizek, tyle ile była w stanie udźwignąć. A wracała tylko z tym, co miała na sobie. W latach 80. pomagała też dyskretnie działaczom Solidarności, wspierała rodziny represjonowanych, zajmowała się również dziećmi ulicy.

Didi Companjen z Open Doors tak mówiła w filmie „Boży przemytnicy": – Reginę postrzegałam jako kobietę silną i energiczną. Chodziła i mówiła bardzo szybko. Podziwiam jej odwagę.

Osoby zaangażowane w przemyt Biblii wspominają też Józefa Prowera z Bielska-Białej, człowieka, jak mówią, „z sercem na dłoni". Już w 1968 r. zainspirował on środowisko lubelskie do pracy na rzecz chrześcijan w Związku Sowieckim i innych krajach zza żelaznej kurtyny.

Płacz szczęścia

Dostawy zakazanej literatury przyjmowane były przez wierzących na Wschodzie z radością, wręcz entuzjazmem.

Evert Schut z Open Doors tak wspomina w filmie „Boży przemytnicy" wyjazd do Rumunii w 1976 r.: „Zabraliśmy z żoną trochę Biblii, ale nie chcieliśmy ich zostawiać w przypadkowych miejscach. W końcu trafiliśmy na kościół i mieliśmy okazję porozmawiać z jednym z wiernych. Nie zapomnę tego momentu, kiedy człowiek ten wziął do ręki Biblię i zaczął ją całować. Pomyślałem: dlaczego dorosły, dużo starszy ode mnie mężczyzna całuje z przejęciem Biblię? To był dla mnie szok kulturowy. Zrozumiałem, że my, w Europie Zachodniej, mamy pełną wolność, a tylko dziesięć godzin jazdy samochodem dzieli nas od totalnie innego świata, gdzie Kościół jest prześladowany".

Bernard Koziróg z Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego doświadczył podobnego przeżycia we wsi Pożarki na Wołyniu. – Gdy zobaczyli samochód wypełniony Bibliami, płakali ze szczęścia – wspomina w rozmowie z „Tygodnikiem". – Wcześniej niektórzy ręcznie przepisywali Pismo Święte. Pewna rodzina miała dom, w którym jeden z pokoi był bez okien ani drzwi, wchodziło się do niego przez szafę. Obcy nie mieli o nim pojęcia. Jedna z córek tego małżeństwa całymi dniami przepisywała tam Biblię na maszynie. Tak cenne dla tych ludzi było Słowo Boże.

Dywersja bez dynamitu

Nie zawsze kurierom udawało się uniknąć wpadki na granicy. Siostrze Stanisławie skonfiskowano kiedyś w Przemyślu wszystkie przemycane publikacje, a następnie pozbawiono ją paszportu i prawa wyjeżdżania z kraju. Dwóm kobietom z Lublina celnicy skonfiskowali 225 egzemplarzy Biblii. Zostały ukarane grzywną w wysokości kilku ówczesnych miesięcznych pensji.

Misje, jak zauważa Julian Grzesik, na ogół nie pokrywały kurierom kosztów przewozu literatury, nie rekompensowały też kar pieniężnych, jeśli ktoś został przyłapany. Gdy literaturę przewożono samochodem, w razie wykrycia przemytu pojazd mógł być zarekwirowany jako narzędzie przestępstwa. Mimo to chętnych nie brakowało. Nie sposób wspomnieć tu o wszystkich.

„Dywersja bez dynamitu" – tak wydawany w PRL tygodnik „Kraj Rad", mający propagować w Polsce wiedzę o Związku Sowieckim, określił tę szkodliwą dla ustroju komunistycznego działalność. Trudno o lepszą puentę.

© ANDRZEJ OTCZYK

ĆWICZ UMYSŁ + CIESZ OKO!

DOWOLNE 3 WYDANIA

+

= PAKIET CZTERECH ZA 77 ZŁ

„Wiślna 12" – zeszyt o historii „Tygodnika" GRATIS do zakupów.
Zamów pakiet złożony z wydania „Ciało się udało" i trzech wybranych przez siebie wydań specjalnych (w cenie za pakiet 77 złotych), a my dorzucimy „Wiślną 12" i opłacimy przesyłkę. Czekamy na Twojego maila pod adresem: zamowienia@tygodnikpowszechny.pl – my zajmiemy się resztą.

W promocji można zamówić następujące wydania specjalne: „Wiara dla dorosłych", „Moc mózgu", „Smak wolności", „Halo tu Ziemia", „W drogę", „Wszystko, co wiemy", „Kanon 1", „Kanon 2", „Rozmowy na temat". Oferta ważna do wyczerpania nakładów.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

NAUKA

PIENIĄDZE I MÓZGI

Dzieci z uboższych rodzin wolniej się rozwijają i słabiej wypadają w testach. Musimy zrozumieć podłoże tego zjawiska, by móc mu przeciwdziałać.

KATARZYNA DZIADOWICZ

Dzieci miały wybór. Mogły wziąć pół funta od razu albo poczekać tydzień, by dostać 10 funtów. Jeśli wolały poczekać, słyszały kolejną propozycję: czy czekałyby, gdyby mogły od razu dostać jednego funta? A dwa, pięć, osiem? Badacze manipulowali także czasem oczekiwania – czy dzieci czekałyby na dodatkowe pięć funtów przez miesiąc? Albo aż do świąt?

Na podstawie odpowiedzi udzielanych przez ponad 150 dzieci w wieku od 4 do 12 lat Richard Tunney określał liczbowo, jak silna jest ich preferencja, by otrzymywać nagrody niezwłocznie, zamiast czekać na wyższe stawki. Z doniesień opublikowanych w maju w „Scientific Reports" wynika, że dzieciaki podejmowały zróżnicowane decyzje – niektóre zgadzały się czekać na wyższe nagrody, inne nie. Te młodsze na ogół były mniej skłonne to robić. Okazało się, że

CHESNOT / GETTY IMAGES

był jeszcze jeden czynnik, na podstawie którego można było ze znacznym prawdopodobieństwem przewidzieć decyzję dziecka – środowisko, w którym się wychowało. Dzieci z uboższych rodzin częściej zgadzały się na natychmiastowe, mniejsze kwoty.

Oczywiście to średnie wyniki dla grupy, więc nie wystarczy przeanalizować odpowiedzi dziecka, by wskazać, z jakiego środowiska pochodzi; ani odwrotnie – nie można na podstawie samej wiedzy o środowisku określić, czy konkretne dziecko będzie miało ochotę czekać przez tydzień na kilka dodatkowych funtów czy nie. Ale widoczna jest wyraźna tendencja. A choć na co dzień nikt nie oferuje nam tak po prostu pieniędzy – ani teraz, ani w przyszłości – to jednak w naszym życiu dokonujemy wielu analogicznych wyborów, które łącznie wpływają na naszą przyszłość.

Nie tak prędko

Pomyślmy o sytuacji, gdy stajemy przed regałem ze słodyczami. Wrzucając do koszyka cukierki, zapewniamy sobie natychmiastową przyjemność, ale jeśli taki wybór stanie się nawykiem, to nie utrzymamy zdrowej diety. Podobnie gdy uczymy się do egzaminu – nie dostaniemy nic przyjemnego teraz, ale w dłuższej perspektywie na pewno okaże się to bardziej satysfakcjonujące niż przeglądanie Facebooka przez kolejną godzinę. Znaczna część tego, co w kulturze zachodniej uchodzi za sukces, jest konsekwencją powstrzymywania się od tego, na co ma się ochotę, na rzecz tego, co przyniesie korzyść. Dlatego jeżeli zbyt łatwo ulegasz impulsom, twoje szanse na sukces maleją.

Pierwszy eksperyment, który zasugerował tę zależność, przeprowadził w latach 70. Walter Mischel z Uniwersytetu Stanforda – był to słynny test słodkiej pianki. Posadzone przy stoliku dzieci mogły zjeść od razu jedną piankę Marshmallow albo poczekać na powrót eksperymentatora – i dostać drugą.

Mischela początkowo interesowało to, w jakim wieku rozwija się u dzieci „zdolność do odraczania gratyfikacji" i jakimi metodami dzieci będą się wspomagać, by oprzeć się pokusie (czego efektem ubocznym są urocze filmiki, łatwe do znalezienia w internecie), ale później naukowcy śledzili także przez lata losy badanych dzieci. Okazało się, że te, które czekały na drugą porcję słodyczy, później radziły sobie lepiej w relacjach z rówieśnikami, zdobyły lepsze wykształcenie i były zdrowsze od swoich kolegów i koleżanek, które zjadły piankę natychmiast. Wyglądało na to, że zdolność do odraczania gratyfikacji jest czynnikiem silnie związanym z możliwością osiągnięcia sukcesu, a impulsywność, przejawiająca się natychmiastowym skonsumowaniem pianki, nie sprzyja wytężonej pracy i utrudnia osiągnięcie dalekosiężnego celu.

Wyniki były więc spektakularne. Nic dziwnego, że wielu innych badaczy zaczęło je weryfikować na różne sposoby. Kilka lat temu Tyler Watts i współpracownicy postanowili przeprowadzić ponowne badanie tego typu, ale wzięły w nim udział tylko dzieci matek, które nie ukończyły szkoły wyższej. Przy okazji badacze sprawdzili, jakie czynniki najczęściej współwystępują z dobrą zdolnością do odraczania gratyfikacji. Jednym z nich okazał się status majątkowy rodzin – częściej na drugą piankę czekały te dzieci, które pochodziły z zamożniejszych rodzin.

Każdego dnia stajemy przed podobnymi dylematami: musimy rozstrzygać między tym, co przyjemne, a tym, co przyniesie korzyść.

Wynik ten wydaje się współgrać z ustaleniami Richarda Tunneya, który proponował dzieciom kilka funtów. Środowisko – a zwłaszcza zamożność rodziny – ma mieć wpływ na to, jakie skłonności rozwijają się u dzieci – a one z kolei mogą wpływać na ich życiowy sukces. Ale nie rozstrzyga to jeszcze dyskusji na temat biologicznego podłoża tych różnic.

Byle do żniw

Osoby zmagające się z kłopotami finansowymi wypadają gorzej w testach poznawczych nie ze względu na to, jakie są, ale ze względu na sytuację, w której się znajdują – przekonywała w „Science" prawie dekadę temu Anandi Mani i jej współpracownicy. To stwierdzenie oparli na wynikach badań, w których skupiali się na przejściowych kłopotach finansowych, a nie na skutkach długotrwałej biedy czy dorastaniu w warunkach niedostatku.

Osoby biorące udział w badaniu deklarowały, czy ich sytuacja finansowa jest w porządku czy może borykają się z kłopotami. Potem przedstawiano im hipotetyczny problem finansowy, a na koniec rozwiązywały testy sprawności poznawczej. Okazało się, że aktualny status finansowy miał znaczenie i różnicował uczestników – nie było to bardzo widoczne, kiedy w przedstawionym im zadaniu w grę wchodziły niewielkie stawki, ale kiedy wzrastały, to różnice były istotne. Osoby zmagające się problemami finansowymi w realnym życiu zaczynały znacząco słabiej wypadać w testach – jakby przypomnienie o dużych wydatkach uniemożliwiało im skoncentrowanie się na czymkolwiek innym.

Później, aby upewnić się, że zjawisko występuje także bez manipulacji eksperymentalnych, przyjrzano się hodowcom trzciny cukrowej z ponad 50 wsi w Indiach. Przed zbiorami wielu z nich zaciąga pożyczki w celu pokrycia bieżących wydatków, natomiast po udanych zbiorach, kiedy dostają zastrzyk nowych środków, nie mają powodów do zmartwień o finanse. W tych dwóch sytuacjach na przestrzeni czasu badani rozwiązywali te same testy. Jeden z nich miał mierzyć ich ↦

↦ inteligencję płynną, a więc umiejętność logicznego myślenia i rozwiązywania problemów w nieznanych sytuacjach, niezależne od nabytej wiedzy; drugi – zdolności hamowania odruchowych reakcji na określone bodźce. W obu tych testach uczestnicy wypadali gorzej, kiedy ich sytuacja finansowa ulegała pogorszeniu.

Badacze wykluczyli, by na wynik miał wpływ stres, sposób odżywiania, niepokój czy fizyczne zmęczenie. Przekonują natomiast, że pogorszenie się zdolności poznawczych w czasie gorszego prosperowania ma swoje źródło w dużym obciążeniu uwagi obecną sytuacją. Kwestia zdobycia funduszy zaprząta myśli, więc testy wskazują na spadek ich zdolności poznawczych. Wnioski płynące z takich obserwacji są pesymistyczne – wydaje się bowiem, że trudna sytuacja, poza byciem problemem samym w sobie, utrudnia wydostanie się z kłopotów.

Na tych samych falach

Problemy dorosłych zamartwiających się o stan konta nie są jednak identyczne z problemami, przed którymi stają dzieci pochodzące z mniej zamożnych rodzin. A te, jak wynika z wielu badań, nie tylko gorzej wypadają w teście słodkiej pianki, ale także zdobywają słabsze oceny i słabiej radzą sobie w testach poznawczych. Z czego wynikają te różnice?

Wielu zespołom badawczym udało się dowieść, że dzieci pochodzące z rodzin o niskim statusie socjoekonomicznym (którego główną składową jest poziom dochodów) różnią się pod kątem budowy i funkcjonowania niektórych struktur mózgu od dzieci wywodzących się z zamożniejszego środowiska.

Próby wykazania związku pomiędzy zasobnością portfela rodziców a aktywnością mózgu ich potomków podjęła się m.in. Sonya Troller-Renfree wraz z zespołem. W eksperymencie sprawdzono aktywność mózgu (techniką EEG, pozwalającą mierzyć tzw. fale mózgowe) tysiąca dzieci z mało zamożnych rodzin, przy czym część z tych rodzin otrzymała od badaczy pokaźne wsparcie finansowe (333 dolary miesięcznie), podczas gdy druga jedynie symboliczną zapłatę (20 dolarów).

W swoim raporcie, opublikowanym na początku roku w „PNAS", badacze przeanalizowali wyniki uzyskane po 12 miesiącach eksperymentu. Pomiędzy grupami wystąpiły niewielkie, ale istotne różnice. U dzieci, których matki otrzymały większe wsparcie, zauważono wzorzec aktywności mózgu, który łączony jest z lepszymi zdolnościami językowymi, poznawczymi i społeczno-emocjonalnymi w późniejszym okresie dzieciństwa oraz w okresie dorastania. Ten sam wzorzec nie pojawił się w grupie, która otrzymała mniejsze wsparcie.

> Nawet to, co wydaje się genetycznie zdeterminowane, **nie musi znajdować się poza naszą kontrolą.**

Jeżeli zaś chodzi o różnice anatomiczne pomiędzy osobami o różnych statusach socjoekonomicznych, to najwięcej badań wskazuje na rozbieżności w wielkości powierzchni kory mózgowej. Różnice w szczególności dotyczą okolic bruzdy Sylwiusza (oddzielającej płat czołowy i ciemieniowy od płata skroniowego) i obszarów przedczołowych. Te struktury związane są z opanowywaniem kluczowych zdolności, które mogą mieć znaczący wpływ na wyniki w nauce: zdolności językowych, czytania czy tzw. funkcji wykonawczych, jak np. hamowania impulsywnych reakcji.

Pojawiają się też doniesienia, które wiążą status socjoekonomiczny m.in. z powierzchnią kory wyspy, przedniego i tylnego zakrętu obręczy oraz bieguna skroniowego – obszarami związanymi z regulacją emocji, przetwarzaniem i zapamiętywaniem informacji wzrokowych.

Skomplikowane związki

Porównanie fal mózgowych dzieci z biednych rodzin po przeprowadzeniu interwencji finansowej wydaje się sugerować, że różnice w funkcjonowaniu mózgu w dużej mierze wynikają właśnie z zasobności portfela rodziców. Badanie to nie rozstrzyga jednak o przyczynach różnic anatomicznych. Budowa mózgu może być podatna na długotrwałe oddziaływanie pewnych czynników społeczno-ekonomicznych i zachowywać wobec nich plastyczność, ale równie dobrze może być znacznie bardziej uzależniona od genów.

Doniesienia opublikowane w maju tego roku w „Science Advances" rzucają na tę kwestię nowe światło. Zespół Hyeokmoona Kweona operował na zbiorze danych ponad 20 tys. osób. Poza informacją o ich statusie socjoekonomicznym korzystano także z bazy danych genetycznych oraz ze skanów mózgu.

Naukowcy doszli do wniosku, że w niektórych obszarach objętość istoty szarej (ciał komórek nerwowych) jest zdeterminowana genetycznie dużo bardziej niż w pozostałych. Związek ten ma być najsilniejszy w korze przedczołowej i wyspie (odpowiedzialnych m.in. za kontrolę poznawczą). Mniej uzależnione od biologicznej instrukcji zapisanej w genach wydają się natomiast móżdżek czy boczny płat skroniowy (uczestniczące w koordynacji ruchowej, nabywaniu nowych umiejętności motorycznych czy przetwarzaniu i rozumieniu języka). Dla kształtowania się struktur mózgowych w tych obszarach większe znaczenie mogą mieć zatem czynniki środowiskowe, co czyniłoby je bardziej podatnymi na interwencje z zewnątrz.

Autorzy badania zaznaczają jednak, że nawet to, co wydaje się genetycznie zdeterminowane, nie musi znajdować się poza naszą kontrolą – czasem zrozumienie mechanizmu pozwala na zrekompensowanie niepożądanych efektów. W ten sposób jesteśmy w stanie działać choćby w przypadku wykrycia u dziecka fenyloketonurii, rzadkiej choroby genetycznej, która może prowadzić do poważnych zaburzeń rozwojowych. Chociaż medycyna nie jest w stanie wyeliminować tej choroby – wymagałoby to „cofnięcia" mutacji genetycznej, czego dziś nie jesteśmy w stanie zrobić – to dzięki szybkiej diagnozie i odpowiednio dobranej diecie możemy sprawić, że dziecko z fenyloketonurią będzie rozwijać się prawidłowo.

Rzecz jasna, w przypadku inteligencji czy edukacji mamy do czynienia ze zjawiskami znacznie bardziej złożonymi niż mutacja jednego genu – przeciwdziałanie skutkom naszych skłonności genetycznych będzie też więc odpowiednio bardziej skomplikowane. Niewątpliwie jeszcze przez długi czas będą trwały spory o to, w jakim stopniu środowisko życia może kształtować i modyfikować to, co zakodowane jest w każdej komórce naszego ciała. Ale gra jest warta świeczki – zidentyfikowanie przyczyn występowania różnic pozwoliłoby na stworzenie najbardziej skutecznego planu wyrównywania szans. © KATARZYNA DZIADOWICZ

Dotyk matki

ŁUKASZ KWIATEK

Samicom makaków dzieci zastąpiono pluszakami. Okazało się, że w tworzeniu się więzi rodzicielskiej kluczową rolę odgrywa fizyczny kontakt.

ANUP SHAH / B&EW

Makaki królewskie (Macaca mulatta)

Złożone zachowania zwierząt czasem opierają się na zaskakująco prostym mechanizmie. Przykładem jest wdrukowanie. Gdy kaczki, gęsi czy kury wykluwają się z jaj, najczęściej pierwszym obiektem, który widzą, jest ich matka. Nie muszą jeszcze niczego o niej wiedzieć – jeśli po prostu za nią bezwiednie podążają, to mają spore szanse, że nie spotka je nic złego. Austriacki zoolog Konrad Lorenz, który wyjaśnił to zjawisko, zepsuł dzieciństwo dziesiątkom piskląt, gdy zaraz po wykluciu pokazywał im swoją stopę. To jej obraz wdrukował się w umysły młodych gęsi, a sąsiedzi Lorenza mogli podziwiać, jak za kucającym mężczyzną podąża sznureczek pisklaków.

Gdy Lorenz prowadził swoje eksperymenty, większość psychologów wdrukowała sobie do głów teorię behawiorystyczną, wedle której zachowanie każdego stworzenia – od muchy po człowieka – opiera się na uczeniu się na błędach i tresurze. Znajdowało to odzwierciedlenie w podejściu do wychowania dzieci, w którym zapanowała moda na tzw. zimny chów. Zachodnie czasopisma dla matek z pierwszej połowy XX w. zaroiły się takimi poradami jak ta, by jak najrzadziej brać dzieci na ręce – ponieważ nadmiernie przytulane dziecko zbyt wolno będzie nabierać sił. „Przed zbytnio całowanymi dziećmi piętrzy się wiele przeszkód" – przestrzegał też guru behawiorystów, John Watson, chwalący się publicznie, że jego synowie, którym zabraniano nawet posiadania maskotek przytulanek, znakomicie rozwijali się pod kątem sportowym.

Sterylne, bezkontaktowe podejście do wychowania przełożyło się na sterylne praktyki szpitalne – pisze w najnowszym wydaniu „PNAS" Margaret S. Livingstone z Harvard Medical School – w efekcie małym pacjentom ograniczano wszelkie kontakty z rodzicami. Livingstone w swoim tekście dodaje, że m.in. jej naukowy mentor David H. Hubel nabawił się traumy po tak przebytej hospitalizacji.

Nie przeszkodziło mu to w staniu się jednym z bardziej wpływowych XX-wiecznych neurobiologów. W 1981 r. – 8 lat po Konradzie Lorenzie – Hubel dostał Nagrodę Nobla za pionierskie prace na temat przetwarzania przez mózg informacji wzrokowych. Livingstone także wyspecjalizowała się w tym obszarze badań, ale przypadek sprawił, że dokonała właśnie ciekawego odkrycia w dziedzinie kształtowania się relacji rodzicielskiej u zwierząt.

W swoim laboratorium Livingstone hodowała makaki królewskie (rezusy), których kora wzrokowa zorganizowana jest podobnie jak u ludzi. W 2013 r. jedna z małp, Venus, urodziła martwe dziecko. Samica bardzo przeżyła to, że odebrano jej zwłoki niemowlęcia. Żeby ukoić jej ból, Livingstone wręczyła Venus pluszową maskotkę. Podstęp zadziałał. Później za każdym razem, gdy w laboratorium Livingstone odbierano samicom rezusów niemowlęta (by brały udział w badaniach), wręczano im na pocieszenie lalki lub maskotki.

Już od kilku dekad było jasne, że strategia zimnego chowu jest całkowitą pomyłką, a najbardziej dramatyczne konsekwencje jej stosowania obserwowano w sierocińcach, gdzie poddane „matczynej deprywacji" dzieci zapadały na tzw. chorobę sierocą – długotrwałe zaburzenia lękowe i depresję. Na podstawie badań prowadzonych w takich miejscach psychiatra John Bowlby skonstruował teorię przywiązania, zgodnie z którą fizyczny kontakt matki i dziecka był podłożem jego prawidłowego rozwoju.

Teoria Bowlby'ego oparta była na obserwacjach klinicznych – za jej słabość uznawano brak potwierdzenia laboratoryjnego. Była druga połowa XX w. i eksperymenty na dzieciach, na szczęście, nie wchodziły już w grę. Wtedy psycholog Harry Harlow postanowił zbadać przywiązanie u makaków. Pozwalał wybrać małpim noworodkom jedną z dwóch sztucznych opiekunek: pierwszą, z wyglądu przypominającą małpę, wykonano z metalu i wyposażono w butelkę z mlekiem. Niemowlęta mogły się więc do woli najeść. Drugą był po prostu miękki ręcznik, który nie oferował jedzenia ani nie miał twarzy, ale można się było do niego przytulić. Małpy, ku konsternacji behawiorystów, preferowały przytulankę i budowały prawdziwą więź z ręcznikami. Gdy im je zabierano, wpadały w panikę.

Badania Harlowa sugerowały, że makaki, niczym gęsi z eksperymentów Lorenza, wdrukowują sobie obraz matki na podstawie niewielu bodźców, w których główną rolę odgrywa dotyk. Livingstone przypomniała sobie o tych wynikach, gdy rozegrał się dramat Venus – i postanowiła sprawdzić, jak relacja rodzicielska kształtuje się od strony matek.

Kolejne samice z jej laboratorium, którym własne dzieci zastąpiono pluszowymi maskotkami – myszkami pozbawionymi twarzy – budowały z nimi więzi. Większość matek wolała miękkie maskotki od twardych lalek. A jedna preferowała opiekę nad maskotką nawet po tym, jak próbowano wręczyć jej własnego noworodka. Wszystko to zaszło w ciągu pierwszej doby po urodzeniu – najwidoczniej matka zdążyła się już przywiązać do maskotki, a jej miękki dotyk przeważył nad innymi bodźcami – wyglądem prawdziwego niemowlęcia czy jego kwileniem.

Według Livingstone odkrycie może mieć znaczenie terapeutyczne – przynajmniej dla trzymanych w laboratoriach małp, ale może także dla ludzi, którzy stracili dzieci. Sugerują też, że możemy błędnie oceniać małpie matki, które nie potrafią rozstać się z ciałem zmarłego potomka, jako przeżywające żałobę. Być może kojący miękki dotyk jest wszystkim, czego poszukują. A natura oszczędziła im największego możliwego bólu. ©℗

REKLAMA

DAWID OGRODNIK PIOTR TROJAN

JOHNNY

„ZAMIAST CIĄGLE NA COŚ CZEKAĆ – ZACZNIJ ŻYĆ, WŁAŚNIE DZIŚ. JEST O WIELE PÓŹNIEJ, NIŻ CI SIĘ WYDAJE."

W KINACH OD 23 WRZEŚNIA

KSIĄŻKA

JUŻ W SPRZEDAŻY

next FILM | Grupa Moderator | Kawiarnia Resort | PUR PUR | RIBEL MEDIA | ESMETRIC | AG-D | DREAMSOUND | cine line | Abstraction Plan | Dobra Robota | Puckie Hospicjum na Oście PIO | Polski Instytut Sztuki Filmowej | tvn | Wielkie Serce Świętego Pawła | Fundacja Kaczkowskiego | PKP INTERCITY | empik | FILMWEB | ams | TOKE | GAZETA.PL | wysokieobcasy.pl | wyborcza.pl

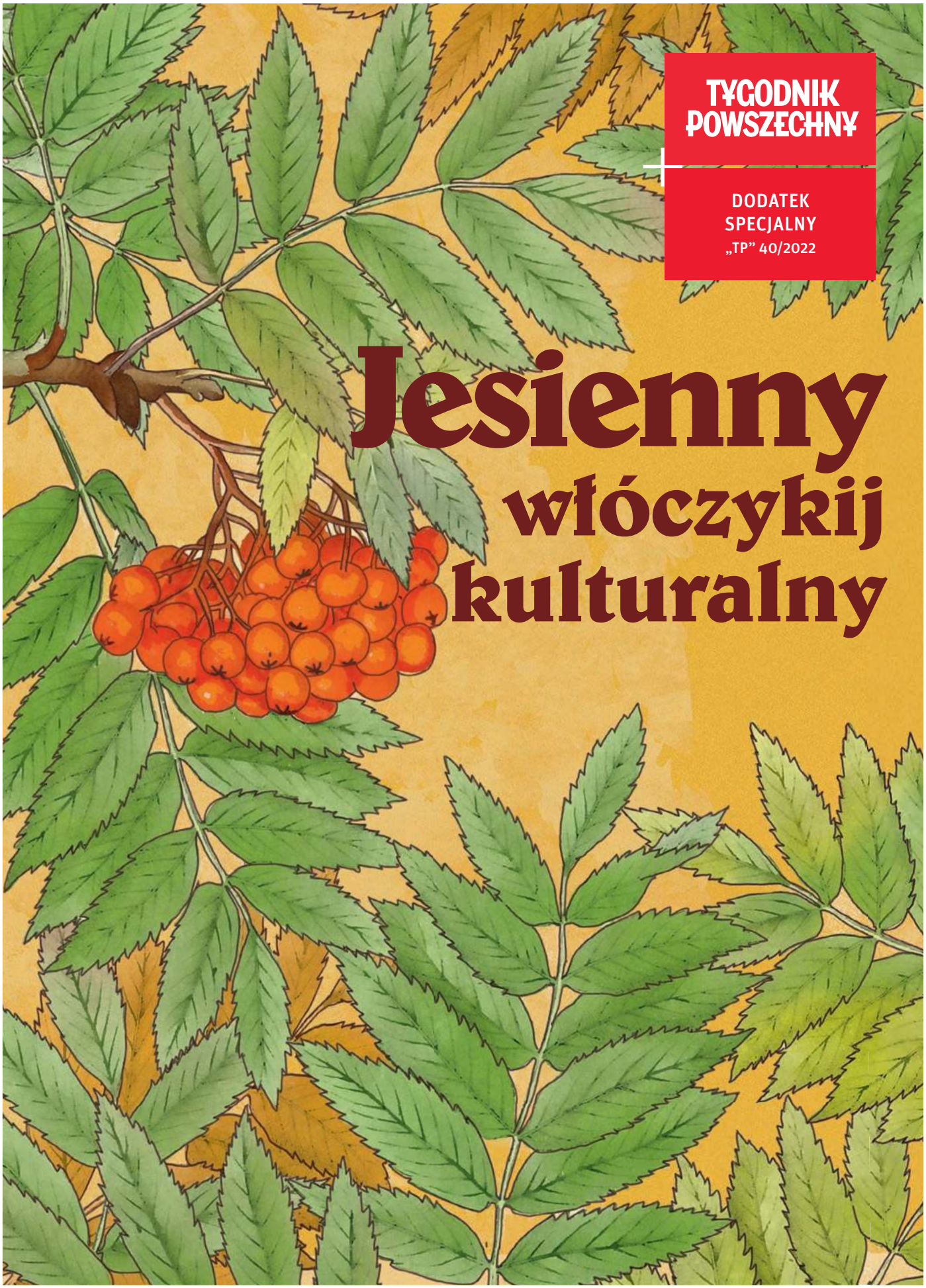

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 40/2022

Jesienny włóczykij kulturalny

KARINA KRYSTOSIAK / REPORTER

Sabat dobrego początku z okazji objęcia dyrekcji Teatru Dramatycznego przez Monikę Strzępkę. Warszawa, 31 sierpnia 2022 r.

Apokalipsa nie teraz

DARIUSZ KOSIŃSKI

To ma być najtrudniejszy sezon polskiego teatru w XXI wieku. Mówi się nawet o katastrofie. Zapowiedzi premier teatrów dramatycznych pozwalają wierzyć, że będzie piękna.

Mimo ciemnych ekonomicznych i politycznych chmur nie wierzę w apokaliptyczne wróżby. Teatr w Polsce w o wiele cięższych czasach nie tylko dawał sobie radę, ale wręcz rozkwitał, dowodząc własnej logiki i funkcji odmiennej od tej, którą wciskają mu kibice z prawa i lewa. Zamiast wieszczyć, wolę spokojnie poczekać, co się wydarzy. A choć ilościowa wydajność produkcji zapewne spadnie, jestem niemal pewien, że jako całość polski teatr dostarczy kulturalnym włóczykijom celów licznych podróży, a nam wszystkim da wiele do myślenia.

Nie ulega wątpliwości, że sezon rozpoczęty będzie dopełniał i kontynuował sezon poprzedni. Po pierwsze dlatego, że dzięki dziwacznej praktyce polskich scen polegającej na prezentowaniu nowych przedstawień na zaledwie kilku premierowych pokazach, po czym niegraniu ich tygodniami, a nawet miesiącami, ważne premiery końca sezonu poprzedniego wciąż można oglądać jako nowości. Tak jest z głośnymi inscenizacjami „Ulissesa" Jamesa Joyce'a w **Teatrze Polskim w Poznaniu** w reż. Mai Kleczewskiej i „Czego nie widać" Michaela Frayna w **Teatrze Wybrzeże w Gdańsku** w reż. Jana Klaty. W jakiejś mierze do tej grupy należą wcześniejsze, moim zdaniem koniecznie do zobaczenia, premiery Jakuba Skrzywanka: „Spartakus. Miłość w czasach zarazy" w **Teatrze Współczesnym w Szczecinie** oraz „Śmierć Jana Pawła II" w **Teatrze Polskim w Poznaniu** – długo niegrana z powodu niedyspozycji odtwórcy głównej roli, wstrząsającego Michała Kalety.

Po drugie, jesień to czas nadrabiania różnych zaległości dzięki festiwalom. Wprawdzie epoka monumentalnych, międzynarodowych zlotów dobiegła chyba w Polsce końca, ale w październiku teatroman wciąż może tęsknić za możliwością bilokacji, bo niemal w tym samym czasie odbywają się: **Kielecki Międzynarodowy Festiwal Teatralny** (27 września–13 października), **lubelskie Konfrontacje Teatralne** (1-30 października), **bydgoski Festiwal Prapremier** (14-29 października) i **Festiwal Drama-**

turgii Współczesnej „Rzeczywistość przedstawiona" w Zabrzu (15-23 października). Kolejny miesiąc to prestiżowy **Festiwal Sztuki Reżyserskiej „Interpretacje" w Katowicach** (21-27 listopada), a cały rok jak zawsze podsumuje w grudniu **krakowska Boska Komedia**.

Jednak konsekwencje i kontynuacje poprzedniego sezonu dotyczą nie tylko premier, ale też przełomowych zmian w ważnych instytucjach. Najgłośniejszą jest oczywiście rozpoczęcie rządów Moniki Strzępki i jej kobiecej ekipy w **Teatrze Dramatycznym w Warszawie**. Już ich pierwszy akt – sabat otwarcia z wystawieniem posągu waginy – okazał się niezwykle skuteczną akcją, wywołując falę kompromitujących bzdur publikowanych w prawicowych mediach. Na pewno warto czekać na to, czy i jak po tym trzęsieniu ziemi napięcie będzie rosnąć. Wprawdzie początek sezonu zapowiada się dość spokojnie, bo od spektakli inspirowanych biografią Simony Kossak (twórczyni Lucy Sosnowska) oraz powieścią Ottessy Moshfegh pod brzmiącym niemal wyzywająco w kontekście „afery Dramatycznego" tytułem „Mój rok relaksu i wypoczynku" (reż. Katarzyna Minkowska), ale i tak już ekscytują co poniektórych przede wszystkim „Heksy" Agnieszki Szpili, które ma reżyserować sama dyrektorka. Waląca na oślep prawica już zbiera chrust!

Od teatru wciąż i wciąż wymaga się mierzenia z bieżącymi wydarzeniami, wcześniej z pandemią, teraz z wojną. I narzeka się, że reaguje słabo i wolno. A to nieprawda: zarówno na pandemię, jak i na wojnę w Ukrainie teatr polski zareagował szybko, zdecydowanie i na swoje możliwości więcej niż skutecznie. Także wieloma przedstawieniami dotyczącymi bezpośrednio wojny, często realizowanymi z udziałem twórców i twórczyń z Ukrainy. I będzie to czynił nadal (kolejne premiery zapowiadają na jesień m.in. teatry **Śląski w Katowicach** i **Szaniawskiego w Wałbrzychu**). Ale rolą teatru jest czynne myślenie z zasady niedające się unosić bieżącym nurtom, równoważące je.

Z taką logiką zgodne jest konsekwentne podtrzymywanie zainteresowania tematem katastrofy klimatycznej, która wielu przestała wydawać się ważna. Podejmą go zapowiadane na jesień premiery **warszawskiego Studio** („Wyspa Jadłonomia", reż. Maciej Podstawny, o ekologicznych kontekstach racjonalnego odżywiania), **łódzkiego Teatru Nowego** („Kocha, nie kocha", reż. Tomasz Śpiewak – pieśni Schuberta jako punkt wyjścia do refleksji o antropocenie) oraz **warszawskiego Teatru Powszechnego**, gdzie duet Weronika Szczawińska i Piotr Wawer Junior zajmą się fascynującym światem grzybów jako potencjalnym modelem alternatywnych sieci współpracy. Brzmi odlotowo? Ale właśnie tak trzeba dziś myśleć, by nie dać się nabrać na opowieść o rzekomo jedynej twardej rzeczywistości: wojny, przemocy i śmierci.

Niejako na drugim biegunie lokuje się zapowiadany przez **warszawskie Studio** pierwszy od dawna polski projekt pracującego głównie w krajach bałtyckich, a cieszącego się wielkim uznaniem w całej Europie Łukasza Twarkowskiego. Pod tytułem „The Employees" kryje się antyutopijna podróż do świata opanowanego przez biurokrację. Z kolei o (nie)możliwym, ale realnie działającym modelu idealnej rodziny w kontekście zakazów dotyczących osób z niepełnosprawnością intelektualną opowie spektakl Justyny Sobczyk „Rodzina", powstający w koprodukcji **Teatru 21** i **TR Warszawa** (premiera już 30 września).

Do współczesnych tematów z pewnością nawiąże jedna z najbardziej oczekiwanych premier jesieni – nowa inscenizacja Mai Kleczewskiej. Wiosną reżyserka zapowiadała, że w listopadzie wystawi w Katowicach „Wesele", co po krakowskich „Dziadach" brzmiało jak kontynuacja narodowych rozliczeń. Jednak ostatecznie na scenie **Teatru Śląskiego** Kleczewska pokaże swoją adaptację powieści Jonathana Littella „Łaskawe". Choć zmiana tytułu może niektórych rozczarowywać, to z pewnością nie oznacza ona zmiany kalibru wydarzenia.

Spory kaliber artystyczny i polityczny może mieć też zapowiadane na początek grudnia w **Teatrze Nowym w Łodzi** przedstawienie pod roboczym tytułem „Smoleńsk". Młodzi twórcy, reżyser Jakub Zalas i dramaturg Piotr Pacześniak, podejmą kolejną już w teatrze próbę zrozumienia i pokazania tego, co ujawniło i ustanowiło się w polskim społeczeństwie po katastrofie smoleńskiej.

A skoro padło hasło „Smoleńsk", to zaraz za nim pojawić się musi stały i wciąż podejmowany przez teatr (w odróżnieniu od wielu innych dziedzin twórczości) temat romantyzmu, jego ambiwalencji i silnego a niejednoznacznego wpływu na współczesność. Wprawdzie oficjalnie ogłoszony rok romantyzmu skupia się na (także teatralnych) edukacyjnych grach z najwyraźniej uznanymi za bezpieczne „Balladami i romansami", ale wiele polskich scen wypuszcza się na o wiele bardziej burzliwe wody. Najodważniejszy okazał się **Teatr Modrzejewskiej w Legnicy**, gdzie Piotr Cieplak wystawi najbardziej dziś ryzykowną (i dlatego konieczną do ponownej lektury) pozycję repertuaru romantycznego: „Sen srebrny Salomei" Juliusza Słowackiego. Czy i jak zabrzmi dziś monolog „Ach, Ukrainy nie będzie..."?

Sporo odwagi ma także Małgorzata Warsicka, która w **Narodowym Starym Teatrze w Krakowie** pracuje nad „Księciem niezłomnym" Calderona/Słowackiego. Przedstawienie, którego premiera ma się odbyć w grudniu, zapowiadane jest jako... wydarzenie muzyczne.

Do problemów polskiego romantyzmu po raz kolejny wraca też duet reżysersko-dramaturgiczny Radosław Stępień–Konrad Hetel. W **Teatrze Wybrzeże** zmierzą się z jednym z najbardziej kontrowersyjnych i fascynujących zarazem zjawisk z tego kręgu: Kołem Sprawy Bożej. Mistrz Andrzej i bracia pojawią się w gdańskiej Starej Aptece 14 października.

Do okołoromantycznych sprzeczności, wirów i ech, choć już niekoniecznie polskich, nawiązywać będą także trzy premiery przygotowywane na jesień przez twórców, których każda nowa propozycja zasługuje na uwagę. I tak Jędrzej Piaskowski i Hubert Sulima zaprezentują w **Teatrze im. Żeromskiego w Kielcach** swoją interpretację „Frankensteina" Mary Shelley, Marcin Liber we **Wrocławskim Teatrze Współczesnym** wyreżyseruje dramat Petera Weissa znany pod skróconym tytułem „Marat/Sade", a Michał Zadara zaprezentuje w **Teatrze Narodowym w Warszawie** swoją wersję „Ksiąg Jakubowych" Olgi Tokarczuk. Do romantyzmu i znanej powieści odwołuje się też druga narodowa scena – **Stary Teatr w Krakowie**, gdzie pierwszą premierą sezonu ma być w listopadzie adaptacja głośnej „Baśni o wężowym sercu" Radka Raka w reż. Beniamina M. Bukowskiego.

Obok tematów o globalnym i narodowym zasięgu, teatr polski od dekad specjalizuje się w eksplorowaniu miejsc, zjawisk i zdarzeń o szczególnym znaczeniu lokalnym. W taki bliski ↦

sposób pracują ze swoim otoczeniem zwłaszcza sceny na Dolnym Śląsku, w Legnicy i **Wałbrzychu** (ta druga poprzedni sezon zakończyła musicalem o księżniczce Daisy, ten zaś otwiera przedstawieniem „Marta. Figura serpentinata" o legendarnej nauczycielce miejscowego liceum, scen. i reż. Sebastian Majewski). Jednak w tym sezonie to Górny Śląsk zdaje się deklasować Dolny, jeśli chodzi o liczbę przedstawień podejmujących tematykę lokalnej tożsamości, widzianej zresztą we wcale nieoczywistych połączeniach. I tak Śląsk z Zagłębiem łączy premiera sztuki Przemysława Pilarskiego „Węgla nie ma" (tyle razy już mówiono, że to tytuł proroczy, że aż nie wypada tego powtarzać) – tę miejscową historię kryminalną reżyseruje w **katowickim Teatrze Śląskim** dyrektor artystyczny Teatru Zagłębia w Sosnowcu Jacek Jabrzyk (premiera odbyła się 16 września, ale przedstawienie pokazano tylko trzy razy, więc gdy wróci na afisz, wciąż będzie nowością). **Scena sosnowiecka** zaś zestawia lokalną historię z globalnie rozpoznawanym dziełem, jakim jest powieść graficzna Arta Spiegelmana „Maus". „Środula. Krajobraz Mausa" według tekstu Igi Gańczarczyk w reż. Remigiusza Brzyka osadza losy jej bohaterów w sosnowieckiej dzielnicy, zamienionej w czasie okupacji w getto.

Do zupełnie innej przeszłości i innych emocji odwołuje się reżyserujący tym razem poza Legnicą Jacek Głomb. Znany z pasji i wiedzy piłkarskiej dyrektor „Modrzejewskiej" wystawia w **Teatrze Nowym w Zabrzu** specjalnie napisaną przez Katarzynę Knychalską sztukę „Chłopcy z Roosevelta", o złotych latach drużyny Górnika Zabrze. Co ciekawe, ten sam legnicki duet odpowiada za jeszcze wrześniową premierę spektaklu „Papusza znaczy lalka" przygotowaną i wystawioną także w lokalnym kontekście na scenie **Teatru im. Osterwy w Gorzowie Wielkopolskim**. Najwyraźniej lokalność i nostalgię da się eksportować.

Nie tylko nostalgia sprawia, że nadchodzącą jesienią polskie sceny dość powszechnie wracać będą do ostatnich dekad minionego stulecia. Rozpoczęła już (jak słychać – znakomicie) Agnieszka Jakimiak, pokazując na Festiwalu Łódź Czterech Kultur zrealizowany w koprodukcji z nim przez **Teatr im. Fredry w Gnieźnie** autorski spektakl „Miła robótka". Oparty na reportażach Ewy Stusińskiej, opowiada o pierwszych latach rodzimego przemysłu pornograficznego, rozwijającego się na fali kapitalistycznej transformacji. Powrót do mitów kultury popularnej tego samego okresu zapowiada też **teatr w Wałbrzychu**, zapraszając najpierw, 28 października, na spotkanie z „Niewolnicą Isaurą" w spektaklu według tekstu Martyny Majewskiej i Agnieszki Wolny-Hamkało, w reżyserii tej pierwszej, a następnie, 16 grudnia, na sparing z samym Andrzejem Gołotą w czasie premiery sztuki „Bił sobie Andrzej" Mariusza Gołosza, w reżyserii debiutanta Macieja Hanuska.

Zupełnie już nie nostalgicznym, a za to bardzo frapującym powrotem do ostatniej dekady XX w. jest propozycja Wojciecha Farugi, który na scenie **Teatru Narodowego w Warszawie** pokaże własną wersję serialu Krzysztofa Kieślowskiego „Dekalog". Kulminacją tych powrotów w okołotransformacyjną przeszłość będzie zapowiadany wręcz jako polski odpowiednik słynnego „Hamiltona" rapowany spektakl Katarzyny Szyngiery o roku 1989, którego premierę na grudzień zapowiada **Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie**.

Jeśli te wszystkie propozycje nie przekonają, że to jeszcze nie koniec i jeszcze wiele przeżyjemy w teatrze, to pozostaje albo wraz z Małgorzatą Sikorską-Miszczuk (tekst) i Wawrzyńcem Kostrzewskim (reżyseria) uciec do świata „Alicji w krainie snów" (premiera 8 listopada w **warszawskim Ateneum**), albo razem z Janem Englertem przyjąć postawę mizantropa (premiera dramatu Moliera w **Teatrze Narodowym** już w grudniu). © DARIUSZ KOSIŃSKI

A po nasz przewodnik po jesiennych spektaklach dla najmłodszych widzów zapraszamy na stronę **powszech.net/teatrdzieciom**. Szczególną uwagę poświęciliśmy 26. Międzynarodowemu Festiwalowi Teatrów dla Dzieci i Młodzieży „Korczak dzisiaj", który potrwa od 11 do 23 października.

PŁYTY DO SŁUCHANIA W JESIENNE DNI

SOFIE BIRCH & ANTONINA NOWACKA „LANGUORIA"
Unsound, Mondoj Records

Antonina Nowacka to wokalistka, której zainteresowania oscylują wokół muzyki dawnej, religijnych pieśni i tradycyjnych obrzędów. Jej solowe płyty wyrastały z miejsc niezwykłych. „Lamunan" zrodziło się z doświadczenia samotnego śpiewania w jawajskiej jaskini Seplawan i interakcji głosu z akustyką tej przestrzeni. Natomiast „Vocal Sketches from Oaxaca" wzięło się z wizyt, które wokalistka składała w opustoszałych ze względu na pandemię meksykańskich kościółkach. W medialnych reakcjach na pierwszy plan wychodziła egzotyka tych scenerii. Wpływ tamtejszych kultur i tradycji. Mnie równie mocno uderzała odwaga i bezpretensjonalność wokalistki, która napotkawszy interesujące akustycznie przestrzenie, odczuwała potrzebę, by zacząć śpiewać – godzinami improwizować w samotności lub ściszać głos w obecności zbliżających się pielgrzymów.
Mam wrażenie, że właśnie za sprawą tej naturalności dokonania Nowackiej dalekie są od awangardowej abstrakcji cechującej niejednokrotnie unikającą słów wokalistykę. Przeciwnie, twórczość artystki jest bardzo komunikatywna. Generuje emocje bez pośrednictwa znaczeń. Nie inaczej jest na albumie „Languoria" nagranym z Sofie Birch, duńską producentką ambientu. W żadnym razie nie jest to rewolucja w postrzeganiu tej pływającej, nielinearnej muzyki elektronicznej. Melodyjna, posiłkująca się organicznymi brzmieniami „Languoria" to pojętna absolwentka szkoły Briana Eno.
I co z tego, skoro błogość wokaliz oplatających minimalistyczne, lśniące detalami tematy Birch sprawia, że nie chcę ich wspólnej twórczości zgłębiać, tylko się w niej zagłębiać.

© JAN BŁASZCZAK

JOANNA GAŁUSZKA / MATERIAŁY PRASOWE FESTIWALU

Koncert w ramach festiwalu Sacrum Profanum. Piotr Peszat w programie „Clicking / Activities". Kraków, 3 września 2022 r.

Słodycz zgodnych dźwięków

DOROTA KOZIŃSKA

Co słychać u naszych najbliższych sąsiadów? Naprawdę jest w czym wybierać.

Świat muzyczny pozbierał się po miesiącach lockdownów, by stawiać czoło nowym wyzwaniom. Brexit potężnie utrudnił wymianę kulturalną między Wielką Brytanią a starym kontynentem. Inwazja Rosji na Ukrainę postawiła na głowie całą organizację życia koncertowego i operowego, rodząc problemy nie tylko natury logistycznej i repertuarowej, lecz przede wszystkim moralnej. Strajki, anulowane loty i chaos na lotniskach pokrzyżowały plany niejednego artysty. Teatry i filharmonie pustoszeją: ludzie wciąż nie czują się w nich bezpiecznie, stracili nawyk czynnego uczestnictwa w kulturze albo zwyczajnie ich nie stać na coraz droższe bilety.

Mimo to znów spróbuję Państwa nakłonić do rozsmakowania się w pokarmie miłości – jak nazwał muzykę Szekspirowski książę Orsino – zwłaszcza że w tym sezonie nie grozi nam śmierć z przejedzenia. Są różne sposoby, żeby zaradzić na pustkę w sercach i portfelach, a przy okazji wyzbyć się dawnych przyzwyczajeń. Mnogość muzycznych doznań zastąpić ich jakością, a pasję melomana połączyć z zamiłowaniem do sztuki, historii i piękna krajobrazu. Rozejrzeć się w najbliższej okolicy i sprawdzić, czy za węgłem nie czeka nas odkrycie.

Polacy lubią festiwale, nie tylko ze względu na ich odświętną atmosferę, ale też możliwość obcowania z obfitością muzycznych zdarzeń w stosunkowo ↦

MITCH & MITCH CON IL LORO GRUPPO ETEREOFONICO „AMORE ASSOLUTO PER ENNIO"
Jazzboy Records

Po ogromnym sukcesie albumu „1976: A Space Odyssey", którym Mitch & Mitch przywrócili światu Zbigniewa Wodeckiego, oni sami trochę przyblakli. Ich następna płyta „Visitantes Nordestinos" niebezpiecznie ciążyła w stronę muzaku, a epka „Frisco Moods" przeszła bez większego echa. Wydaje się jednak, że tej jesieni trend się odmieni. Co ciekawe, na najnowszej płycie zadziałało to samo, co w przypadku „1976: A Space Odyssey" – zwrócenie się ku twórcy powszechnie znanemu, ale niekoniecznie z tego repertuaru. Na „Amore assoluto per Ennio" Mitch & Mitch grają utwory włoskiego mistrza muzyki filmowej w aranżacjach bliskich oryginałom, sęk w tym, że nie ma wśród nich tematów z „Misji", „Cinema Paradiso" czy spaghetti westernów. Zespół skupił się na okresie 1969-71, kiedy Morricone pisał dla włoskich reżyserów kompozycje w duchu bossa novy.
To utwory wręcz nieprzyzwoicie przyjemne. Wypełnione ciepłym brzmieniem waltorni i fletu, udekorowane muśnięciami klawesynu, dopieszczone zwiewnymi wokalizami. Przy czym warto dodać, że ze względu na potrzebne instrumentarium Mitch & Mitch wywrócili do góry nogami skład zespołu. Odeszli mężczyźni, dołączyły kobiety. I tak na „Amore assoluto per Ennio" słyszymy Małgorzatę Sarbak (klawesyn), Magdalenę Gajdzicę (wokal, flet poprzeczny), Magdalenę Kordylasińską-Pękalę (instrumenty perkusyjne), Annę Brachaczek (gitara basowa) i Annę Baran (waltornia). Choć brak tu gwiazdy estrady pokroju Wodeckiego, to jestem spokojny o sukces tego, bardzo zresztą udanego, wydawnictwa. Bo promować tę płytę, to jak promować lato we Włoszech.

© JAN BŁASZCZAK

↦ krótkim czasie. Właśnie skończyła się **Warszawska Jesień**, wciąż jedna z ważniejszych w Europie imprez poświęconych muzyce współczesnej. Kilka dni wcześniej dobiegła finału **Wratislavia Cantans**, ciesząca się niezmienną popularnością od przeszło pół wieku, choć część melomanów nie może odżałować, że większość koncertów odbywa się w siedzibie NFM, nie zaś w zabytkowych wnętrzach Wrocławia, znacznie bardziej licujących z charakterem wykonywanej muzyki [więcej o festiwalu w tekście Jakuba Puchalskiego na stronie powszech.net/wrcantans22 – red.]. Obydwa festiwale płyną we flocie okrętów flagowych polskiego życia koncertowego i zapewne odbędą się także za rok, choć ich program poznamy nieprędko.

Dotyczy to zresztą większości imprez muzycznych w Europie, nawet tych najszacowniejszych, planowanych z wieloletnim wyprzedzeniem. Nową codziennością teatrów i sal koncertowych stały się ciągłe roszady obsadowe, zmiany repertuarowe i nagłe odwołania. Trzeba się z tym pogodzić, licząc na markę imprezy, odpowiedzialność jej organizatorów i łaskę mecenasów – w Polsce głównie państwowych i samorządowych – która na pstrym koniu jeździ.

Ci z melomanów, którzy festiwalowe szaleństwo zamierzają połączyć z dłuższym urlopem, mogą uwzględnić w swoim raptularzu dwa prestiżowe i coraz bardziej „wszystkożerne" festiwale warszawskie: **Wielkanocny Festiwal Ludwiga van Beethovena** i sierpniowy **Chopin i jego Europa**. Miłośnicy muzyki dawnej, którzy lubią słuchać tych wykonawców, których już znają (w czym nie ma przecież nic zdrożnego), mogą wybierać między prowadzonym dziś przez KBF festiwalem **Misteria Paschalia** a kolejną imprezą autorską Filipa Berkowicza w postaci gdańskiego **Actus Humanus**. Ci, którzy wolą twórczość nową skrzyżowaną z innymi nurtami muzycznej współczesności, nacieszą się krakowskim **Sacrum Profanum** bądź tyskim **Auksodrone** (gdzie w tym roku odbędzie się prawykonanie nowego utworu Aleksandra Nowaka, tym razem na motywach „Baśni o wężowym sercu" Radka Raka – o nim więcej w dziale Kultura w tym numerze).

Wierni bywalcy imprez o nieco bardziej niszowym charakterze z pewnością nie zapomną o warszawskiej **Kwartesencji** – intymnym festiwalu twórczości kameralnej, organizowanym przez muzyków Royal String Quartet; o **Festiwalu Bachowskim** w Świdnicy, który od dwu-

PŁYTY DO SŁUCHANIA W JESIENNE DNI

KAMIL PIOTROWICZ SEXTET „WEIRD HEAVEN"
Howard Records

Kompozytor Kamil Piotrowicz konsekwentnie wyplątuje się z sieci jazzowych skojarzeń, choć nie ułatwia mu tego struktura, którą operuje.
Jego sekstet współtworzą celebrowani na tej scenie instrumentaliści: trębacz Tomasz Dąbrowski, saksofoniści Kuba Więcek i Piotr Chęcki oraz doświadczona sekcja: Andrzej Święs i Krzysztof Szmańda.
A jednak język, którym muzycy posługują się na „Weird Heaven", to wyrazisty, bardzo zindywidualizowany idiolekt. W polirytmicznych strukturach i powracaniu, zapętlaniu motywów słychać wpływy minimalizmu. Jednak z niego współczesny jazz czerpie przecież pełnymi garściami. Moją uwagę bardziej przyciągają więc utwory zawieszone gdzieś pomiędzy współczesną kameralistyką a popową wrażliwością. Utwory, które mógłby komponować Mark Hollis, gdyby przedwcześnie nie zarzucił muzykowania.
U Piotrowicza te popowe ciągoty przybierają mniej lub bardziej zakamuflowane formy. Bawiące się tempem „TFE" opiera się na prostym groove'ie, który mógłby nadawać ton jakiegoś hitu Fleetwood Mac. W „Bipolar" sekcja dęta powraca pięknym, lirycznym refrenem. Najbardziej wyróżniającym się na tym polu utworem jest jednak „Winning Is For Losers", w którym Piotrowicz nie dość, że śpiewa, to jeszcze posługuje się autotune'em. Rezultat brzmi jak zapomniany singiel alternatywnej hip-hopowej grupy Why? Albumem „Weird Heaven", wypełnionym intrygującymi zabiegami i lirycznymi melodiami, Piotrowicz odważnie otwiera sobie kilka nowych ścieżek jednocześnie. Zapominamy o słowie na „j", poszerzamy pole walki. © JAN BŁASZCZAK

ATOL ATOL ATOL „KONIEC SOSU TYSIĄCA WYSP"
Gustaff Records

Nie wiem, czy nazwa wrocławskiej postpunkowej grupy ma nawiązywać do słynnej formuły wypowiadanej przez serialowego kota Rademenesa („hathor, hathor, hathor"), ale słuchając ich debiutanckiej płyty, czuję się jak bohater „Siedmiu życzeń". A przecież oczekiwania miałem wysokie, wiedząc, że zespół tworzą m.in. Łukasz Plata i Artur Soszyński z Ukrytych Zalet Systemu oraz Hubert Kostkiewicz z The Kurws. Wraz z wokalistką Agatą Horwat grają oni jednak najlepszy polski postpunk, jaki słyszałem od lat. „Koniec sosu tysiąca wysp" to z jednej strony szaleńczy puls, który przenosi do Nowego Jorku przełomu lat 70. i 80. i zespołów łączących punkrockowy rodowód z wpływami dubu, funku oraz disco. Weźmy choćby „Gąsienice", które brzmią jak wzięte żywcem z repertuaru James White and the Blacks. To jednak tylko jeden z punktów odniesienia, bo album Atol Atol Atol buzuje od pomysłów i uderza do głowy od zwrotów akcji. Mamy tu więc trochę posthardcore'owej zadziorności, a także sporo kleistego, lejącego się dubu, z którego wyłania się i w którym roztapia się „Koniec sosu tysiąca wysp". Wreszcie, wrażenie robią też teksty przypominające, że jesteśmy w mieście Lecha Janerki i Janka Kozy. Choć uważam, że nie było w Polsce lepszego tekściarza niż lider Klaus Mitffoch, to sądzę, że nie powstydziłby się on takich „100 nieodebranych połączeń". Biorąc pod uwagę świetną płytę „Powięź / Fascia" wydaną wiosną przez The Kurws, wygląda na to, że w tym roku to Wrocław rozdaje karty w gitarowej alternatywie.
© JAN BŁASZCZAK

dziestu lat z górą jest oczkiem w głowie Jana Tomasza Adamusa; a także o jarosławskiej **Pieśni Naszych Korzeni**, imprezie łączącej koncerty z warsztatami oraz nieustającą dyskusją nad tradycją i tożsamością muzyczną Europy – od czterech lat, po przedwczesnej śmierci Macieja Kazińskiego, prowadzonej z sukcesem przez estońskiego śpiewaka Mariusa Petersona, związanego m.in. ze słynnym zespołem wokalnym Graindelavoix.

Pisząc ten artykuł, nieuchronnie ujawniam swoje osobiste preferencje: do wydarzeń, których pomysłodawcy próbują osadzić muzykę w głębszym kontekście kultury, słuchaczy nie tylko zachwycić, ale i czegoś nauczyć, a przede wszystkim wciągnąć na dobre w muzyczną wspólnotę. Dlatego pomijam nieraz bardzo popularne festiwale gwiazd. I dlatego – ze smutkiem – odnotowuję brak rodzimych festiwali operowych z prawdziwego zdarzenia.

Gorąco zachęcam, żeby skupić się przede wszystkim na muzycznej codzienności: na tym, co wciąż po bardzo przystępnej cenie oferuje **NOSPR**, dysponujący jedną z najnowocześniejszych i najpiękniejszych sal koncertowych w Europie, a zdaniem Krystiana Zimermana pod względem akustycznym jedną z najlepszych na świecie; na tym, co dzieje się w zaniedbywanej przez dekady **Filharmonii Poznańskiej**, której obecny szef Łukasz Borowicz wydobywa z mroków zapomnienia perły muzyki polskiej i nie tylko, gdzie 21 października, pod jego batutą, zagrają laureaci opóźnionego przez pandemię **16. Konkursu Skrzypcowego im. Henryka Wieniawskiego**; na tym, czym już teraz kusi mieszkańców stolicy centrum **Sinfonia Varsovia**, z podziwu godną cierpliwością wyczekujące otwarcia nowej siedziby na prawym brzegu Wisły; na tym, jak zmienić politykę polskich teatrów operowych, których kurcząca się z sezonu na sezon oferta coraz częściej trafia w gusty niewyrobionych muzycznie snobów niż prawdziwych entuzjastów formy.

A może odrobinę zacisnąć pasa i przekonać się, co słychać u naszych najbliższych sąsiadów? Zapoznać się z ofertą **Elbphilharmonie** w Hamburgu albo przejechać się – choćby i bez noclegu – do odległego od granicy o sto kilometrów Berlina, gdzie w przebogatym programie tamtejszej filharmonii można odnaleźć nie tylko koncerty symfoniczne, ale też recitale pieśni i estradowe wykonania nieznanych w Polsce oper? Coraz liczniejszych miłośników Wagnera może skusić nowa inscenizacja „Pierścienia Nibelunga", zapowiadana jako najważniejsze w tym stuleciu przedsięwzięcie berlińskiej **Staatsoper** – premiera już 2 października, i to – niespodziewanie – pod dyrekcją Christiana Thielemanna. Przykładem, jak należy programować sezony operowe, świecą nasi południowi sąsiedzi, zwłaszcza **Teatry Narodowe** w Pradze i Brnie, konsekwentnie uzupełniające repertuar o dzieła kompozytorów rodzimych i wskrzeszane do nowego życia utwory mistrzów modernizmu.

Jeśli jechać do Wiednia, to lepiej na koncert do **Musikverein**, sali idealnej, która w swoim czasie wyznaczyła wzorzec akustyczny większości nowo powstających instytucji na świecie, a zarazem siedziby wciąż niezawodnych Filharmoników Wiedeńskich, niż do słynnej Staatsoper, która w ostatnich miesiącach stała się ulubionym przybytkiem muzycznych „symetrystów", kwestionujących zasadność sankcji wobec zwolenników reżimu Putina. Jeśli do Wielkiej Brytanii, to zdecydowanie ciekawiej na któryś z coraz liczniejszych „wiejskich" festiwali, nie tylko operowych, które można połączyć z eksploracją malowniczych okolic i zwiedzaniem zabytków położonych z dala od głównych szlaków turystycznych.

Można też ruszyć na Północ – choćby do Bergen, na festiwal muzyki eksperymentalnej **Borealis**; do Oslo, żeby zobaczyć bodaj najpiękniejszy nowy teatr operowy na świecie, spływający jak góra lodowa wprost w wody Oslofjorden; albo do Helsinek, na dowolny koncert lub przedstawienie pod batutą Hannu Lintu, jednego z najinteligentniejszych i najbardziej intrygujących dyrygentów epoki. O atrakcjach włoskiego **Festival Barocco Alessandro Stradella** pisałam niedawno: wart polecenia nie tylko melomanom, ze względu na niedoceniane bogactwo kulturowe regionu Tuscia.

Naprawdę jest w czym wybierać. Prędzej niż świat skończą nam się pieniądze. Tymczasem zawierzmy słowom Lorenza z „Kupca weneckiego" – tutaj w przekładzie Stanisława Barańczaka – „Ktoś, kto muzyki w samym sobie nie ma, (...) to człowiek zdolny do zdrad, spisków, gwałtu; (...) takiemu nigdy nie ufaj. Słuchajmy!". Popatrzeć też nie zawadzi.

© DOROTA KOZIŃSKA

REKLAMA

REKLAMA

EUROPIANA
BY JACK SAVORETTI

ENCORE

11.10 / WARSZAWA PALLADIUM
12.10 / WROCŁAW NFM

Charlie Winston

As I Am TOUR

11.12.2022 *NIEBO*
Warszawa

FISZ EMADE
TWORZYWO

05.11 KRAKÓW KLUB KWADRAT
06.11 KATOWICE P23
10.11 GDAŃSK STARY MANEŻ
11.11 ŁÓDŹ WYTWÓRNIA
12.11 WROCŁAW A2
17.11 POZNAŃ TAMA
18.11 BYDGOSZCZ FABRYKA LLOYDA
19.11 SZCZECIN / PRZECŁAW GOKSR

MAREK NAPIÓRKOWSKI KUBA BADACH KRZYSZTOF HERDZIN
W POLSKICE:

DIRE STRAITS
SYMFONICZNIE

28.11.2022 KATOWICE 30.11.2022 POZNAŃ 6.12.2022 WARSZAWA

NATALIA PRZYBYSZ
Serce Spokojne
TRASA 2022

14.11. RZESZÓW
FILHARMONIA PODKARPACKA
17.11. WROCŁAW
SALA KONCERTOWA RADIA WROCŁAW
05.12. CZĘSTOCHOWA
FILHARMONIA CZĘSTOCHOWSKA
07.12. KATOWICE
MIASTO OGRODÓW
11.12. GDAŃSK
STARY MANEŻ
22.01. KIELCE
FILHARMONIA ŚWIĘTOKRZYSKA
24.01. SZCZECIN
FILHARMONIA IM. M. KARŁOWICZA

BILETY DOSTĘPNE NA WWW.GOODTASTE.PL

GOOD TASTE PRODUCTION

REKLAMA

WYSTAWA CZASOWA

POLIN

Muzeum
Historii
Żydów
Polskich

ŻYDOWSKA KULTURA KULINARNA

11.03–12.12.2022

polin.pl

Współorganizator:
STOWARZYSZENIE ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY W POLSCE

Mecenas:
Jankilevitsch Foundation

Wsparcie finansowe wystawy:
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Partnerzy wystawy:
ARCHIWA PAŃSTWOWE NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE
JEWISH FOOD SOCIETY
ייִדישער היסטאָרישער אינסטיטוט ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY

Partnerzy medialni:
zwierciadło, sens, TYGODNIK POWSZECHNY, VOGUE, wyborcza.pl, wyborcza.pl WARSZAWA, ams, TOK FM, VIVA!, Newsweek, HISTORIA, KUKBUK.pl, K MAG, onet

GALERIA LABIRYNT / MATERIAŁY PRASOWE

W lubelskiej Galerii Labirynt można oglądać wystawę zbiorową „Вголос / Na głos / Out Loud". Yehor Antsyhin, „Opening", 2022 r.

To idzie młodość

PIOTR KOSIEWSKI

W muzeach i galeriach oglądamy w tym sezonie młodych, a także pomijanych twórców i twórczynie. Warto lepiej poznać artystki i artystów z Ukrainy.

Do muzeów i galerii wróciły wystawy poświęcone klasyce sztuki. Czasami ograniczają się one do jednego lub kilku dzieł, zazwyczaj na wyrost określanych mianem „arcydzieł". Jednak tej jesieni można obejrzeć kilka wystaw, które zasługują na uwagę. Do nich należy z pewnością ekspozycja na **stołecznym Zamku Królewskim** poświęcona twórczości Bernarda Belotta, zwanego Canalettem, wenecjanina działającego na dworze Stanisława Augusta Poniatowskiego, którego płótna do dziś kształtują wyobrażenia o Warszawie (czynna do 8 stycznia 2023). Zamkowa wystawa przypomina, że Canaletto należał do tych twórców, którzy nie tylko zwrócili uwagę na miasto i jego życie, ale uczynili z niego temat godny podziwu. Z kolei **Muzeum Narodowe w Warszawie** od 8 listopada do 5 marca przyszłego roku pokaże sztukę krajów skandynawskich z przełomu XIX i XX w., która w ostatnich latach zyskała dużą popularność na Zachodzie. Będzie to pierwsza w naszej części Europy przekrojowa prezentacja tej twórczości.

Tegoroczną jesień zdominuje jednak dwudziestolecie międzywojenne. Do 27 listopada w **Muzeum Narodowym w Poznaniu** można oglądać „Awangardzistkę", wystawę poświęconą Marii Nicz-Borowiakowej, jednej z najciekawszych przedstawicielek naszej awangardy. Ale ostatnie miesiące tego roku upłyną pod znakiem innej malarki – Tamary Łempickiej. Można wybrać się aż na dwie jej wystawy: w **krakowskim Muzeum Narodowym** (do 12 marca) oraz w prywatnym muzeum **Villa la Fleur** w podwarszawskim **Konstancinie** (do 17 grudnia). Przypominają one malarkę, która osiągnęła popularność w latach 20. i 30. minionego wieku, a potem długo pozostawała na marginesie. Obie pokazują, w jaki sposób kreowała – za pomocą prac plastycznych, filmów i zdjęć – swój wizerunek. Ukazują też konteksty, w których tworzyła, jej związki z epoką oraz stylem *art déco*, którego jest jedną z najsłynniejszych przedstawicielek.

W tym samym czasie w krakowskim muzeum trwa druga wystawa – „Nowy początek" (czynna do 12 lutego). To bardzo obszerna i kontrowersyjna opowieść o stosunku do nowoczesności w dwudziestoleciu międzywojennym, o tym, jak oceniano postęp technologiczny, zmiany społeczne i cywilizacyjne, ale też o ogromnym wysiłku modernizacyjnym, jaki miał miejsce w II RP.

Proponuję jednak wyjść poza twórczość dziś historyczną i zazwyczaj dobrze znaną. Wydarzeniem tegorocznego lata okazała się wystawa „Niepokój przychodzi o zmierzchu" w **warszawskiej Zachęcie** (czynna do 16 października), na której zebrano prace blisko 90 artystek i artystów reprezentujących najmłodsze pokolenie. To twórczość dzisiejszych dwudziesto- i trzydziestolatków przyciąga obecnie uwagę. Okazji do obejrzenia młodszych roczników będzie więcej. Jedną z nich jest **Warsaw Gallery Weekend**, największa, jeżeli chodzi o skalę, cykliczna impreza poświęcona sztuce współczesnej w Polsce. Jej tegoroczna edycja potrwa od 29 września do 2 października (niektóre ekspozycje będą czynne do listopada). Będzie na niej można obejrzeć wystawy specjalnie z tej okazji zorganizowane przez 33 prywatne galerie.

Młode pokolenie na WGW będzie mocno reprezentowane. Przygotowano m.in. pokazy dwójki z trójki członków założonej w Krakowie w 2016 r. grupy Potencja, którą bardzo szybko zaczęto porównywać z Grupą Ładnie. Twórczość Cyryla Polaczka pokaże galeria **Monopol** (wystawa czynna do 26 listopada). Na wystawie znajdą się obrazy, w których krajobrazy zwykłe, wręcz banalne, jak widok z okna, okazują się nieoczywistymi. Nasz wzrok nieustannie płata nam figle i błyskawice na niebie na jednym z obrazów mogą się okazać... parą zakochanych. Jakby malarz chciał nam nieustannie przypominać o dziwności świata. Z kolei w **Stereo** znajdą się prace Tomasza Kręcickiego, który od dawna przygląda się przedmiotom z najbliższego otoczenia. Maluje rzeczy najbardziej pospolite, jak warzywa i owoce, a także fragmenty ludzkiego ciała. Przedstawione w dużej skali, wielokrotnie powiększone i zajmujące całą przestrzeń obrazu, nabierają nowych, nieoczywistych znaczeń.

Wreszcie w **Fundacji Galerii Foksal** zostaną pokazane najnowsze prace Karola Palczaka, który w ostatnich latach przykuwa szczególną uwagę (wystawa potrwa do 19 listopada). Udało mu się bowiem w oryginalny sposób nawiązać do tradycji dawnego malarstwa – od XVII-wiecznych holenderskich małych mistrzów po XIX-wiecznych realistów – opowiadając jednocześnie o życiu polskiej prowincji i terenach, które po przemianach 1989 r. znalazły się na marginesie.

Lista przedstawicieli młodego pokolenia obecnych na tegorocznym WGW jest znacznie dłuższa. Są na niej m.in. autorka niepokojących, inspirowanych budownictwem rzeźb Zuzanna Czebatul (galeria **Import Export**) i Emilia Kina (**Raster**), twórczyni iluzjonistycznych obrazów, w których zasłony czy tkaniny zdają się zakrywać świat.

Jednak okazji do poznania twórczości najmłodszych roczników będzie więcej. **Tarnowskie BWA** do 16 października prezentuje najnowsze obrazy Kamila Kukli. Malarz przyzwyczaił już widzów do prac, w których abstrakcyjne, ekspresyjne formy łączył z surrealistyczną poetyką. Teraz jego obrazy stały się jeszcze bardziej mroczne, niepokojące, a nawet groźne. Zaczynają pojawiać się w nich figury ludzkie, ciała szarpane emocjami, bólem i przyjemnością.

W **warszawskiej Galerii Foksal**, legendarnym miejscu dla polskiej sztuki nowoczesnej, do 2 listopada potrwa wystawa Dominiki Olszowy pod intrygującym tytułem „Mózg ofiary erupcji Wezuwiusza zamienił się w szkło". Artystka stworzyła tajemniczą przestrzeń, bliską teatralnej scenografii, z beżowych ścian, wykładzin z nadrukami oraz szklanych dekoracji. W galeryjnej sali dominuje mrok, tylko czasami rozświetlany niezwykłymi przedmiotami, odbijającymi rozbłyski światła.

Świetną okazją do zobaczenia twórczości młodszego pokolenia będzie wreszcie otwierająca się 14 października **Odnowa. Biennale Zielona Góra 2022** (potrwa miesiąc). Tematem są więzi łączące ludzi z Ziemią i próba odpowiedzi na pytanie, jak odejść od dominujących wzorców współżycia społecznego, które prowadzą do katastrofy klimatycznej, i odtworzyć zerwane związki ze środowiskiem. Wśród zaproszonych do udziału twórczyń znalazły się m.in. Karolina Balcer, Gosia Bartosik, Monika Drożyńska, Zuza Golińska i Liliana Zeic.

Twórczość Małgorzaty Mirgi-Tas okazała się odkryciem ostatnich lat. Artystka długo znana wąskiemu gronu, co więcej, spychana do kategorii „twórczości etnograficznej", dziś jest coraz bardziej doceniana. Brała udział w prestiżowych imprezach – w 2020 r. w Berlińskim Biennale, w tym roku w documenta w Kassel. Otrzymała Paszport „Polityki". Do 27 listopada można oglądać jej wystawę w polskim pawilonie na tegorocznym **Biennale Sztuki w Wenecji**. Jego ściany pokryły tkaniny nawiązujące do słynnego XV-wiecznego cyklu fresków z Palazzo Schifanoia w Ferrarze. Miejsce scen z życia bogów olimpijskich oraz dworu zajęła romska codzienność bliskich, przyjaciół i osób z różnych powodów dla artystki ważnych. Mirga-Tas pokazała tych, którzy przez lata byli nieobecni lub przedstawiani wyłącznie poprzez negatywne, stereotypowe wyobrażenia. Już 2 grudnia w **Międzynarodowym Centrum Kultury w Krakowie** otwiera się duża wystawa Mirgi-Tas „Wędrujące obrazy" (czynna ↦

REKLAMA

Pokaz wybranych prac laureatów i finalistów konkursu Artystyczna Podróż Hestii

29.09.2022 – 8.01.2023
Państwowa Galeria Sztuki
Plac Zdrojowy 2
Sopot

ERGO HESTIA

PAŃSTWOWA GALERIA SZTUKI Sopot

↦ do 5 marca), prezentująca zarówno dawne, jak i nowe prace, w tym powstałe specjalnie na tę okazję. Znajdą się tu także dzieła z różnych epok opowiadające o tym, w jaki sposób przez wieki przedstawiano romską społeczność.

Jesienią będzie można zobaczyć również prace innego artysty romskiego pochodzenia – Krzysztofa Gila. Wystawę w **warszawskiej HOS Gallery** (od 29 września do 12 listopada) poświęcił Gil postaci biblijnego Chama, jednego z trzech synów Noego, który za swoje zachowanie wobec ojca został przeklęty. Stał się nie tylko uosobieniem zepsucia, gburowatości, ale też symbolem podporządkowania i wykluczenia. Losu, który bywa udziałem całych społeczności, grup etnicznych i narodów.

Ostatnie miesiące roku dają także okazję zobaczenia sztuki ukraińskiej. Nasze galerie i muzea bardzo szybko zareagowały na wojnę. Zmieniły plany, by dać przestrzeń ukraińskim artystkom i artystom, opowiadającym o tym, co dzieje się w ich kraju. W Polsce od lat jest obecna młoda sztuka naszych wschodnich sąsiadów. Do 30 października w **lubelskiej Galerii Labirynt** można oglądać wystawę zbiorową „Вголос / Na głos / Out Loud" poświęconą odzyskiwaniu dla ukraińskiej kultury tego, co zostało przez Rosję zawłaszczone. Biorący w niej udział artyści i artystki mówią o dekolonizacji swego kraju, a także demaskują i dekonstruują moskiewską propagandę. Z kolei w połowie października w **białostockiej Galerii Arsenał** otwiera się wspólna wystawa Włady Rałko i Wołodymyra Budnikowa (czynna do 24 listopada). Ona zasłynęła z „Dzienników kijowskich", niezwykłych prac na papierze, w których opowiadała o Rewolucji Godności. Teraz, wspólnie z mężem, także artystą, tworzą komentarze do bieżących wydarzeń. Mówią o rosyjskiej agresji, przemocy, śmierci.

Równolegle w **Arsenale** będzie trwała druga wystawa – tym razem poświęcona twórczości Jaremy Małaszczuka i Romana Chimeja, młodych twórców będących odkryciem ostatnich lat. Wspólnie tworzą niezwykle wystudiowane prace wideo, w których z uwagą przyglądają się ukraińskiej rzeczywistości, zmianom obyczajowym społecznym i kulturowym. Wreszcie od 7 października do 12 marca w **łódzkim Muzeum Sztuki** otwiera się wystawa Nikity Kadana, jednego z najbardziej cenionych współczesnych twórców ukraińskich. Od dawna przygląda się on przeszłości, temu, w jaki sposób wpływa ona na aktualne wydarzenia. Opowiada o wojnie w Ukrainie i traumie związanej z rosyjską agresją. W Łodzi dzieła Kadana wejdą w dialog z historią samego muzeum i jego awangardową historią. To, co minione, będzie się przenikało z niedawnymi wydarzeniami, jak obrazy zniszczonego bombardowaniami Kijowa.

© PIOTR KOSIEWSKI

Vitalii Shupliak, „Cięcie", 2022 r.

GALERIA LABIRYNT / MATERIAŁY PRASOWE

REKLAMA

4. KIELECKI MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL TEATRALNY

TEATR ŻEROMSKIEGO W KIELCACH

27 WRZEŚNIA — 13 PAŹDZIERNIKA 2022

WWW.TEATRZEROMSKIEGO.PL

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
WOJEWÓDZTWO ŚWIĘTOKRZYSKIE
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
INSTYTUT ADAMA MICKIEWICZA
KIELCE ESK 2029
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

KOMIKSY DO CZYTANIA I OGLĄDANIA W JESIENNE WIECZORY

SANTIAGO GARCIA, JAVIER OLIVARES „GNIEW"
tłum. Jakub Jankowski, Mandioca

„Gniew, bogini, opiewaj Achilla, syna Peleusa" – tak zaczyna się „Iliada". Gniew jako fundament europejskiej cywilizacji, jej siłę napędową, a jednocześnie największą skazę analizują scenarzysta Santiago Garcia i rysownik Javier Olivares.
Tę historię znamy. Wojna trojańska trwa już 10 lat, po obu stronach zmęczenie i frustracja sięgają zenitu, oblegający Troję Achajowie pod wodzą Agamemnona są na skraju wyczerpania. Dla Garcii i Olivaresa to zaledwie punkt wyjścia do opowiedzenia historii na wskroś współczesnej, antywojennej.
Już pierwsze obrazy wprowadzają w szaleństwo wojny, z jej bezsensowną furią, brudem, wyczerpaniem. Bez ograniczeń poczyna sobie Olivares z konstrukcją kadrów, nawiązując do sztuki antycznej. Podobnym stylistycznym wyborem kieruje się, gdy idzie o kreskę, projekty postaci i decyzje kolorystyczne. Czernie, czerwienie, pomarańcze są bezpośrednim nawiązaniem do malarstwa wazowego.
W części pokazującej współczesność dominują z kolei zimne szarości i błękity, a przed oczami na długo pozostają przepiękne plansze z przeprawy Achillesa pomiędzy jego a naszym czasem, jedyne chyba, na których pojawia się spokój i cisza, moment na oddech.
„Gniew" uznano za najlepszy komiks 2020 r. w Hiszpanii. W znakomitym tłumaczeniu Jakuba Jankowskiego jest jednym z najważniejszych, jakie ukazały się w tym roku w Polsce.

MARIKO TAMAKI, ROSEMARY VALERO-O'CONNELL „MOJE ROZSTANIA Z LAURĄ DEAN"
tłum. Jacek Żuławnik, Kultura Gniewu

To queerowa historia miłosna z półki Young Adult, a że amerykańska szkoła średnia to jeden z ulubionych tematów popkultury, więc nawiązań i dodatkowych inspiracji można tu znaleźć mnóstwo – od kultowych seriali „Moje tak zwane życie" (ang. „My So-Called Life") czy „Luzaki i kujony" (ang. „Freaks and Geeks") po wyznaczające ton w latach 80. filmy Johna Hughesa.
Scenarzystka Mariko Tamaki ma już na koncie Nagrodę Eisnera – jedną z najważniejszych nagród świata komiksu – za historię do „Pewnego lata", którą rysowała jej kuzynka, Jillian Tamaki. Tam letnie wakacje dwóch nastoletnich przyjaciółek okazywały się przełomowe. Podsłuchiwane nocą rozmowy o rodzinnych kryzysach, trzymane w sekrecie przed dziećmi, ale tym bardziej przez nie wyczuwane, a także wakacyjne romanse niewiele starszych kolegów i koleżanek zwiastują niechybny koniec dzieciństwa i wejście w świat zupełnie innych emocji i doznań.
Przy „Moich rozstaniach..." Tamaki współpracowała z amerykańską rysowniczką Rosemary Valero-O'Connell, jednak te dwa komiksy łączą się w pewną całość – nie tylko ze względu na to, że pokazują kolejne etapy dojrzewania czy z powodu pokrewieństwa kreski, ale przede wszystkim przez palety kolorów. W „Pewnego lata" fiolety o różnym stopniu nasycenia towarzyszyły coraz bardziej ciążącej bohaterkom atmosferze. Tutaj szarości, czerń i biel uzupełnione są różem, z całym jego optymistycznym ładunkiem.
Styl Valero-O'Connell nawiązuje momentami do mangi (co ma swoje uzasadnienie w pochodzeniu głównej bohaterki), bawi się układem kadrów, przejściami pomiędzy nimi, przestrzenią planszy. Rysowniczka wspomina, że po wizytach dokumentacyjnych w Berkeley w Kalifornii, które wybrały z Tamaki na miejsce akcji, popadła w obsesję rysowania roślin, więc sporo zobaczymy ich w kadrach.

DANIEL ODIJA, WOJCIECH STEFANIEC „REGE"
Timof Comics

To trzecia (po tomach „Stolp" i „Rita") część tetralogii „Bardo", która – mam nadzieję – zostanie kiedyś sfilmowana, choć będzie to zadanie wymagające sporego budżetu.
Bardo to miasto bez końca, miasto po katastrofie. Rządzone przez tyrana, który z pomocą szalonego naukowca manipuluje ludzkimi umysłami. Przez epidemię zabójczego grzyba Bardo ulega powolnemu rozkładowi, załamała się też ciągłość biologiczna populacji, nie rodzą się dzieci. Oto punkt wyjścia dla całej serii, w której – idąc za Stolpem, głównym bohaterem – poznajemy życie miasta i jego mieszkańców.
W „Rege" nowością są retrospekcje, które nie tylko dostarczają nam informacji o przeszłości bohaterów i do pewnego stopnia wyjaśniają ich motywacje, ale też dopełniają obraz historii Bardo, rysując podłoże aktualnie w nim panujących warunków i rosnącego niepokoju.
Kryminał noir, horror, political fiction, dramat obyczajowy – to gatunkowe przygody, które na kartach tej opowieści czekają czytelnika, ale klucz nadrzędny to science fiction w stylu cyber i steam punk. Futurystyczna antyutopia pozwala na wiele nawiązań do współczesności.
Odija (za swoją prozę dwukrotnie nominowany do Nagrody Nike) z rozmachem i precyzją kreśli kolejne wątki, wrzucając wiele smakowitych nawiązań do innych tekstów i dziedzin kultury. Zachwyca zabawa językiem – jest tu i uliczny slang, i propagandowa nowomowa reżimowej telewizji czy urzędu, ale także poezja.
Stefaniec wypełnia tę treść równie rozbuchaną, stylistycznie różnorodną, imponującą kreską – od miejskich, mniej lub bardziej realistycznych kadrów przez groteskę telewizyjnej reklamy po surrealistyczne narkotykowe odloty Stolpa.
Pomysłowość, z jaką Odija i Stefaniec konstruują kolejne elementy miejskiej tkanki Bardo, jest imponująca, podobnie jak zestaw postaci – zarówno tych z pierwszego, jak i z dalszych planów.

Opracowała
© KATARZYNA BOROWIECKA

Pełne wersje recenzji dostępne na stronie **TygodnikPowszechny.pl/ksiazki**

TYGODNIK POWSZECHNY
DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 40/2022
REDAKCJA: Monika Ochędowska | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski | OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska, Mateusz Gawron
FOTOEDYCJA: Jacek Taran | SKŁAD: Andrzej Leśniak | OKŁADKA: Anna Prusiewicz, Renata Surowiec / Do Lasu

Patrząc w przyszłość

W przeddzień inauguracji 57. edycji Międzynarodowego Festiwalu Wratislavia Cantans im. Andrzeja Markowskiego w gmachu Narodowego Forum Muzyki im. Witolda Lutosławskiego odbyła się rozmowa z Andrzejem Kosendiakiem, dyrektorem NFM, który został mianowany na kolejną pięcioletnią kadencję. Stało się to też okazją do podsumowania dotychczasowej działalności największej wrocławskiej instytucji muzycznej oraz zarysowania planów na przyszłość.

W 2005 roku został Pan dyrektorem Filharmonii Wrocławskiej i Międzynarodowego Festiwalu Wratislavia Cantans, z połączenia których powstało Narodowe Forum Muzyki im. Witolda Lutosławskiego we Wrocławiu. Jak postrzega Pan swoją dotychczasową działalność?
Niewątpliwie najbardziej widocznym efektem moich działań jest wybudowanie siedziby Narodowego Forum Muzyki przy placu Wolności. Ale ta instytucja to coś znacznie większego niż nowoczesny obiekt koncertowy. To przede wszystkim wspólnota melomanów oraz wybitnych i zaangażowanych w kulturę osób, stworzona wokół muzyki – sztuki zdolnej do jednoczenia ludzi i nadawania sensu egzystencji – i mająca na celu zapewnienie oferty kulturalnej na najwyższym poziomie. Staram się traktować NFM właśnie jako dobro wspólne i śmiem twierdzić, że dzięki temu, mimo że prowadzenie działalności w zmieniającym się pejzażu politycznym nie jest łatwe, udaje się nam przyciągać coraz szerszą publiczność.

Jak postrzega Pan rolę instytucji kultury takich jak NFM?
Chciałbym docierać z naszą ofertą do jak największego grona odbiorców i zachęcać osoby z różnych środowisk do otworzenia się na muzykę. Dlatego też NFM nieustannie poszerza swój repertuar i szuka nowych ścieżek komunikacji. W ostatnim czasie organizowaliśmy m.in. pokazy filmów niemych z muzyką organową graną na żywo i koncerty z muzyką z gier komputerowych, zaprezentowaliśmy też monodram z udziałem Johna Malkovicha. W salach NFM można zobaczyć również spektakle taneczne i performanse. Muszę wymienić jeszcze festiwale prezentujące bogactwo najróżniejszych stylów i gatunków muzycznych: Jazztopad, Musica Electronica Nova, Leo Festival czy Musica Polonica Nova. Taka eklektyczna oferta przyciąga nowych słuchaczy, którzy dobrze czują się we wspólnocie wolnej od osądów, napięć i podziałów trawiących społeczeństwo. Jestem przekonany, że muzyka daje przestrzeń do spotkania ludzi o różnych poglądach w sposób bezkonfliktowy, co jest obecnie bardzo potrzebne.

Czy jest coś, co chciałby Pan zrealizować w trakcie nowej kadencji?
Chciałbym oczywiście kontynuować nasze projekty nagraniowe – *Opera omnia. Witold Lutosławski* i *Music First. Muzyka I Rzeczypospolitej*. Doświadczenie pandemii, kiedy zespoły musiały grać przed pustą widownią, a koncerty były transmitowane, uświadomiło mi, że warto rozwinąć projekt wizualnej rejestracji koncertów, co zwiększyłoby także dostępność naszej oferty dla osób, które z różnych względów nie mogą uczestniczyć w wydarzeniach na żywo. Wierzę, że jesteśmy w stanie przygotować tego typu produkcje na najwyższym poziomie realizatorskim. Mam w planach rozszerzenie nagrań muzyki dawnej o dzieła kompozytorów tworzących na wschodzie I Rzeczpospolitej, którzy mieli bliskie związki z artystami działającymi na dworze Wazów w Warszawie. Chciałbym również kontynuować promowanie polskiej muzyki i artystów za granicą. W tym kontekście warto zwrócić uwagę na sukces nowojorskiej edycji Jazztopad Festival czy zaproszenie Chóru NFM do współpracy przez Berliner Philharmoniker, jedną z najlepszych orkiestr na świecie. Wrocławski zespół wystąpi na festiwalu w Baden-Baden oraz w siedzibie Berlińczyków. Także Wrocław Baroque Ensemble koncertuje w wielu krajach, dzięki dobrym relacjom z zagranicznymi instytucjami kultury.

Właśnie zakończył się Międzynarodowy Festiwal Wratislavia Cantans. W programie nie zabrakło odniesień do aktualnej sytuacji w Ukrainie.
Hasło przewodnie tegorocznej edycji to *Niebezpieczne związki* – sztuki, władzy, namiętności i dominacji. Historie prezentowane podczas Wratislavii pokazywały mroczniejsze strony człowieczeństwa, wynikające z chęci stawiania się ponad innymi, czy to w relacjach osobistych, czy politycznych. Festiwal jednocześnie był pewną deklaracją moralną, także w kontekście ostatnich wydarzeń w Ukrainie – w programie znalazło się wiele dzieł autorstwa naszych wschodnich sąsiadów, w tym oratorium *Wyraj* Ołeksandra Szymki, które zabrzmiało podczas finałowego wieczoru, a zostało napisane zaraz po pierwszej agresji Rosji na Ukrainę w 2014 roku.

Wiemy, jakie są długoterminowe plany, a czego możemy się spodziewać w nadchodzącym sezonie 2022/2023?
Program całego sezonu zapowiada się naprawdę interesująco. Wrocławska Orkiestra Barokowa i Ivor Bolton zaprezentują na początku października symfonie Felixa Mendelssohna Bartholdy'ego i Roberta Schumanna w historycznej tradycji wykonawczej. W tym samym miesiącu zawitają u nas wybitni skrzypkowie: Julian Rachlin, który zagra wraz z NFM Filharmonią Wrocławską, i Daniel Hope z NFM Orkiestrą Leopoldinum. Muszę powiedzieć, że jesień będzie wyjątkowo ekscytująca pod względem muzycznym. Będziemy gościć także Bach Collegium Japan i legendarną Marthę Argerich, która wystąpi z pianistką młodego pokolenia – Theodosią Ntokou. Oczywiście wielkimi krokami zbliża się Jazztopad, na którym będziemy mieli okazję zobaczyć m.in. Dee Dee Bridgewater Quartet, a wcześniej jeszcze Oumou Sangaré w ramach cyklu Muzyka Świata i Wielka Improwizacja. W grudniu z naszą orkiestrą symfoniczną zagra Gidon Kremer, a po Nowym Roku Garrick Ohlsson najpierw zaprezentuje dzieła Chopina, a następnie po raz pierwszy wykona *III Symfonię* Witolda Lutosławskiego. Pod koniec marca będziemy mieli okazję wysłuchać *III Symfonii* Henryka Mikołaja Góreckiego, w której partię solową zaśpiewa Aleksandra Kurzak. W ramach cyklu Organy w NFM wystąpi m.in. Mari Fukumoto, a w maju będziemy mogli usłyszeć trio wybitnej skrzypaczki Anne-Sophie Mutter. Nie sposób wymienić wszystkich godnych uwagi wydarzeń, ale zapewniam, że każdy znajdzie coś dla siebie. Wraz z całym zespołem NFM serdecznie zapraszam na koncerty festiwalowe oraz w sezonie artystycznym 2022/2023!

Rozmawiał Jarosław Woźniak

MATERIAŁ PROMOCYJNY

REKLAMA

Muzeum Pamięci Sybiru

Poznasz przeszłość,

zrozumiesz teraźniejszość

MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU

Białystok

SYBIR.BIALYSTOK.PL

POWRÓT PIMPONGA

PIOTR SOMMER, POETA:

Wszystko, co się zdarza w życiu, nasz język powiększa, język od życia pęcznieje. Super, kiedy pęcznieje, ale nie pęka.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Pamięta pan swój pierwszy mecz w ping-ponga?

PIOTR SOMMER: Widzę, że mamy rozmawiać o prawdziwym życiu. Będę się zasłaniał, a jak mnie pani na czymś przyskrzyni, dam dyla.

Może opowiem o moim ostatnim meczu? Grałem z zakumplowaną paczką pingpongistów w szkole podstawowej w Starej Miłosnej, bo nagle nas wyrzucono z liceum w Sulejówku, gdzieśmy przedtem grywali latami, chybaśmy tym celuloidem naruszali godność miasteczka. Już raz mnie wyrzucono z trzeciej klasy w podstawówce, a potem ze studiów, więc tym razem się nie przejąłem. Stanąłem przy stole bez rozgrzewki i po kilku piłkach gruchnęła mi łąkotka, tak na pełen gwizdek. A pierwszych gier za bardzo nie pamiętam, to musiało być na kolonii, miałem osiem, dziewięć lat, może w Poroninie albo w Gdyni Cisowej, albo w Michalinie pod Warszawą, nie jestem pewien.

Może jednak coś?

To właściwie nie były mecze. Jak już człowieka dopuszczono do stołu, a starsi dopuszczali malców niechętnie, to się raczej szło poodbijać, nawet jeśli odbijało się na punkty – seta grało się dłużej, jeszcze przez kilkadziesiąt lat set oznaczał dwadzieścia jeden punktów. Grywaliśmy zwykle do jedenastu, żeby inni nie czekali w nieskończoność, bo zawsze była kolejka. Oficjalnie set skrócono do jedenastu punktów, kiedy ping-pong stał się sportem olimpijskim – grano coraz ofensywniej, technika zaczęła znaczyć jeszcze więcej, a efektem było między innymi to, że serwy były coraz bardziej techniczne i zmyłkowe, wymiany trwały dłużej, wszystko wyglądało ciekawiej. W którymś momencie dotarło do mnie, że pingiel po polsku ma się nazywać „tenis stołowy", solennie i kwadratowo. Ping-pong był pewnie, czy ja wiem, zanadto onomatopeiczny, nazywał rzecz zbyt bezpośrednio – my w polszczyźnie jesteśmy eufemiści – no i niepolski skubaniec. Na szczęście to nie wyszło, po angielsku *table tennis* to też tylko nazwa formalna.

Na koloniach fantastyczni wydawali mi się starsi, którzy znali kilka wymagających sztuczek, i rozgrywali całe mecze. Do zwycięstwa trzeba było wygrać dwa sety po dwadzieścia jeden punktów. Zazdrościłem im tego długiego grania i z zapartym tchem patrzyłem na podkręcanie, rozmaite rotacje i podcinki. Wszyscy ścinali z forhendu, a ja lubiłem bekhend, bardziej niepozorny niż forhend – podziwiałem właśnie tę niepozorność, i jakąś imponującą delikatność bekhendowego uderzenia. Dla mnie to były zawsze najbardziej widowiskowe chwile.

Potem niezbyt regularnie odbijałem latami, bez względu na to, gdzie byłem, jeśli tylko był stół i partner.

Z kim pan grywał?

Po nazwiskach? One nie muszą pani wiele mówić. Na koloniach walczyłem mężnie, ale bez większego powodzenia, z moim przyjacielem Heńkiem Kowalskim, który potem grał w pierwszym składzie Hagawu, smykiem, nie rakietką, a po Marcu zakotwiczył na wiele lat w Bloomington School of Music, gdzie uczył studentów gry na skrzypcach, więc jakeśmy się po latach odnaleźli, to wróciliśmy do pingla w tym Bloomingtonie, a potem w Sztokholmie, gdzie osiadł. Złomotać udało mi się go dopiero w tak zwanej dojrzałości.

W Amherst College, gdzie uczyłem dwa lata, moim partnerem był David Sofield, kolega z wydziału, ponoć najlepszy tenisista na kampusie, już wtedy pod sześćdziesiątkę, łoił mi skórę równo przez całe dwa lata, do czternastu, piętnastu, w porywach może do siedemnastu. Zacząłem trochę wygrywać, jak przyjechałem następnym razem na jeden semestr, pewnie dlatego, że przez rok czy półtora przed drugim przyjazdem grywałem często. W Chapel Hill przez rok chodziłem do klubu emerytów – niektórzy byli bardzo mocni, jeden w zasadzie ledwo się telepał, ale przy stole zamieniał się w bestię.

W Warszawie lubiłem grać z Markiem Bieńczykiem, objaśmy te spotkania lubili. Wynajmowaliśmy stół na Solcu ↦

PIOTR SOMMER jest poetą i tłumaczem. Opublikował ostatnio zbiór wierszy „Lata praktyki" (2022), tom prozy o poezji „Kolekcja wiosenna" (2020), szkic dydaktyczny „Ładne rzeczy" (2020) oraz dwa tomy przekładów z poetów amerykańskich: „Tysiąc sztuk awangardowych" Kennetha Kocha (2019) i „Co robisz na naszej ulicy" Charlesa Reznikoffa (2019). Jest m.in. laureatem Wrocławskiej Nagrody Literackiej Silesius (2010) i Nagrody Literackiej m.st. Warszawy (2022). Redaktor naczelny miesięcznika „Literatura na Świecie" od 1994 r. do kwietnia 2022 r.

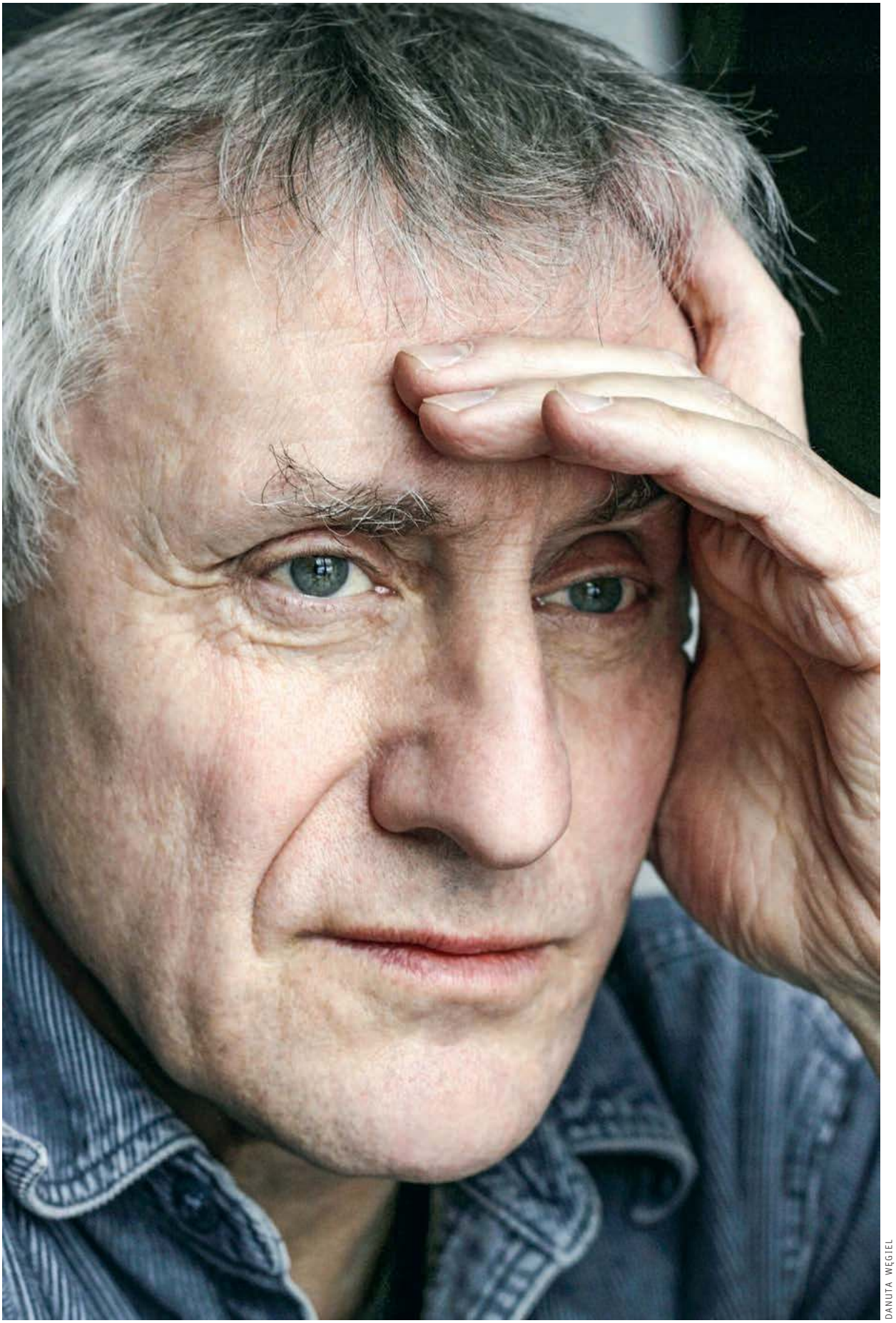

DANUTA WĘGIEL

↦ i trzaskali zaciekle, po dwie, trzy godziny. To było dość wyrównane granie, choć częściej wygrywałem ja; w którymś momencie Marek stracił cierpliwość, wziął trenera, i – po jakimś dłuższym okresie niegrania, już nie pamiętam, dlaczego mieliśmy przerwę – sprawił mi lanie. Kilka dni później rozpadła mi się ta łąkotka i psia kość nie mogłem już stanąć przy stole.

Zabolało?

Że spuścił mi manto? Zaskoczył mnie, ale nie wiem, czy nie byłem rad, że Markowi się powiodło, bo przed tą paromiesięczną przerwą miałem dobrą fazę, więc musiało mu być przykro. Ambit w pinglu ma duże znaczenie, więc jest sporo emocji – jakby odwrotnie proporcjonalnie do lekkości tego, czym się gra. Technika te emocje temperuje, super połączenie. I dużo jest w tej robocie działalności fizycznej – podczas dwóch godzin gry gubiliśmy pewnie po litrze żywej wagi.

Ping-pong pojawia się w pana wierszach.

Bo w sumie grałem dużo. Jak się coś robi długo, intensywnie, w dodatku z niejaką przyjemnością, to może nic dziwnego w tym, że czasem takie cuś pojawia się i w pisaniu. Wygodnie jest pisać, kiedy się mniej więcej wie, o czym się pisze, ale niewiedza w pisaniu też się przydaje, mnie się przydawała. Choć ja akurat nie piszę „o czymś", w sensie o czymś konkretnym, na temat – a tylko to czy inne cuś czasem się gdzieś „pojawia", dogadza mi ten brak zobowiązań.

W pinglu lubię i to, że jeden typek stoi naprzeciwko drugiego i próbuje w mgnieniu oka przewidzieć, co się za chwilę będzie działo, co mu ten obywatel stojący po drugiej stronie stołu zafunduje, na którą część stołu i z jaką siłą pójdzie serw albo return, jak pomyślana jest zmyłka – przewidzieć, co się będzie działo, czyli do pewnego stopnia wyczuć, kim jest ten drugi, i jak się będzie z nim porozumiewało przy stole. A tamten rzecz jasna reaguje podobnie. W szachach ludzie też się obwąchują, ale szachowo jestem otrzaskany słabiej niż pingpongowo.

Nie starczy o tych gierkach?

A ping-pong jako figura aktywności poetyckiej?

Nasz syn, Łukasz, grał kiedyś z synem znajomego pisarza, któregośmy odwiedzali w Puławach – obaj chłopcy musieli mieć nie więcej niż po osiem, dziewięć lat. Grali na rozkładanym stole, chyba w stołowym. Patrzyliśmy obaj na ten mecz, próbując chłopaków trochę wesprzeć, jak to kibice. Nie wiedziałem, dlaczego Łukasz, który grał jakby lepiej od Marka, nie daje mu rady, i w którymś momencie w obliczu tej nadciągającej porażki rzuciłem: „Daj mu tam, gdzie go nie ma!". I w jakiś czas potem zrobiła się z tego zdania całkiem nośna fraza w rozmowie o polskim wierszu współczesnym, bo ojciec Marka napisał pod tym tytułem interesujący szkic – ot, ma pani przykład myślenia o pinglu jako metaforze aktywności literackiej.

„Tam, gdzie go nie ma" znaczy zobaczyć sytuację, rzecz, człowieka, z nieznanej dotąd perspektywy?

Niekoniecznie z nieznanej, czy w ogóle z jakiejś konkretnej. Chodzi raczej o to, że można językowi wiersza coś zadać, żeby mniej się lenił i robił, co ma do zrobienia nieco aktywniej, i żeby autor miał jeszcze z tego przyjemność – a potem żeby czytający też miał frajdę, bo może ten, co czyta, przywykł dobierać się do wiersza od jakiejś strony, a tu nagle czeka go coś innego, na co nie jest przygotowany. Jeśli wiersz jest tylko tym, czego się po nim oczekuje, jeśli nie ma w nim żadnej niespodzianki, jakiegoś, dajmy na to, rozwojowego potencjału, to szans u czytającego tyż bym mu dużych nie dawał – przypuszczam, że musi być mniej ciekawy niż wiersz, który ten potencjał ma.

Mówi pan „czytający", nie „czytelnik"?

Tak mówię. „Czytelnik" jest spoko, ale dla mnie „czytelnik" jest bardziej z rejestru zbiorowościowo-statystycznego; była jeszcze Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", prawda? A „czytający", więc ten, kto czyta, jest może bardziej pojedynczy? I bardziej w tej czynności aktywny – bardziej jej oddany – nie domknięty w rzeczowniku.

Z wierszem jest podobnie jak z ping-pongiem – jest grą między panem a czytającym?

Nie jestem pewien, jak z wierszem jest, bo bywa różnie; jeśli coś wiem, to tylko o tyle, o ile – doraźnie, lokalnie. Wiersz grą bywa, ale grą raczej między mną a językiem, czy też między językiem a mną.W mniejszym stopniu między mną a czytającym, bo co z wierszem robi ktoś, kto wiersz czyta, jeśli w ogóle coś robi, jest już poza mną. Kiedy wierszowi wychodzi, to czytający może coś z takiej akcji mieć. Chyba.

Gra, jeśli to gra, toczy się między językiem a mną, bo język robi różne rzeczy – może mi na przykład uprzytomnić coś tak ciekawego, że nie zdołam przeoczyć – choć to jest zwykle rzecz niepozorna. Jeśli, powiedzmy, przyłapię język na jakimś gorącym uczynku życia, jakiejś nieoczekiwanej dla mnie aktywności, to kłopot tylko w tym, że chcę mu jeszcze dołożyć coś „od siebie", i muszę to z nim uzgodnić. Ale na tym to trochę polega. Siłujemy się trochę, przeciągamy, ja chcę, żeby było tak, jak mi się wydaje, że mogłoby być. I jak wyjdzie tak, jak mi się wydaje, że mogłoby być, to gra muzyka. Ale czasem wychodzi mniej więcej tak, jak mi się wydaje, że byłoby dobrze, a muzyka nie gra.

W każdym razie język to taki uczestnik gry, którego nie muszę pokonywać, chcę się z nim dogadać, więc to jest coś innego niż przeciwnik po drugiej stronie stołu. I chyba przed językiem nie muszę się bronić – zdarza się, że mogę go nawet po swojemu wesprzeć. A w pinglu jednak miło jest wygrać. I czasem skuteczność tej pingpongowej czy innej defensywy pozwala ograniczyć możliwość ataku. Tyle przerabiamy w życiu sytuacji, kiedy trzeba się bronić, od całkiem wczesnych lat, na przykład bronić przed nieżyczliwym belfrem, a my nie wiemy, jak się nie dać, albo przed kimś silniejszym na podwórku – u mnie na podwórku w Otwocku trzeba było wiedzieć, jak się bronić.

Często?

Często.

Ze względu na nazwisko?

Tak to się kulturalnie nazywa? Nie tylko ze względu na nazwisko.

Podwórko to jest hierarchia i system lojalności – są chłopcy mocniejsi i słabsi, w różnym wieku, niektórzy już są przestępcami, niektórzy dopiero nimi będą, są koledzy bardziej subtelni i są bardziej okrutni, są też okrutni, którzy są subtelni, i są dziewczynki, choć podwórko to jednak głównie chłopcy. Niewielka część towarzystwa wyrwie się z tego slumsu, inni nie mają jak, nikt im nie poda ręki, więc raczej nie dadzą rady, ale nikt z nas jeszcze o tym nie wie, jest straszna bieda – mówię o połowie lat pięćdziesiątych – i nie-

Suchy mech

To suche lato wyjałowiło wszystek mech i serca.

Las stał bezpiecznie, w tym samym miejscu
i nie zgubiliśmy drogi, choć nowi właściciele
stawiali płoty przy samej skarpie, tuż nad wodą.

A Mirek, dawny nasz przewodnik,
który się kłócił z każdym
nim zdołał się choć trochę zaprzyjaźnić,
mieszkał od roku w Austrii
i szukał przewodnika sobie.
O, instynkt lasu Mirka,
który przed laty ściągnął cię na tę prywatkę.

Przyjaźń mogła wybuchnąć w każdej chwili, o każdej porze,
bojaźń rzadziej.
Żył Mikuś,
Adam żył,
żył Maciek,
Przemek,
Laga,
Jasiek,
żył Leszek Żmija,
żył Nowotel,
i Siemek żył,
i Suchy nie zamienił się w roślinę.

– Przepraszam, a jak żyli, to przyjaźnić się nie chciało?
– Chciało, nie wcinaj się, bo nie skończyłem.

I żwawą treść miały wymogi chwili.

Toteż jak stałem, kopnąłem się za pijanym Jaśkiem
taksówką, do Warszawy, bo raz już wyszedł oknem
z drugiego piętra i zatrzymał się w podwórzu,
na Mokotowskiej. Jeśli zdarzają się przypadki,
to później przestają nimi być.
Mieszkałem z nim tamtego roku o rzut beretem,
na Hożej, u pani Bogusińskiej.

Poszliśmy lasem i nie zgubili drogi,
chociaż nie było z nami Mirka.

W to suche lato las po kawałku
spadał pod nogi, a potem trzeszczał
i wiązał się z podłożem
wskazując nam kierunek.
Jasiek tymczasem
już w Stanach uczył niewidome dzieci braille'a,
i w Stanach co miało wcześniej wyjść, mu wyszło.

My idąc, trochęśmy niedowidzieli,
ale tamtego dnia nie pogubili drogi.
Bośmy szli niby, a mimochodem
czytali pismo pod nogami,
cokolwiek w ciemno, ale po przyjaźni
z korą złuszczoną z sosen, z opadłymi liśćmi,
bo las był tu mieszany.

Wiersz przedrukowujemy za tomem „Lata praktyki" (WBPiCAK, Poznań 2022)

którzy sadzą pod oknem rzodkiewki, szczypiorek albo sałatę, kwiatki też, a inni im te grządki niszczą, więc są i pogromy kwiatków, i rzodkiewek, no i są wzorce ludzi wyraźnie starszych, rodziców albo starszego rodzeństwa. I jest tak zwany świat przyrody, na przykład kury, którym przed największym świdermajerem na posesji, na środku podwórka, siekierą odcina się na pieńku głowę, a one już bez głowy jeszcze przez moment podfruwają, i są kwiki świń „bitych" przed świętami, dobiegające z sąsiedztwa.

Powie pan więcej o tej defensywnej postawie?

Może mi coś z niej przeszło w temperament literacki – znów ma pani ten zmetaforyzowany ping-pong. Defensywa jest niby przeciwieństwem ofensywy, formą obrony, ale obronę przedstawia się jako atak – łatwo odwrócić kota ogonem; odwracanie sensu znaków pod wezwaniem zagrożonych wartości to chleb powszedni, ale chyba nie ten, o którym mówi modlitwa. Wydaje mi się, że lata 2016-2020, czyli dokonania obywatela Trumpa, miały w tej materii globalny zasięg – u nas dorzynanie języka rozmowy publicznej nabrało pod wpływem tego wielkiego męża dodatkowego przyspieszenia. W Stanach jednak – może jednak – ulokują go tam, gdzie jego miejsce; tu pobratymcom Trumpa włos z głowy nie spadnie.

A odwracanie ogonem to technika przydatna w tak zwanym ogule. Niezgodę albo polemikę z jakimś wszechwładnym poglądem odsądza się od czci z zasady. Jeśli człowiek ma odmienny pogląd w jakiejś zadekretowanej przez autorytety kwestii literackiej i ośmiela się polemizować, to taka polemika miewa podwójne ostrze: polemizuje się z poglądem albo z kimś, kto ów pogląd wyraża, ale uderza się przede wszystkim w siebie. To są rzeczy kosztowne całożyciowo. Przy czym adwersarza literackiego traktuje się przy okazji jak politycznego wroga. „Wzgląd nazwiska", jak pani to czujnie nazwała – jeśli akurat taka okoliczność występuje – też może mieć znaczenie. Tym bardziej doceniam ludzi, którzy nie korzystają z pretekstów, żeby dziabnąć.

Proszę o przykład.

Szkoda nafty, jak mówił mój przyjaciel z Otwocka, który został marynarzem.

Jednak bym prosiła.

Pani Kasiu, to nikogo nie obchodzi, stare dzieje.

Naprawdę?

W porządku, dam pani przykład, z dyscypliny, która panią zajmuje – tenisa stołowego.

Kiedy stawiałem pierwsze kroki jako szef „Literatury na Świecie", zaproponowano mi pisanie felietonów w „Wyborczej". Nie chciałem, żeby uderzały rykoszetem w „LnŚ" – a miały być jakoś pod włos – tośmy się umówili, że będę pisał pod pseudonimem P.Odmiejski i pod nagłówkiem „Pimpong", raz w miesiącu. Ale zdołałem wydrukować tylko jeden, po którym „Wyborcza" wykonała na mnie rytualną napaść, piórami pięciu czy sześciu ↦

↦ pisarzy i publicystów – całkowicie poza tym, co wtedy napisałem, i całkowicie bezmyślnie, jak to w rytuale. Ja chyba wtedy jeszcze nie wiedziałem, że tak można. Lekcję odebrałem, mam ją tym mocniej ugruntowaną, jak mawiano w szkole, że odmówiono mi prawa do repliki. A felieton był trywialnie trafny. Nawet teraz te dwa słowa obok siebie – pimpong podmiejski – sprawiają mi przyjemność jako fraza, żal mi było tylko, że nie zdołałem ich odrobinę zakotwiczyć.

Na usprawiedliwienie „Wyborczej", a zwłaszcza jej szefa, chętnie dodam, że latem dziewięćdziesiątego szóstego roku on jeszcze nie wiedział, co jest trywialnie trafne. Dwóch najfajniejszych pedagogów z tamtego grona – Tadeusz Sobolewski i Janusz Głowacki – skumało, że dali się wpuścić, i po latach mnie przeprosili. Więc jak pani widzi, ping-pong, a raczej „pimpong", potrafił się też przydać jako metafora polityczna, historyczna, jakkolwiek pani tamtą przygodę nazwie. Ale w sumie lepsza taka zbiorowa napaść w „Wyborczej" – ktoś ma kiedyś szansę to osiągnięcie zauważyć – niż czyjeś mroczne gadanie za plecami, o którym człowiek dowiaduje się przypadkiem za granicą – pewien polski autor przybył z grupą swoich amerykańskich studentów na festiwal literacki do Bratysławy, na którym byłem i ja, bo akurat wydano mi po słowacku książkę, i nagle jeden z gości festiwalu pyta mnie przerażony, co ja takiego napisałem o Miłoszu, że duchowy opiekun studentów zabronił im ze mną rozmawiać.

Sporo tego było?

Sporo, ale jak to w przypadku osoby, która się chętnie uczy, mnie to wszystko niezmiennie cieszy. Mówiłem sobie: no, no, trzeba aż zamknąć mi dziób albo obmówić.

Chyba dopiero podczas tamtej gazetowej dintojry skumałem – późno, bo późno, zbliżałem się do pięćdziesiątki – że naprawdę wygodniej człowieka nie dopuścić do głosu, niż pozwolić, żeby „Wyborcza" umoczyła na argumenty, mniej więcej literackie czy umysłowe. A najlepiej klienta przemilczeć. Poczucie wyższości i godnościowość robią u nas w polszczyźnie spore wrażenie, więc najlepiej obnosić po świecie poliki pełne noblowskiego powietrza – nasz chłop po Noblu miał zwyczaj dobitnego wskazywania swojej wyższości nad innymi, na przykład nad Mandelsztamem albo Anną Kamieńską, albo nad Beckettem, *you name it*. W przypadku Becketta sprowadził deliberacje do pamiętnego „Właściwie o czym to... z czym do gościa?". Znaczy się, z czym do gościa ten Beckett, bo rolę gościa w tym pytaniu zarezerwował dla siebie. Po prostu załatwił tego Becketta po wsze czasy.

W „Smaku detalu" napisał pan, że Miłosza piętą Achillesową jest frazeologia polska.

Oj, to jeszcze starsze dzieje. Tymczasem „Wszystko co nowe jest lepsze niż wszystko co stare" – zna pani ten wiersz Brechta? Bo ja widzę, że cały czas ciągnie panią do problematyki antycznej. Wierzyć się nie chce, ale wychodzi na to, że Brecht rzeczywiście się pomylił – biedny człowiek czasem nie ma jak oderwać się od przeszłości. Dałem w tym „Smaku detalu" bogaty kontekst cytatów, mnóstwo przykładów bylejakości językowej – to były albo od-angielskie kalki, albo błędy, albo kompletna językowa martwica. Muszę być podły z natury, bo mam w gaciach kupę radości, kiedy widzę, żeśmy są tak delikatni, że nie dałoby się znieść różnicy zdań – najważniejsze pokazać, że inna opinia nie istnieje albo nie ma racji bytu, a jak już istnieje, to odmówić jej waloru i godności. Wie pani, w rozmowie coś mogłoby zostać powiedziane – to by dopiero była afera, na całe demoludy! Myślę, że olewanie przez „Wyborczą" poglądów tzw. odmiennych, zwłaszcza w czasach, kiedy gazeta wpływała na myślenie milionów ludzi, też odbiło się w pamiętnym roku 2015 – beserwiserka „Wyborczej" miała udział w tym, co się stało.

A wracając do rzeczy, do których mam bardziej złożony stosunek: co ja na to poradzę, że od pisania martwego albo nabzdyczonego wolę język, który się otwiera na coś, czego piszący nie wiedział. Albo kiedy okazuje się, że język piszącemu coś podpowiada, w dodatku do rzeczy.

Co takiego panu podpowiedział?

Może to jednak język się otwiera – na mnie, jeśli nie przegapię, co mówi. Pyta pani o przykłady ożywczego języka? Tego jest na każdym kroku od groma i ciut ciut, jak nieco z rosyjska mówiło się w Otwocku. I to są chyba zawsze drobne rzeczy, czasem słowo, czasem fraza czy zdanie, ale te drobne rzeczy pozwalają się dowiedzieć czegoś więcej.

TRZY Z WIELU

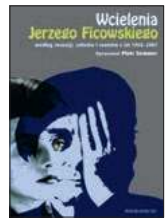

▪ **„Wcielenia Jerzego Ficowskiego" (2010)** pod redakcją Piotra Sommera to hołd oddany mistrzowi – wybór rozmów, recenzji i szkiców przybliżający postać poety, pisarza i tłumacza, znawcy kultury cygańskiej i żydowskiej, entuzjasty Brunona Schulza. Twórcy, który przyczynił się do spopularyzowania etosu pogranicza, postawy zrozumienia i zaciekawienia bliską odmiennością, przełamującego stereotypy i uprzedzenia, budującego pomosty między ludźmi różnych narodowości i wyznań.

▪ **„Co robisz na naszej ulicy" Charlesa Reznikoffa (2019)** – wybór wierszy amerykańskiego poety żydowskiego pochodzenia zmarłego w 1976 r. – pokazuje, jak współczesna pozostaje jego twórczość, co w ogromnym stopniu jest zasługą tytanicznej i genialnej pracy Piotra Sommera jako tłumacza, ale i komentatora. Tu pojawia się kwestia: ile Sommer-poeta zawdzięcza Sommerowi-tłumaczowi? Bliska jest mu bowiem substancja poetycka Reznikoffa: obserwacja ulicy, podglądanie przypadkowego człowieka, podsłuchiwanie cudzych rozmów, organiczna niechęć do patosu i tonów wysokich.

▪ **„Lata praktyki" (2022)** i w operowaniu słowem, i w wyżywaniu życia, i w kontaktach międzyludzkich, i w oswajaniu utrat, i w uprawianiu poezji. Kilkadziesiąt nieznanych wierszy Sommera – prostych i kunsztownych, dotykających końca czasu, choć bez sentymentów. Zachwyt i zaangażowanie stoją w szeregu z dystansem i alienacją, powaga kipi pod trywialnością, autoironia rozbraja to, co wzniosłe, niepoprawność dziecięcego języka daje egzystencjalny komentarz do złożoności świata.

Znajomy Amerykanin pracował kilka lat w kancelarii prawniczej w Warszawie, świetnie mówił po polsku, i robił ciekawe „błędy" – biorę w cudzysłów, bo Leśmianowi też zarzucano błędy. Komuś obniżono pensję i zdaniem Johna Wójtowicza ów człowiek dostał „podniżkę", dużo było w jego mówieniu ciekawych epizodów. „Podniżkę" latami podrzucaliśmy sobie radośnie w redakcji. Chciałem Johna Wójtowicza upamiętnić jakąś serią zdań – może to jeszcze zrobię, jeśli wpadnę na tamte zapiski – bo składniowo też był ciekawy. Po kilku latach wyjechał pracować do Wiednia.

W ogóle człowiek mało wie, dopóki coś go nie otworzy na więcej. Wiedziałem dużo mniej, dopóki czegoś nie napisałem. Oczywiście wszystko, co się zdarza w życiu, nasz język powiększa, język od życia pęcznieje. I czasem rozumie się trochę lepiej siebie, ludzi, i resztę. Super, kiedy pęcznieje, ale nie pęka. Dopóki się nie zakochałem, wiedziałem mało. Dopóki nie urodziły się nam dzieci – mamy dwóch synów – nic nie wiedziałem. Dopóki nie umarła mi mama, nic nie wiedziałem. Dopóki synowie nie wyszli z domu, wiedziałem dużo mniej. I tak dalej. Wiadomo, dialektyka – język tworzy nam świat i świat tworzy nam język. Ale nie wiem, czy nie dowiadywałem się najwięcej, kiedy coś z tego wszystkiego umiejętnie zapisałem. Może wstyd powiedzieć, że dowiadywałem się czegoś od własnego pisania?

A refleks tak istotny w ping-pongu i w pisaniu? Zapisuje pan również myśli, scenki, zdania?

Dwa razy zgubiłem notes, to mnie trochę ostudziło. Czasem powtarzam sobie zdanie, żeby zapamiętać. Niekoniecznie muszę zapisać, ale jak mam okazję, to zapisuję. Frazy w jakiś sposób muzyczne są bardziej zapamiętywalne – tyle że te muzyczności są bardzo różne, każdemu co innego gra. Dla mnie melodyjna jest na przykład fraza „liść klonu", bardzo niepozorna, powiedziała mi się kiedyś na głos – pewnie powiedziała mi się wiele razy, aż jednego razu bardziej przypadła mi do ucha – no, ale ktoś inny mógłby to uznać za zbyt niski próg muzyczności, od którego nie sposób się odbić w stronę, powiedzmy, jakiejś poetyckiej całostki. Mnie się zdaje, że niemal wszystko może być trampoliną.

Do improwizacji?

Nie wiem, czy nie dowiadywałem się najwięcej, **kiedy coś z tego wszystkiego umiejętnie zapisałem.** Może wstyd powiedzieć, że dowiadywałem się czegoś od własnego pisania?

Czemu nie. Wydaje mi się, że jak mniej więcej wszystko zostaje zanotowane, to od takiej pełniejszej partytury trudniej się odbić, a jak człowiek odbija się od czegoś niepokaźnego i puści język luzem, jak mu się coś w dodatku poplącze, zostawi pomyłkę frazeologiczną, utrzyma jakieś prywatne sformułowanie, to może być ciekawiej. Dla mnie od notatek wygodniejsza jest czasem komórka – ktoś mówiący do komórki w pociągu albo na ulicy to obrazek prawie tak samo naturalny jak kiedyś łopuch pod płotem.

W którym momencie pan jest pewny, że wiersz jest gotowy?

Muszę być pewny? Nie wiem, co się na pewność w pisaniu składa, ale ona w którymś momencie przychodzi, musi przyjść. Jak wiersz ma więcej fartu, to zbliża się do swojego kształtu od razu, a jak mniej, to do stanu używalności trzeba go doprowadzić. Dużo więcej o tym nie powiem – musiałbym udawać, że wiem więcej, niż wiem. Aa, i lubię sprawdzić, jak takie niewydarzone, niepewne swego istnienia cuś brzmi, więc czytam toto zaufanym osobom. Lepiej wtedy słyszę, co napisałem. W „gotowym" wierszu albo szkicu też zdarza mi się dla płynności frazy zmienić jakiś drobiazg, choćby w przedruku.

Niepewność w pisaniu kompletnie mi nie pasuje do gry w ping-ponga.

Może nie pasuje do ping-ponga, choć wynik w pinglu często wskazuje, że pewność ręki, czyli powiedzmy technika, to mało – o coś za chudo w uszach. W pisaniu też można mieć „pewność ręki", a nie być pewnym rezultatu, bo to dwie różne rzeczy. Technika umożliwia różne manewry, w języku też. Gest językowy zapowiada, że zaraz się powie to czy tamto, że „uderzy" się tak a tak, odbije się w tamten róg, nie gdzie indziej, ale naprawdę odbija się gdzie indziej – tam, gdzie go nie ma. Zmyłka techniczna jest w pinglu duszą gry, w języku też bywa pożądana. Ale naprawdę marnie się czuję, głosząc te wszystkie formułki, że niby „jest" tak a tak albo że nie jest – tak może mówić ktoś, kto robi za eksperta. Przyskrzyniła mnie pani na występku niepewności.

A czas? W najnowszym tomiku pisze pan z odwagą o sprawach dotąd pomijanych – o mamie i jej odchodzeniu.

Właściwie po dziś dzień nie wiem, jak to się stało, że jestem taki dorosły. Jeśli w starszeństwie tkwi jakiś przywilej, to chyba tylko taki, że osobę dorosłą czy dojrzałą – przynajmniej tak się uważa – charakteryzuje spojrzenie z dystansu, mniej nacechowane emocjonalnie. Więc pewnie i to, że człowiek nazywa po imieniu coś, co wcześniej było ukryte, bo się na przykład wstydził albo nie wiedział, jakie emocje są akceptowalne dla niego samego, jak z nimi dojść do ładu. Czy na przykład godzi się mówić o własnym wzruszeniu? Albo o przykrościach, jakie człowiek sam sobie funduje? A potem, w tej tak zwanej dojrzałości, może nagle się okazać, że nie ma się czego wstydzić, że na miejscu jest niemal każda emocja, zależnie od tego, w jakim kontekście się zdarzy.

Ale nie wiem, czy pomijałem te sprawy wcześniej, wydaje mi się, że nie.

Pan się cały czas zasłania, żeby nie opowiedzieć czegoś o swoim życiu...

A co by pani chciała usłyszeć?

Chciałabym przed oczami zobaczyć pana mamę.

A to ci dopiero.

Mam może kilkanaście zdjęć, ale to były czasy, kiedy nieczęsto miało się aparat fotograficzny, a jak już się miało, to nie umiało się go dobrze obsługiwać. Może z tego powodu, że mam mało zdjęć, a może z innego, zacząłem pisać taką, powiedzmy, prozę rodzinną, i w zasadzie skoncentrowaną wokół postaci mojej matki. Potem przerwałem, bo ni cholery nie umiałem się skupić na krótkich dystansach – przez godzinę, a nawet przez dwie i pół godziny, kiedy wiedziałem, że w następnym tygodniu nie trafią mi się znowu takie dwie i pół godziny. Strasznie demobilizujące.

Dwa lata temu dostałem stypendium – przez kilka miesięcy mieszkałem w Szwajcarii, jako gość Fondation Michalski. Udało mi się tamten pomysł trochę ↦

↦ podciągnąć, i nawet jeszcze jeden – też pisanie prozą, o Otwocku – też związany z rodzinnością, to znaczy z bliskimi ludźmi i z bliską przestrzenią. Chciałbym, żeby to były prozy „faktyczne", ale na pewnym luzie. Cały czas uczę się, jak sobie w nich radzić z czasem, chcę go jakoś scalić, zrobić z tych różnych czasów jeden. Ale moja, hm, ekspertyza w pisaniu prozą jest jakby z innej mańki – napisałem kilka książek ze szkicami, może dlatego w pisaniu tych kawałków ciągle nie przeskoczyłem progu jakiegoś rozpędu. Wszystko w tej dyscyplinie zajmuje mi więcej czasu, niż sobie wyobrażałem. Pewnie z tego powodu w Montricher dłubałem głównie przy wierszach – ukazały się kilka miesięcy temu pod tytułem „Lata praktyki".

W niektórych wierszach chyba się przesadnie nie zasłaniam.

Pańska mama zachowała pogodę ducha po wszystkim, czego doświadczyła?

Bardziej zobaczy pani moją mamę, kiedy powiem, że zachowała, czy kiedy powiem, że nie zachowała? Ale już karnie lecę odpowiadać. Zachowała chyba jakąś radość serca czy pogodę ducha, choć z antysemityzmem borykała się do końca życia. Więc myślę napisać taką książeczkę, żeby lepiej zrozumieć m.in. to, co teraz tak koślawo idzie mi w rozmowie. Na razie – wyjaśniam to sobie młodym wiekiem – jeszcze nie umiem o tym pani opowiedzieć. Ale ani chybi niedługo dojrzeję, i wtedy będzie mi szło lepiej. Pocieszam się, że w ogóle jest mało rzeczy, o których umiem mówić płynnie.

Ta niepewność to naturalny składnik pana osobowości?

Teraz mnie pani przyskrzyniła na amen – dzięki czemu uzyskujemy na koniec stare dobre kosmopolityczne słowo. Najchętniej z akcentem na „e".

© Rozmawiała w sierpniu 2022 r.
KATARZYNA KUBISIOWSKA

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego". Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Zakopane – 100,0 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Tarnów – 101,0 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
Andrychów – 98,8 FM | **www.radiokrakow.pl**

W cieniu białych krów

ANDRZEJ JURA, KAROL PIEKŁO

Choć cenzura i autocenzura są obecne w Iranie, to narzucone obostrzenia wynosiły tamtejszą kinematografię na wyżyny – historia, którą znamy z lat wielkości polskiego kina powstającego pod cenzurą PRL-u.

Spotkaliśmy się w kawiarni w nowej dzielnicy Teheranu. Nie było łatwo, Iran to szkoła cierpliwości, nie tylko dla artystów. Najpierw przez dwa miesiące reżyser Behtasz Sana'iha nie odpowiadał na wiadomości na żadnym komunikatorze. Będąc już w Teheranie, postanowiłem spróbować po raz ostatni – zadzwoniłem do dyrekcji Irańskiego Festiwalu Filmowego, tam bez najmniejszego problemu podali mi jego numer telefonu. Umówiliśmy się już na następny dzień, bo chwilę później miał zaplanowany lot do Paryża. Wielki, trochę misiowaty facet o szczerym i dobrym spojrzeniu. Przyjemności skończyły się jednak szybko, kiedy powiedział: – Nie nagrywaj tej rozmowy.

Spiąłem się tak, że nawet nie wyjąłem notesu. Behtasz Sana'iha, twórca filmów nagradzanych w świecie, jest w zasadzie nieznany w swoim kraju. Pytałem tam o niego wiele osób z dużych miast, ale nawet oni nie kojarzyli. Sana'iha wyjaśnił mi, dlaczego: – Skąd mają nas znać, kiedy nasze filmy nie są w kraju emitowane? „Ballada o białej krowie" miała cztery pokazy i została zakazana. Kręcimy w Iranie, ale nie możemy tu pokazywać filmów. „Ballada" jest pokazywana w kinach za granicą. Na to nie mieliśmy pozwolenia i stąd proces przeciwko nam w sądzie. Co miesiąc musimy się tłumaczyć na rozprawach.

„Ballada o białej krowie" miała niedawno premierę również w polskich kinach.

Ballady

Dzieciństwo spędził w słynnym Szirazie, mieście poetów. Jego ojciec był architektem i to on zaraził go pasją do kina. Oglądali razem filmy, całą światową klasykę, również polskich reżyserów, Wajdę, Kieślowskiego, których Sana'iha bardzo ceni. Można by uznać takie wyznanie za kurtuazję, gdyby nie jego zanurzone w świecie moralności filmy, w których toczy się gra o najwyższe stawki. Ojciec, widząc pasję syna, zmartwił się, że skończy bez chleba, jak wielu irańskich artystów. Namawiał go na wykształcenie, które zapewni mu byt.

Sana'iha podjął studia architektoniczne, wyjechał do Stambułu, ale tam zrozumiał, co jest mu pisane. Wrócił do kraju i rzucił się w wir pracy – jako aktor, autor scenariuszy, pierwszych komercyjnych nagrań. W Szwecji poznał Marjam Moqaddam, aktorkę, której ojciec został stracony przez irańskie władze. Los jej matki stał się inspiracją do napisania scenariusza do „Ballady o białej krowie". Nad ostateczną wersją pracowali dziewięć lat, czekali długo na pozwolenia władz Iranu, by rozpocząć produkcję. Wszak powstawał film o hańbie i niesprawiedliwości.

Nie mogąc liczyć na wsparcie żadnych instytucji państwowych, walczyli o dotacje od prywatnych sponsorów. Bohaterka, w której rolę wciela się Moqaddam, rozpoczyna bój o prawdę po tym, gdy jej mąż został stracony za zbrodnię, której nie popełnił. Sana'iha wyjaśnił, dlaczego w tytule filmu pojawia się słowo „ballada": – To dla Irańczyków bliski gatunek. Gra obrazów, nastroju, metafory. Czerpiemy obficie z literatury.

Proszę go o objaśnienie symboliki „białej krowy". Behtasz tłumaczy, że nawiązuje ona do koranicznej przypowieści zamieszczonej w II surze (*al-Baraka* „Krowa"). Mowa w niej o ofierze, jakiej, w imieniu Boga, zażądał od wiernych Mojżesz. Będąc najszlachetniejszym spośród wszystkich zwierząt, biała krowa wyobraża z jednej strony to, co człowiek ma najwartościowszego, a z drugiej – niewinność i bezgrzeszność. Zło-

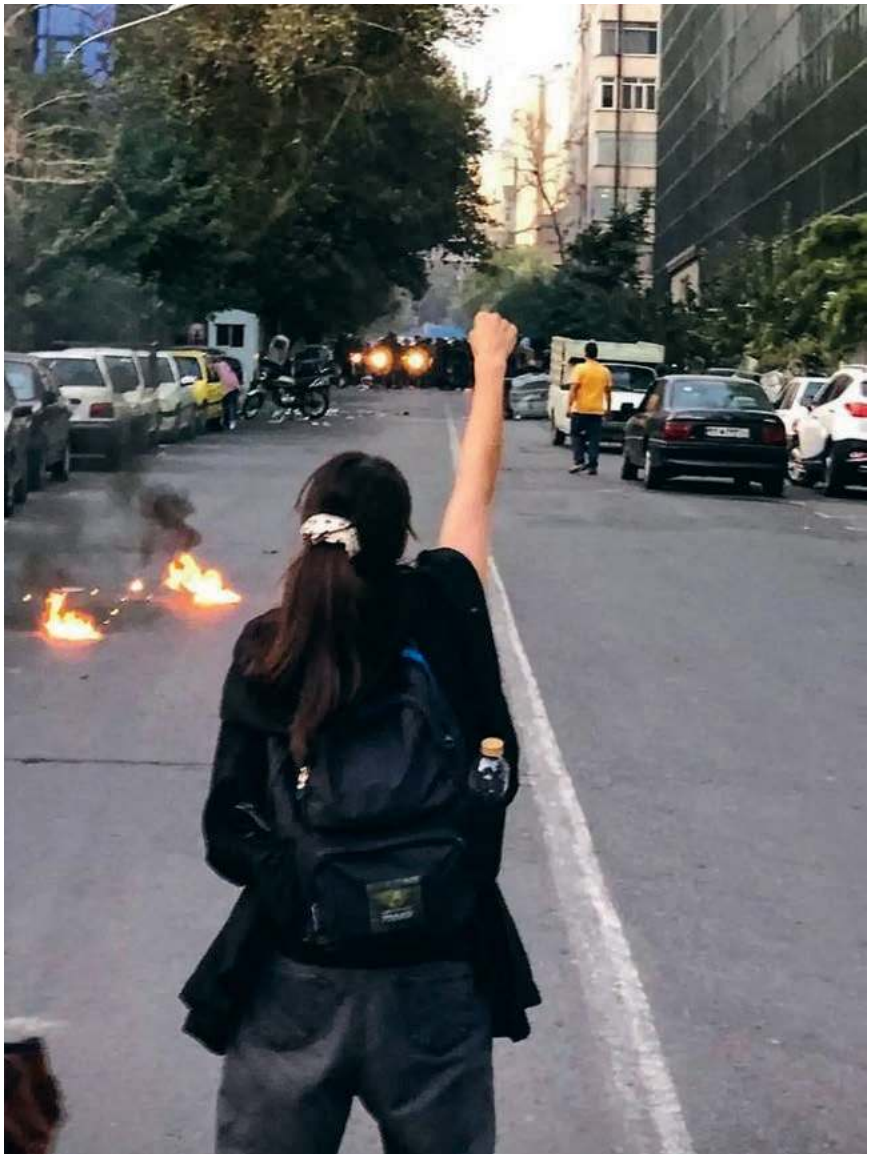

SALAMPIX / ABACA PRESS / FORUM

Irańskie kobiety protestują po śmierci Mahsy Amini, która zmarła po zatrzymaniu przez policję do spraw moralności za niewłaściwy strój. Teheran, 19 września 2022 r.

żenie jej w ofierze stanowi zatem wyraz pełnego zawierzenia Wszechmogącemu i jego woli. Równocześnie, jak wynika z tej przypowieści, umożliwia dochodzenie sprawiedliwości w imieniu tego, kto poniósł niezasłużoną śmierć – tak jak mąż głównej bohaterki.

W czasie kiedy powstawał scenariusz do „Ballady", Sana'iha ukończył dwa inne filmy: „Możliwe opady kwaśnych deszczów" („Risk of Acid Rain") i dokument „Niezachwiana dyplomacja pana Naderiego" („The Invincible Diplomacy of Mr Naderi"). W tym pierwszym, współtworzonym już z Marjam Moqaddam, pokazał, że umie jak nikt inny w Iranie opowiedzieć o samotności, na jaką skazani są Irańczycy. Fabuła skupia się na losach emeryta, który po śmierci matki wyrusza z domu w poszukiwaniu swojego jedynego przyjaciela. W Teheranie kwateruje się w hotelu, w którym poznaje młodą dziewczynę uwięzioną w patriarchalnej rzeczywistości. Sana'iha wciąga widza w psychologiczną grę.

Film jest też zapewne odpowiedzią na pytanie, dlaczego reżyser wspólnie ze swoją partnerką życiową i zawodową nie zdecydowali się wciąż na emigrację, która jest marzeniem tak wielu ich rodaków. Pragnienie, wyczuwalne w Iranie niemal na każdym kroku, wzmacnia coraz silniejsza obecność wykształconej klasy średniej, gotowej przeniknąć i ośmieszyć poczynania opresyjnej władzy. Mieszkańcy Teheranu, Szirazu czy Isfahanu, w których regularnie przerywa się spektakle teatralne, zakazuje słuchania niepoprawnej muzyki, są złaknieni kultury i sztuki. To napięcie tworzy unikalny ludzki pejzaż, który Sana'iha i Moqaddam rozumieją i potrafią o nim opowiadać.

Dywan na zgodę

Zarabiali na życie, tworząc promocyjne klipy. Dotarła do nich informacja, że pewien człowiek chciałby zlecić im reklamówkę o swoich dywanach. Sana'iha pojechał na spotkanie. Wysoko, w zielonych górach spotkał klienta i od razu zrozumiał, że właśnie znalazł bohatera swojego filmu. I wcale nie chodziło o malownicze wąsy.

Pan Naderi należał do bractwa sufich (muzułmańskich mistyków). Kiedy Sana'iha zobaczył jego dywany, oniemiał. Naderi utkał z jednej strony portrety amerykańskich prezydentów, z drugiej – amerykańskie banknoty. Robił to od 2000 roku. Cel miał też jasno sprecyzowany: chciał podarować je amerykańskiemu prezydentowi w imię pokoju i irańsko-amerykańskiej przyjaźni. Wcale nie żartował.

Dywany były piękne. Sana'iha i Moqaddam przystąpili do dzieła. Pracowali bardzo długo, nakręcili tysiące godzin materiału, z którego wyłaniała się opowieść o specyficznym ludzkim szaleństwie, jakim w Iranie jest pragnienie zgody. Sana'iha przyznał, że praca nad formami dokumentalnymi sprawia mu dużo trudu, bo materiał jest nieprzewidywalny i wymaga żmudnej selekcji. Pan Naderi nie bał się za to nikogo. Zawiózł dywany reprezentantom irańskich władz, którzy nie mogli uwierzyć własnym oczom. Film został wyemitowany przez BBC Persian i błyskawicznie zdobył popularność w Iranie, ludzie przesyłali go sobie w mediach społecznościowych.

– Tu jest żywa kultura mediów społecznościowych, nie kina, wielkich sal – tłumaczył mi Sana'iha. Jeśli czegoś nie ma w socialach, to nie istnieje. Naderi miał potem sporo problemów, ale tego można się było spodziewać. Władze nigdy nie tolerowały sufich, z ich odrębnością i własną wizją wiary. Ale Naderi do tego przywykł.

Zanim pożegnałem się z Sana'iha, zdążyłem zapytać go o plany na przyszłość. Reżyser powiedział, że nieraz spotykał się w Europie z zarzutem, że kino irańskie, studium zła, staje się coraz bardziej ciężkostrawne dla Europejczyków, którzy sami pogrążają się w walce o przetrwanie, oczekują od sztuki więcej światła, nadziei, afirmacji. Odpowiedział, że kolejna produkcja, którą współtworzy również z Marjam, będzie opowiadała o kobiecie, która ↦

ANDREAS RENTZ / GETTY IMAGES

Behtasz Sana'iha. Zurych, wrzesień 2021 r.

↦ w katastrofalnej sytuacji wytrwale szuka tych pozytywnych wartości. Kiedy jednak zapytałem, jakie filmy kręciłby, gdyby z dnia na dzień sytuacja w Iranie się zmieniła, odparł: – Na lepsze? Na razie wyłącznie się pogarsza. Sytuacja kobiet również. Ale nawet wtedy kręciłbym to samo. Musimy opowiedzieć ostatnie pół wieku.

Umówiliśmy się, że dokończymy wywiad przez Zooma. W kawiarni nie czuliśmy się komfortowo. Sana'iha uświadomił mi wtedy, jak napięta i trudna jest sytuacja twórców w Iranie. Doniesienia o aresztowaniach naukowców, między innymi Polaka, czy francuskiego fotografa, który dronem filmował krajobraz pustyni, jedynie potwierdzały te obserwacje. Wywiadu nie dokończyliśmy. Sana'iha wrócił z Paryża do kraju. Odpisał, że zabrali im paszporty i aresztowali kilku jego przyjaciół. Ich życie zaczęło przypominać los bohaterów, o których opowiadali w swoich filmach. Podczas rozmowy zapewniał, że sytuacja polityczna nigdy nie doprowadzi do autocenzury. Trudno w to uwierzyć, znając konsekwencje, jakie grożą artystom, i ostrożność, z jaką wyrażał opinie, podkreślając przy tym konieczność uważnej autoryzacji wywiadu.

W stronę dyktatury

„Biała krowa" obnaża niesprawiedliwość systemu, który w założeniu uczestników rewolucji z końca lat 70. XX w. miał być ucieleśnieniem wspólnotowości i równości wszystkich, także względem praw, opartych na zasadach wiary. Analitycy od dłuższego czasu nie mówią już o rozkładzie obecnego irańskiego systemu teokratycznego, ale o jego powolnej, acz coraz bardziej widocznej ewolucji w stronę dyktatury wojskowej.

Dziś, po dłuższym okresie koncyliacyjnej polityki umiarkowanego Hasana Rouhaniego (prezydenta w latach 2013-2021), który doprowadził do podpisania z Unią Europejską, Stanami Zjednoczonymi, Rosją i Chinami porozumienia nuklearnego w 2015 r., nastąpił nawrót do ścisłej kontroli państwa nad obywatelami – nad tym, co czytają, co oglądają i czego słuchają. Chwilowe ożywienie gospodarki po 2015 r., dławionej od lat szeregiem sankcji międzynarodowych, skończyło się jej najpoważniejszym od zakończenia wojny iracko-irańskiej w 1988 r. kryzysem, który dotknął właściwie wszystkie dziedziny życia i jeszcze mocniej uzależnił państwo od współpracy z Chinami czy Rosją.

Nawrót do ściślejszej kontroli to pokłosie wygranej w 2021 r. w ósmych wyborach prezydenckich Ebrahima Ra'isiego, reprezentującego konserwatywny Ludowy Front Sił Rewolucji Islamskiej. Przejęcie władzy przez środowiska blisko związane z najwyższym przywódcą (rahbarem) Alim Chamene'im ma jednak posmak pyrrusowego zwycięstwa. Po pierwsze Ra'isi reprezentuje partię, której jedynym celem było odsunięcie od władzy Rouhaniego i środowisk liberalnych, a która nie posiadała żadnego szczegółowego programu wyprowadzenia gospodarki z zapaści ekonomicznej. Po drugie został on obrany prezydentem w wyborach o najniższej w historii frekwencji, nieprzekraczającej 50 proc. – tak niski wynik najlepiej odzwierciedla nastroje społeczne, co nie mogło umknąć uwadze władz.

Walka z kulturą

Każde publiczne wystąpienie jakiejś grupy społecznej spotyka się z ostrą reakcją. A powodów do tego, by wychodzić na ulicę, jest bez liku: od przerw w dostawie wody dla gospodarstw domowych, powodowanych bądź to coraz dłuższymi okresami suszy, bądź, paradoksalnie, coraz częstszymi katastrofalnymi powodziami, po problemy z dostawami wody dla rolnictwa i przemysłu.

Do tego dochodzi niewydolność publicznej służby zdrowia, obnażona przez epidemię SARS-CoV-2. W tej odpowiedzi na kolejne publiczne akty nieposłuszeństwa najbardziej chyba musi boleć władzę brak szacunku, obecny w postaci haseł wychwalających obaloną w 1979 r. dynastię Pahlawich. Powielana od czterdziestu lat narracja o złej monarchii i sprawiedliwej republice nie trafia już do szerokich mas, które bez problemu dostrzegają rozdźwięk między przekazem oficjalnym a rzeczywistością.

W tej sytuacji odpowiedź ze strony władz staje się coraz bardziej brutalna. Protesty są pacyfikowane przez policję i wojsko. Padają strzały, giną ludzie, wielu trafia do więzień, a obrońcom praw czło-

wieka utrudnia się do nich dostęp – jak obecnie, po śmierci Mahsy Amini śmiertelnie pobitej przez policję. Wszelka krytyka jest rutynowo określana jako inspirowana przez agentów działających na zamówienie zewnętrznych wrogów. Społeczeństwo, które ostatnimi laty chętniej wyrażało swoje poglądy w tak fundamentalnych kwestiach jak granice wolności jednostki, ponownie poddano opresyjnemu nadzorowi. Obejmuje on wszelkie dziedziny życia i ma często charakter prewencyjny. Chodzi o jak najściślejsze wygłuszenie wszelkich ognisk niezadowolenia. Działania aparatu represji wymierzone są w działaczy społecznych i politycznych. Tyczy się to także środowisk artystycznych.

Rozpostarcie na początku lat 80. XX w. kontroli nad środowiskami artystycznymi oznaczało islamizację sztuki w każdym jej aspekcie. Wiele lat zajęło twórcom zrzucenie części ograniczeń nałożonych w ramach powrotu do „prawdziwych wartości kultury irańskiej". Choć cenzura i autocenzura są obecne w Iranie, poprzez narzucone obostrzenia wynoszą m.in. irańską kinematografię na wyżyny – historia, którą znamy z lat wielkości polskiego kina powstającego pod cenzurą PRL-u. Na irańskim rynku wydawniczym często pojawiają się zaś pozycje, które – szybko wycofywane z oficjalnego obiegu – wracają w postaci chałupniczo powielanych kopii, sprzedawanych spod lady.

Na przedstawicieli świata kultury spadają oskarżenia o szkalowanie dobrego imienia państwa, a tacy wysocy urzędnicy, jak minister kultury Mohammad-Mehdi Esma'il, wprost mówią o podjęciu odpowiednich kroków celem wykrycia i odpowiedniego ukarania każdego, kto pomagał w przygotowywaniu dwóch filmów wyświetlanych na festiwalu w Cannes – „Święty pająk" („Ankabut-e moqaddas") i „Bracia Lejli" („Baradaran-e Lejla"). Pierwszy opowiada o prawdziwych wydarzeniach z początku obecnego wieku, gdy w drugim co do wielkości mieście Iranu, ważnym ośrodku pielgrzymkowym – Maszhadzie – doszło do serii zabójstw prostytutek. Drugi to przygnębiająca opowieść o rodzinie borykającej się z poważnymi problemami finansowymi, która nijak nie potrafi realizować znanych sobie tradycyjnych wzorców w społeczeństwie, które tak szybko się zmienia.

> Nie raz spotkał się z zarzutem, że kino irańskie, studium zła, staje się coraz bardziej ciężkostrawne dla Europejczyków, **którzy sami pogrążają się w walce o przetrwanie,** oczekują od sztuki więcej światła, nadziei, afirmacji.

Dochodzi zatem do czasowych aresztowań niezależnych twórców, przeszukań w mieszkaniach reżyserów i aktorów, konfiskowane są materiały, zajmowane konta bankowe i wstrzymywane subsydia. Wysuwane są oskarżenia o współpracę z organizacjami wspieranymi przez Izrael. Nie dalej jak miesiąc temu Ministerstwo Kultury i Przewodnictwa Muzułmańskiego uznało stowarzyszenie CloseUp wspierające twórczość irańskich dokumentalistów za izraelską agenturę. Niektórzy z twórców, np. Wahid Zare'zade i Golare Kakawan, autorzy dokumentu „Białe tortury", którzy zostali zatrzymani i byli przesłuchiwani przez służby bezpieczeństwa, a ich mieszkania przeszukane, zdecydowali się na opuszczenie kraju – podobny exodus ludzi świata kultury miał miejsce w 2009 r. po brutalnie stłumionych protestach przeciwko sfałszowaniu wyników wyborów prezydenckich, które dały drugą kadencję Mahmudowi Ahmadineżadowi. Pokłosiem wydarzeń z 2009 r. i zaostrzenia obecnego kursu władz względem środowisk artystycznych jest przypadek Dża'fara Panahiego, który został w 2010 r. skazany na sześć lat więzienia oraz dwadzieścia lat zakazu działalności zawodowej i podróżowania. Panahi – Złota Palma za film „Biały balonik" („Badbadak-e sefid") w 1995 r. i Złoty Niedźwiedź za „Taksi" („Taxi") w 2015 r. – przebywał do tej pory w areszcie domowym, ale został odstawiony do więzienia prosto z biura prokuratora, gdy próbował dowiedzieć się w sprawie innego reżysera, Mohammada Rasulofa, także odbywającego karę pozbawienia wolności.

© ANDRZEJ JURA, KAROL PIEKŁO

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

- **ZIELONA GÓRA,** czwartek 29 września, spotkanie z prof. Jarochną Dąbrowską Burkhardt, prof. Czesławem Osękowskim, dr. Bartłomiejem Gruszką, dr. Grzegorzem Biszczanikiem oraz dr Izabelą Korniluk, „Które z postaci związanych z 800-letnią historią Zielonej Góry warte są szczególnego upamiętnienia?" / stacjonarne /
- **GLIWICE / OGÓLNOKLUBOWE,** sobota 1 października, III Klubowy Rajd Górski (okolice Baraniej Góry) dla wszystkich Klubowiczów / stacjonarne /
- **RZESZÓW,** poniedziałek 3 października, spotkanie z o. Szymonen Hiżyckim OSB, „Mindfulnes – myśl, cisza, medytacja, jakiego skupienia szukamy" / stacjonarne /
- **BIELSKO-BIAŁA,** czwartek 6 października, spotkanie z Piotrem Kenigiem, „Dwa miasta – jedna historia. O dziejach Bielska-Białej" / stacjonarne /

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

Więcej na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

ATELIER ANETA&FILIP GĘBSCY / GUTEK FILM

Sandra Drzymalska w filmie „IO", reż. Jerzy Skolimowski, 2022 r.

W oślej skórze

ANITA PIOTROWSKA

To film z kategorii tych, które jedni odrzucą za manieryczność, a drudzy oglądać będą ze ściśniętym gardłem – zależnie od rodzaju wrażliwości emocjonalnej i filmowej.

Całkowicie pominięty w werdykcie festiwalu gdyńskiego, za to z Nagrodą Jury w Cannes, atakuje zmysły i umysły, wchodząc w skórę zwierzęcia, które w naszej kulturze nie cieszy się dobrą sławą. Wystarczy wsłuchać się w język: „tyrać jak osioł", „ośli upór", „ośla ławka"... A jednak to nie pierwszy raz, kiedy kino przygląda się światu okiem wilgotnym i stoickim, należącym do łagodnego ssaka z rodziny koniowatych.

Na wstępie musi pojawić się pytanie: czy *remake* uznawanego za arcydzieło klasyka sprzed ponad półwiecza może być dzisiaj propozycją oryginalną? Okazuje się, że jak najbardziej. Kiedy Robert Bresson, mistrz ekranowego minimalizmu i nieludzkiej dyscypliny, nakręcił czarno-białe „Na los szczęścia, Baltazarze" (1966), powstała chłodna, wręcz koturnowa przypowieść z chrześcijańskim konceptem męczeństwa, czyli niezawinionym ludzkim cierpieniem na pierwszym planie. Tytułowy osiołek jako świadek upodlenia i krzywd zadawanych wiejskiej dziewczynie był ledwie medium tej historii. W „IO" Jerzego Skolimowskiego już tytułowa onomatopeja ustawia kamerę inaczej. To los ośli i takież spojrzenie będzie rządzić od początku do końca, co otwiera przed twórcami bezkresne pole filmowej iluzji.

Przygodom zwierzaka towarzyszy sensoryczne wyostrzenie i jednocześnie uczłowieczenie bohatera na baśniową modłę. Oto żył sobie kiedyś osiołek o imieniu IO, który wyswobodzony z cyrku przez prozwierzęcych aktywistów stracił kontakt z ukochaną opiekunką Kasandrą (w tej roli Sandra Drzymalska) i tułał się po świecie niczym Pinokio. Doświadczał w drodze różnych krzywd i nielicznych dobrodziejstw, bo ośle życie zaznaje więcej kija niźli marchewki. Przez cały czas marzył o ponownym spotkaniu swojej pani i byciu wolnym jak konie w galopie czy kołujące nad głową ptaki. Tak można by streścić

całą akcję, lecz owa poniewierka po Polsce i Europie stanowi okazję do zatrzymania się przy rozmaitych, spowszedniałych większości z nas wynaturzeniach tego świata. A także przy samej naturze, której IO jest częścią i zarazem bezpowrotnym wygnańcem.

Już podczas czołówki, kiedy kamera Michała Dymka wiruje jak oszalała i pulsują czerwone stroboskopowe światła, ekran zalewa charakterystyczna dla tego filmu nadekspresja. Słychać ją potem na ścieżce dźwiękowej, w operowych ariach, grzmiących trąbach, gitarowych riffach, w odgłosach natury czy folkowych (prawdopodobnie huculskich) brzmieniach zaaranżowanych przez Pawła Mykietyna. Ta nadmiarowość jest zaprzeczeniem stylu Bressona i znakiem rozpoznawczym Skolimowskiego, który po raz kolejny przenosi na ekran swoje malarskie pasje i ożywia eksperymentalne ciągoty. Przede wszystkim wyraża w nich zwierzęce wyobcowanie – czy jednak tylko zwierzęce?

Jakże dziwacznie wygląda tu podkarpacka prowincja z jej notablami, kibolami i księżmi święcącymi kropidłem otwarcie stadniny. Jakiż horror, destrukcja i ludzka brzydota wyłania się z hodowli zwierząt futerkowych, rzeźni, złomowiska – miejsc, do których zwierzęcy bohater trafia na kolejnych etapach swojej wędrówki. Ale są również przebłyski piękna, jak w krótkiej scenie z ośrodka zooterapii dla dzieciaków z niepełnosprawnością umysłową albo we wspomnieniach czułego dotyku Kasandry. Mamy też momenty iście magiczne, kiedy IO spotyka w trakcie swej odysei inne zwierzęta, a film nabiera wówczas niemal paradokumentalnej faktury, staje się przez chwilę kinem bez mała przyrodniczym. Kiedy zaś bohater konfrontuje się z ludźmi uzbrojonymi w kije bejsbolowe i myśliwskie strzelby, jesteśmy blisko kina grozy czy sensacji, podczas gdy rzut oka na porośnięte lasem macewy przynosi dyskretny komentarz na temat zbiorowej niepamięci.

Oczywiście mogą razić te wszystkie efekciarskie udziwnienia, zniekształcenia i kontrapunkty, czego efektem jest przebodźcowanie widza, ale zabieg wydaje się celowy – mamy poczuć się niczym ten osioł brutalnie wrzucony w świat. I choć „IO" bezwstydnie gra na naszych emocjach, miewa w sobie na szczęście także filuterną poetyckość, a i cierpkiego humoru mu nie brakuje. We włoskiej części filmu, gdy do akcji wkracza nieokrzesany polski tirowiec (Mateusz Kościukiewicz), piękny ksiądz-utracjusz (Lorenzo Zurzolo) i jego matka, ekscentryczna księżna (wiadomo, Isabelle Huppert), nieoczekiwanie z gorzkiej satyry na polskie poletko przechodzimy w parodię kina w stylu Luchina Viscontiego. Tak, Jerzy Skolimowski nie boi się ekscesu i mało kto w polskim kinie może sobie na takie gesty pozwolić.

W tej historii niewiele się mówi, bo ludzki język musi brzmieć w oślich uszach, jakby był częścią dźwiękowej tapety. Scenariusz rezygnuje z tradycyjnie budowanej dramaturgii, skoro bohater nigdzie nie zagrzewa miejsca na dłużej, zazwyczaj miota nim przypadek i jego los zdaje się przesądzony. Gdyby „IO" było literaturą, sytuowałoby się gdzieś między ironiczną powieścią łotrzykowską, poematem naiwnym a niepowstałą jeszcze książką Olgi Tokarczuk opowiedzianą przez zwierzęcego narratora. Przyjmując nagrodę w Cannes, Skolimowski dedykował ją szóstce kłapouchych odtwórców roli IO, wymieniając każdego z nich po imieniu, lecz w filmie nie chodzi o to, by za wszelką cenę wzbudzać moralnego kaca u smakoszy salami lub skłaniać do poparcia kolejnej „piątki dla zwierząt".

To raczej szerzej pomyślany manifest, który ma wybudzać widza z rutyny myślenia, patrzenia, zachowania. Zresztą dziś coraz częściej te najważniejsze i najbardziej bolesne doniesienia na temat kondycji ludzkiej przynoszą filmy ze zwierzętami w rolach głównych: z przedstawicielkami hodowanego przemysłowo bydła (patrz: „Krowa" Andrei Arnold), świniami z wolnego wybiegu („Gunda" Wiktora Kossakowskiego) czy nawet z oceanicznymi głowonogami („Czego nauczyła mnie ośmiornica" Pippy Ehrlich i Jamesa Reeda), by pozostać tylko przy głośnych dokumentach. Film Skolimowskiego ma podobny cel, ale osiąga go biegunowo odmiennymi i dość radykalnymi środkami. Kreuje własny kosmos, z jednej strony rozbuchany i popisowy, złożony z licznych autocytatów, z drugiej zaś usiłujący przebić się przez własną artystyczną i antropocentryczną perspektywę. ©

IO – *reż. Jerzy Skolimowski. Prod. Polska 2022. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 30 września.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Anioły z Sindżaru

Dokumentalny, reż. Hanna Polak, Polska 2022, HBO Max, od 30 IX

To film, po którym trudno się otrząsnąć. Autorka „Dzieci z Leningradzkiego" jedzie do północnego Iraku, by opowiedzieć o tragedii jezydek zgotowanej im przez ISIS. Jej przewodnikami są Hanifa i Saeed, którzy ocaleli z piekła i teraz starają się pomóc tym, które w nim pozostają. Wraz z kamerą bierzemy udział w tej ryzykownej misji.

2. Mała mama

Dramat, reż. Céline Sciamma, Francja 2021, Nowe Horyzonty VoD

Oniryczny, psychoanalityczny, terapeutyczny, a przy tym tak bardzo zwyczajny – wszystko to można powiedzieć o filmie nakręconym przez twórczynię „Kobiety w ogniu". Kiedy mała bohaterka po śmierci babci spotyka swoją mamę z czasów dzieciństwa, rozpoczyna się fascynująca podróż po zakamarkach wyobraźni i międzypokoleniowych traumach.

3. Warszawskie getto

Blok dokumentalny, Ninateka

„Życie ludzkie w niebezpieczeństwie" (1941) i nieukończone „Das Ghetto" (1942) to hitlerowskie dokumenty propagandowe odtwarzane po latach w cyklu „Pamięć filmu". Towarzyszy im komentarz dr hab. Iwony Kurz i prof. Jacka Leociaka, którzy wyjaśniają, na czym polegały mechanizmy manipulacji i jak ważny w odbiorze takich materiałów jest kontekst.

4. Niewiniątka

Horror, reż. Eskil Vogt, Dania i inne, VoD

Czy zwykłe blokowisko może być siedliskiem nieczystych mocy? Czy w dzieciach rzeczywiście czai się ukryte zło? Znany norweski scenarzysta staje za kamerą i prezentuje oryginalną odsłonę kina grozy, nakręconą z formalną dyscypliną, a zarazem ze społeczno-psychologicznym wyczuciem w stosunku do wszelkiego rodzaju wyobcowania czy inności.

JAN

Klata: *Żeby było miło*

Kiedy idziemy do restauracji i olewa nas kelner – nie przejmujemy się, przecież ważny jest proces, a nie efekt. Kiedy wreszcie kelner się objawia i posiłek jest obrzydliwy – nie denerwujemy się, przecież chodzi o to, żeby kucharzowi było miło i bezstresowo podczas gotowania. Rezultat jest mniej istotny. Kiedy jedziemy pociągiem – przypuśćmy: PKP – i na starcie jest 70 minut spóźnienia, które następnie się zwiększa – żyjmy chwilą, celebrujmy fakt, że chwila spędzana na torach się wydłużyła, trwa, i jest piękna. Na kolei idzie o to, żeby kolejarzom było miło jako kolektywowi. Kiedy idziemy na mecz i drużyna, której kibicujemy, zbiera manto – nie przejmujemy się rezultatem, o ile na treningach zawodnikom było miło. Kiedy dentysta boruje nam niewłaściwy ząb – cieszymy się, że jest mu miło i bezstresowo. Żałujemy tylko, że nie zaprosił kolegów i koleżanek, żeby borowali kolektywnie i wspólnie czerpali z tego przyjemność. Pal sześć efekt. Liczy się proces, reszta jest drugorzędna.

Wymaganie czegokolwiek od kogokolwiek pachnie przemocą i należy z tym skończyć. Zadawać sobie trud? Po co? Dlatego do maratonu trenujemy tak, żeby się nie zmęczyć. Kiedy taksówkarz specjalnie wiezie nas dookoła miasta – rozkoszujemy się procesem jazdy, cel nie zaprząta nam głowy, gdyż jest dalece mniej istotny od podróży, nie o to chodzi, żebyśmy dojechali najkrótszą trasą, tylko o to, żeby kierowca był zadowolony z pracy. Na kursie spadochronowym nie przejmujemy się niczym oprócz dobrego samopoczucia instruktorów, nieważne, czy spadochron dobrze złożony. Uśmiech pilota – bezcenny, nawet jeśli bez licencji. Kiedy idziemy do Anina na operację serca, nie zaprzątamy sobie głowy rezultatem, ważne, żeby chirurg miał fun. Kiedy mamy pochować matkę, musimy przede wszystkim zadbać, żeby grabarze dobrze się bawili.

Kiedy idziemy do teatru...

P.S.

I tak, zgodnie z tytułem, zupełnie nieprzewrotnie a bezpowrotnie przeminął mój ostatni felieton na szacownych łamach. Nastała jesień – czas nowych życiowych ramówek. A zatem, w otchłannych głębinach starannie pielęgnowanej osobności, z dala od nurtu licytacji na życiowe krzywdy, pozwolę sobie pogrążyć się w celebrowaniu wdzięczności wobec Redakcji za to, że zostałem 15 lat temu zaproszony na Szacowne Łamy. Czytelnikom jestem wdzięczny za oddźwięk i się żegnam. Lepiej spłonąć, niż zgasnąć. Trzymajcie się ciepło. ©

REKLAMA

TO, CO ODCZUWASZ JAKO KONIEC, MOŻE STAĆ SIĘ POCZĄTKIEM

Poradnik dla tych, którym lęk utrudnia życie

To książka pełna praktycznej wiedzy i życzliwości, którą każdy - lękowiec i nie - powinien mieć na swojej półce. Jako osoba zmagająca się z zaburzeniami lękowymi mogę powiedzieć z całym przekonaniem, że dawno nie czułam się tak zrozumiana. Warto zagrać w „grę o lepsze życie", którą proponuje autor, bo co mamy do stracenia, poza lękiem?

Agnieszka Jucewicz

KSIĄŻKA JUŻ W SPRZEDAŻY!

DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH ORAZ NA KULTURALNY SKLEP.PL W FORMIE E-BOOKA / AUDIOBOOKA NA publio.pl

Wydawnictwo Agora

PAWEŁ

Bravo:
Oszczędność na bulwie

Piętnaście do dwudziestu słów to maksimum, żeby zdanie dało się łatwo zrozumieć. Przynajmniej w świecie anglosaskim, gdzie taki limit to jedna z zasad tzw. *plain language*, czyli jasnego języka, o jaki biją się z administracją publiczną ludzie bardzo dobrej woli, którzy zasiądą w tamtym świecie po prawicy Szekspira. Inna zasada to unikanie strony biernej, imiesłowów i określeń żargonowych. Parlament nowozelandzki właśnie kończy prace nad ustawą, która nakaże pisać po ludzku tamtejszym instytucjom, Amerykanie przyjęli podobną ustawę już dwanaście lat temu.

Także włoscy deputowani złożyli projekt powołania komisji przy premierze, która miała drukować w dzienniku ustaw uproszczoną wersję każdego dokumentu w zrozumiałej wersji. Stało się to po tym, jak w czasie pandemii nagle znaczna liczba obywateli zaczęła mieć bezpośrednio do czynienia z rozporządzeniami i odbijała się od zawiłych przepisów jak od ściany. Autorzy pomysłu słusznie uznali, że szkoda czasu na próbę zmiany urzędniczej rutyny i prościej będzie nakleić plasterek na nieuleczalny wrzód biurokracji. Przepis przepadł wraz z tamtym parlamentem, trzymajmy kciuki, żeby wrócił pod obrady w nowym, choć wiem, że będzie miał on ważniejsze sprawy na głowie. A w każdym razie kosztowniejsze, takie jak dopłaty do energii.

Wątpię, czy moje pisanie kwalifikuje się jako *plain*, ale w ciasnych ścianach felietonu muszę liczyć słowa jak Pchła Szachrajka rodzynki i przycinać zdania. To dlatego, gdyśmy tu niedawno rozważali, jak zużyć mniej gazu lub prądu do gotowania makaronu, nie zmieściłem uwagi o ilości wody, istotnej, jak się potem okazało. Ten i owa spośród was odpisywali mi potem, że metoda do kitu, bo kluski wyszły gumiaste. Przypuszczam, że mogliście dać za mało wody. Litr na sto gramów to złota zasada, poważne źródła, na których bazowałem, mówiły, że od – *nomen omen* – biedy można zejść do 0,8 litra. Eksperymentujcie.

A jak już staniecie przed garnkiem ze stoperem i termometrem z sondą (warto, kosztuje znacznie mniej, niż pozwoli wam zaoszczędzić), to zróbmy kolektywnie wielki krok dla polskiej kuchni. Furda obce makarony, zasadę, że wrzątek jest niekonieczny, przenieśmy na ziemniaki. Ponieważ polscy nobliści z fizyki nie pasjonują się kuchnią, zapytałem kogoś, kto zasługuje na równie zacne nagrody za zrozumiałe acz dogłębne wyjaśnianie fizykochemicznych aspektów gotowania. Michał Kuźmiński, jak przystało na poważnego dziennikarza naukowego, nie rzucał słów lekkomyślnie, nie powiedział zatem „da się!", tylko podał mi dane, które wskazują, że jest to wysoce prawdopodobne, i zachęcił do eksperymentowania. Generalnie, jak pisze, „wymóg ostrego wrzenia wydaje się mieć pochodzenie magiczne (»widać, że zachodzi jakaś przemiana«)". Temperatura kleikowania skrobi w ziemniakach to 60-65 stopni. Istotne dla szybszego mięknięcia naszej narodowej bulwy czynniki to posolenie – solimy więc od razu, nie tylko dla smaku – oraz lekka zasadowość wody, którą w kuchni uzyskujemy najprościej przez dodatek sody.

Kluczowa zmienna to odmiana ziemniaka oraz wielkość kawałków – im mniejsze, tym szybciej ciepło wedrze się do każdej komóreczki. A także to, z czego jest garnek i ile daliśmy wody – od tego zależy, czy woda pozostanie powyżej 60 stopni dość długo, by ziemniaki doszły. Próbujmy. Michał dorzucił jeszcze coś, czego sam bym lepiej nie sformułował: „Jeśli akurat pieczemy coś w piekarniku, po co gotować do tego ziemniaki, zamiast dorzucić do pieca kilka ziemniaków w całości, a nie grzać w nim głównie powietrze? Skrobia przemieni się dzięki wodzie zawartej w samej bulwie (która w 80 proc. składa się z wody), a temperatura powyżej 140 stopni daje możliwości, których nigdy nie da wrzątek: ruszają wtedy reakcje Maillarda, a powyżej 180 stopni – karmelizacja, dzięki którym ziemniak rozwinie smakowe skrzydła. Pojawią się wszystkie te orzechowe, dymne, owocowe aromaty, tak miłe naszej wewnętrznej, wychowanej przy ogniu małpie".

Kiedy piekę ziemniaki, wolę je dać pokrojone na ćwiartki i dobrze naoliwione, ale to już są niuanse, ważne jest, że nagrzany piekarnik nie ma prawa być w połowie pusty. Dlatego lubię podłużne buraki – zawinięte w folię dają się wygodnie układać w wolnych przestrzeniach koło brytfanki i mam potem gotowy składnik sałatki. Będę was jeszcze zanudzał w tym sezonie tym, jak sprytnie i szybko przyszykować rzeczy, które pozwolą dobrze zagrać w ten piecykowy tetris. Z łaski naszej władzy mamy w tej grze do dyspozycji dwie tańsze megawatogodziny i tylko jedno życie. ©℗

Do oszczędnego pieczenia warzyw jeszcze wrócimy. Tym razem smażona, niestety energochłonna, ale pyszna peperonata calabrese. Proponuję ją teraz, bo to świetny sposób na pożegnanie dobrej papryki. Kroimy na cienkie piórka 200 g cebuli, dusimy długo na bardzo wolnym ogniu na oliwie. Kroimy w ćwiartki, a następnie w cieniutkie paski pół kilo papryki czerwonej i żółtej. Smażymy ją krótko, acz ostro na dużym ogniu w sporej ilości oliwy (musi pokrywać całe dno rondla lub patelni) wraz z czosnkiem nieobranym z łupiny, który potem trzeba wyrzucić. Pod koniec dodajemy garść czarnych oliwek. Kiedy już papryka zacznie mięknąć, łączymy ją z cebulą. Zmniejszamy płomień, dusimy kilka minut razem. Na osobnej patelni rumienimy parę łyżek bułki tartej, ostrożnie – szybko się przypala. Dodajemy ją do papryki, mieszamy, gasimy ogień i sypiemy szczodrą garść tartego pecorino. Warto przestudzić i jeść na zimno albo tylko lekko odgrzane.

ORLANDO BELLINI / ADOBE STOCK

JAK SIĘ CZŁOWIEK UPRZE

Gagik Carukjan, najbogatszy z żyjących na Kaukazie Ormian, postanowił wznieść największy na świecie posąg Jezusa, wyższy niż ten ze Świebodzina.

WOJCIECH JAGIELSKI

MATERIAŁ PRASOWY

Ormiański Jezus ma być wysoki na 33 metry – tyle ile lat żył na ziemi – a dodatkowo stanie na ponad 40-metrowym cokole. Będzie więc prawie dwukrotnie większy od żelbetowego Króla Świata ze Świebodzina z 2010 r. i najsłynniejszego, Odkupiciela z Rio de Janeiro, rocznik 1931. Jezus brazylijski wznosi się wyżej do nieba niż świebodziński, ponieważ stoi na wierzchołku mierzącej 710 metrów góry Corcovado (Garbus), wznoszącej się nad Rio de Janeiro. Świebodzin stoi na równinie, niespełna sto metrów nad poziomem morza. Jezus ormiański stanie zaś na szczycie góry Hatis, na wysokości ponad 2,5 tys. metrów. Zostanie też pokryty fosforem, co sprawi, że będzie świecił. W ciemnościach widać go będzie jeszcze lepiej niż za dnia.

66-letni Gagik Carukjan jest obecnie politykiem i człowiekiem interesu. Uważany za jednego z najbogatszych – sam twierdzi, że jest najbogatszy – w kraju, z majątkiem liczonym w setkach milionów dolarów. Wiosną ogłosił konkurs na projekt pomnika – wpłynęło ponad trzysta prac. Pamiętał, że w Armenii zarzuca mu się kiczowaty gust, poprosił więc o radę znawców sztuki. Dla zrównoważenia ich smaku dał też prawo głosu – poprzez wysyłanie esemesów – każdemu mieszkańcowi niespełna trzymilionowej Armenii. W maju ogłosił zwycięski projekt autorstwa rzeźbiarza Armena Samweljana.

Pomysł Carukjana spodobał się premierowi Nikolowi Paszynianowi, choć jeszcze niedawno uważał Gagika za wroga i próbował go wtrącić do więzienia. Na początku lipca Paszynian powiedział, że pomnik Jezusa przyciągnie do Armenii zagranicznych turystów, jak ten brazylijski z góry „Garbusa", na którą co roku wspina się po pół miliona ludzi, by ze szczytu oglądać panoramę miasta, plaże Copacabana i Ipamena, a także wyrosłe na wzgórzach dzielnice biedoty, fawele.

Uznawszy, że ma błogosławieństwo premiera, 10 lipca Gagik Carukjan urządził ceremonię złożenia kamienia węgielnego pod budowę pomnika. Żeby oszczędzić gościom wspinaczki na samą górę, uroczystość zorganizowano u jej podnóża, we wsi Akunk, na gruntowej drodze wiodącej na wierzchołek – jej przebudowa w asfaltową szosę ma być początkiem wielkiego dzieła.

„To coś naprawdę ogromnego. Być może coś największego w całej Armenii – powiedział na uroczystości minister gospodarki Wahan Kerobjan. – My w rządzie zrobimy wszystko, by to powstało możliwe jak najszybciej".

Chłop na schwał

O takich jak Gagik mówi się „chłop na schwał". Jako młodzieniec przerastał rówieśników o głowę, a jako mężczyzna już stateczny – także tuszą, która dodała powagi sylwetce atlety, potężnym ramionom siłacza, bicepsom łamacza podków i byczemu karkowi. Nic dziwnego, że siła, jaką się wyróżniał, pokierowała życiem Gagika i połączyła je na zawsze ze sportem.

Jako chłopak, w rodzinnej wsi Arindż, uprawiał zapasy i boks, a także siłował się na rękę. Dzięki sukcesom w sporcie dostał się na studia, do akademii wychowania fizycznego w stołecznym Erywaniu i wykształcił na nauczyciela gimnastyki i trenera zapasów. Wpierw jednak odsłużył dwa lata w wojsku, w Armii Czerwonej, a nauczycielski dyplom otrzymał, mając już 33 lata. Trzy lata później zdobył swój najcenniejszy sportowy laur – zwyciężył w rozgrywanych w USA zawodach o mistrzostwo świata w siłowaniu się na rękę. Wygrał w kategorii superciężkiej, w której mogli startować zawodnicy ważący ponad 110 kilogramów. Dwa lata później został mistrzem Europy.

Powodem opóźnionej edukacji Gagika był pobyt w więzieniu, w którym jako 23-latek został osadzony za rozboje i udział w zbiorowym gwałcie. Krajanie Gagika powiadają, że o ile nigdy nie brakowało mu krzepy, to rozumu – owszem. Nauka w szkole z trudem wchodziła do głowy, książek nie lubił, za to wdawał się w bijatyki, z których zawsze wychodził zwycięsko. Posłuch wywalczał sobie pięściami. Z tamtych szkolnych lat wzięło się przezwisko, które nosi do dziś, „Dodi Gago" („Głupi Gagik").

Pałac za wsią

Okazało się, że „Głupi Gagik" miał jednak głowę do interesów. Smykałkę odziedziczył chyba po matce, Rozie, księgowej (ojciec, Mikołaj, pracował w kołchozie jako inżynier elektryk). Interesami zajął się pod koniec lat 80., gdy Związek Radziecki i komunizm chyliły się ku upadkowi. W tamtych czasach wielkiego przełomu i deficytu wielu dorobiło się bogactwa – na przemycie, handlu, na wykupywaniu wszystkiego, co dotąd było państwowe. Wygrywali najzuchwalsi, a także ci, którzy umieli skorzystać ze znajomości i układów. Skąd zdobywali pierwszy milion? – to zwykle otaczała tajemnica. Następne miliony przychodziły już łatwiej.

Pierwsze wielkie pieniądze zarobił Gagik jako szef własnej firmy o nazwie Armenia, która po oddaniu w prywatne ręce kołchozu w rodzinnej wsi rozwinęła interes w branży mleczarskiej i hodowli. Musiało mu się nieźle powodzić, bo w połowie lat 90., do spółki z Francuzami z koncernu piwowarskiego Castel, kupił w pobliskim mieście Abowjan browar Kotjak, zbudowany 20 lat wcześniej przez władze sowieckie. Rodzinne strony Gagika, prowincja Kotjak, położona nieopodal Erywania, na przedgórzu Gór Gegamskich, stały się jego królestwem. Tu wybudował swój pałac, nigdy się stamtąd nie wyniósł.

Jego imperium rozkwitło, gdy założył koncern Multi, w którym zebrał swoje rozliczne interesy – apteki i fabryki lekarstw, sklepy z meblami i odzieżą, biura podróży i hotele, salony samochodowe BMW, Opla, Hyundaia oraz Łady i GAZ-a, cementownię i pasieki. Do browaru dokupił też wytwórnię win, koniaku i wódek Ararat. Pod koniec lat 90. Gagik Carukjan, mistrz w siłowaniu się na rękę, był również jednym z największych w Armenii bogaczy.

Przełom stuleci, złoty czas „Głupiego Gagika", przypadł na rządy prezydentów Roberta Koczariana (1998-2008) i Serża Sarkisjana (2008-2018). Pierwszy prezydent, ojciec niepodległości Lewon Ter-Petrosjan (1991-98), został obalony przez nich w pałacowym zamachu, gdy próbował ułożyć się z Azerbejdżanem i oddać ormiańską enklawę Górskiego Karabachu. Ormiańscy fedaini pod przywództwem Koczariana i Sarkisjana zdobyli ją w rezultacie wojny secesyjnej z lat 1988-94 i ogłosili samozwańczą niepodległość. Ter-Petrosjan przekonywał, że tylko wymiana „ziemia za ↦

Makieta pomnika Jezusa, który ma stanąć na szczycie góry Hatis

ADOBE STOCK

Widok z góry Hatis, na której stanie pomnik Jezusa.

pokój" zapewni Ormianom bezpieczeństwo. Koczarian i Sarkisjan, wywodzący się z Karabachu, nie chcieli o tym nawet słyszeć.

Za rządów Koczariana i Sarkisjana ormiańska republika przepoczwarzyła się w oligarchię, rządzoną przez nieliczną kastę uprzywilejowanych, mających dostęp do władzy i pieniędzy. Jedno zapewniało drugie, a drugie wynikało z pierwszego – sprzężenie zwrotne. Gagik, choć przezywany głupkiem, bardzo szybko tę zależność pojął.

W 2003 r. został posłem z rodzinnego Kotjaku, a rok później założył własną partię polityczną, którą nazwał Kwitnąca Armenia. Zrazu zwolennikami nowej partii stali się ziomkowie Gagika z Kotjaku. Dawał im zarobek, przyjmując do pracy w swoich firmach, za własne pieniądze budował przychodnie zdrowia i szkoły, kładł asfalt na dziurawych drogach, fundował stypendia dla młodych, żeby mogli się uczyć w stolicy, wyjść na ludzi. Nie żałował też grosza na Kościół, odnawiał świątynie, cmentarze i chaczkary – kamienne obeliski i płyty z ormiańskim krzyżem, wystawiane od wieków, by uczcić szczególnie ważne w dziejach Ormian zdarzenia i zasłużone osobistości. Wszystko to pokazywała ludziom telewizja, którą Gagik też sobie kupił. „Nie robię tego dla siebie – mówił. – Ja już wszystko mam". A ziomkowie powiadali, że nawet jeśli Gagik, jak to politycy, kradnie, to przynajmniej dzieli się pieniędzmi z biednymi.

Gdzie indziej ludzie kryją się z bogactwem, nie chcą, by kłuło w oczy tych, którym się nie poszczęściło. Na Kaukazie jednak z bogactwem się obnosi. „Po co mi to wszystko, jeśli nikt nie będzie wiedział, że to moje" – słyszałem często w Armenii, Azerbejdżanie, Czeczenii, Gruzji. Gagik postawił sobie za wsią istny pałac, na szczycie wzgórza, z widokiem na okolicę i prywatną świątynią. Ma też basen jak się patrzy i park z egzotycznymi drzewami. I menażerię, gdzie trzyma w klatkach swoje ulubione bestie – lwy.

Przyjmuje tu zagranicznych gości, których obsypuje wspaniałymi prezentami – kilku znaczniejszym ministrom dyplomacji z Europy podarował złote pistolety. Powiadają, że pewnego razu nieopodal gagikowego pałacu przejeżdżał sam Władimir Putin. Zainteresował się budowlą na wzgórzu. Wziął ją za zabytek. Kiedy powiedziano mu, że to dom „Głupiego Gagika", pokręcił tylko głową i rzekł: „Wcale nie taki głupi ten Głupi Gagik".

W tarapatach

Wróble z erywańskich dachów ćwierkały, że „Głupi Gagik" założył Kwitnącą Armenię za namową Koczariana i że to przychylności prezydenta zawdzięcza swoje miliony. W 2008 r., po drugiej i ostatniej kadencji, ledwie 54-letni Koczarian musiał złożyć prezydenturę. Namaszczonemu na następcę Sarkisjanowi nie ufał, swojej zaś partii założyć nie zdążył – został sprowadzony pilnie z Karabachu – a jako prezydent już zakładać nie mógł. Umyślił więc sobie, że w partii Gagika mieć będzie polityczną bazę i narzędzie nacisku na rządzących. Kiedy w 2008 r. w Erywaniu doszło do ulicznych protestów przeciwko oszukanym wyborom, wieńczącym wyreżyserowaną sukcesję, sprowadzeni przez Gagika ludzie z Kotjaku tłukli demonstrantów razem z policją.

Kwitnąca Armenia stała się drugą, po rządzącej Partii Republikańskiej Sarkisjana, najsilniejszą partią w kraju, a „Głupi Gagik" został wicemarszałkiem parlamentu, jedną z najważniejszych osobistości w kraju. Sprawował ten urząd aż do wiosny 2018 r., gdy opozycja znów wyprowadziła ludzi na ulice, a przywódca „aksamitnej rewolucji" Nikol Paszynian zmusił Sarkisjana do ustąpienia i sam zajął jego miejsce.

Z czwartym prezydentem Carukjanowi nie było po drodze. Paszynian nie zapomniał mu, że gdy w 2008 r. przewodził opozycyjnym protestom, bojówkarze Gagika byli po drugiej stronie barykady. Ledwie przejął władzę, a Gagikowi zarzucono korupcję, tę zwyczajną i polityczną. Zazdrośnicy od dawna narzekali, że nie zabiega o wyborców, tylko kupuje ich sobie, śledczy Paszyniana wykryli, że Carukjan od lat nie płaci podatków, odebrano mu immunitet poselski, ciągano na przesłuchania, przeprowadzano rewizje w pałacu na wzgórzu. W zeszłorocznych wyborach parlamentarnych Kwitnąca Armenia nie wprowadziła do parlamentu ani jednego posła.

Ale może właśnie słabość partii Gagika sprawiła, że Paszynian nagle mu odpuścił. Po przegranej jesienią 2020 r. wojnie o Karabach z Azerami niegdysiejszy ludowy bohater dużo stracił w oczach rodaków i wielu Ormian przeklina go dziś

jako zdrajcę narodowej sprawy. Nie może już sobie pozwolić na walkę ze wszystkimi i stara się zdobywać sprzymierzeńców. Prokuratura umorzyła śledztwa przeciwko Gagikowi, a ministerstwo finansów przywróciło koncesje jego kasynom. Miał więc prawo sądzić, że w zapomnienie poszły też zarzuty, że bezprawnie przywłaszczył sobie górę Hatis, na której postanowił wznieść pomnik Jezusa.

MEHRNEWS / ASGHAR KHAMSEH / CC BY 4.0

Gagik Carukjan

Pan świętej góry

Hunan Rubenjan, wójt gminy Akunk, na której terenie leży góra Hatis i osiem wsi u jej podnóża, twierdzi, że 46 hektarów gminnych gruntów na samym wierzchołku kupił w 2008 r. niejaki Norik Petrosjan. Zamierzał pobudować kolejkę linową, ale rozmyślił się i podarował górę Gagikowi. Wójt Rubenjan przysięga, że sprzedał wierzchołek góry, zanim historycy i badacze przyrody z Erywania ogłosili ją pomnikiem przyrody, na którym bez specjalnego zezwolenia władz budować niczego nie wolno.

Kiedy ogłosił, że będzie stawiał pomnik Jezusowi, i nie spotkał się ze sprzeciwem władz, kupił kolejnych dziewięć parceli ziemskich, ponad sto hektarów, na zboczach góry. Podejrzane wydało się, że za prawie 150 hektarów zapłacił grosze, około 50 tys. dolarów, i że poza nim nikt więcej do przetargu nie stanął.

Gagik obiecuje, że pobuduje nie tylko kolejkę linową pod pomnik Zbawiciela, ale postawi wokół hotele, restauracje, sklepy z pamiątkami, a nawet muzeum chrześcijaństwa, pociągnie wodociąg i gaz. „Ludzie u nas co do jednego są za Gagikiem – zaklina się wójt Rubenjan. – Stanie pomnik, przyjadą turyści, będzie robota, będą pieniądze".

„Dopiero wczoraj mi powiedzieli, że nasza góra to pomnik – wyznał Aramis Serdakjan, odpowiedzialny w urzędzie gminy Akunk za zabytki. – Żyję tu od urodzenia, a pojęcia nie miałem, że to pomnik. Nikt w tej sprawie ze stolicy nie dzwonił, nikt nie przyjeżdżał, nie pytał. A teraz krzyczą na nas, żeśmy sami zniszczyli ślady naszych dziejów. A kto to wiedział? Nikt nie wiedział, to i budowa ruszyła".

Nazajutrz po uroczystości złożenia „kamienia węgielnego" na zboczu góry pojawiły bowiem się koparki i spychacze. Robotnicy zaczęli budować drogę na wierzchołek, a z Erywania rozległ się lament i protesty przeciwników budowy pomnika Zbawiciela.

Góra kolebka

Hatis nie jest dla Ormian górą zwykłą, ale niemal świętą, choć nie tak świętą jak Ararat, którą uważają za kolebkę narodu i początek historii rodzaju ludzkiego (to na Araracie, po potopie, miała osiąść Arka Noego). To w tej okolicy znajdował się też biblijny Eden, w którym rosło Drzewo Życia.

Według ormiańskich podań tu również, u podnóża gór Hatis i Ary, niecałą godzinę drogi z dzisiejszego Erywania, spotkały się przed bitwą wojska babilońskiej królowej Semiramidy, bogini miłości i zmysłowości, i Ary Pięknego, pierwszego ormiańskiego króla. Ara wzgardził jej uczuciem, więc Semiramida najechała jego królestwo (Ara zginął w bitwie). W 2019 r. wyprawa ormiańskich i włoskich archeologów odkryła na górze Hatis pozostałości po budowlach i cytadelach z epoki żelaza i brązu. „Koparki i spychacze zburzyły je i zasypały ziemią układaną pod pomnik Jezusa" – orzekł Artur Petrosjan, szef tamtej ekspedycji.

Do badaczy przeszłości przyłączyli się obrońcy przyrody i właściciele biur podróży. Przekonywali, że budowa pomnika zniszczy faunę i florę góry Hatis, a także zepsuje widok na Góry Gegamskie – łańcuch wygasłych wulkanów, rozdzielających jezioro Sewan od równiny Araratu. „Pomnik Jezusa nie przyciągnie milionów turystów, ale raczej ich odstraszy. Podróżnicy szukają w świecie osobliwości, ale prawdziwych, a nie z tektury – tłumaczyli w otwartym liście do rządu. – Zanim i jeśli w ogóle zjadą się pielgrzymi, uciekną od nas amatorzy pieszych wędrówek i wspinaczki".

Budowie pomnika Jezusa Chrystusa na górze Hatis sprzeciwił się nawet Apostolski Kościół Ormiański, choć „Głupi Gagik" postanowił wznieść posąg także po to, by cały świat dowiedział się, iż Armenia w 310 r., jako pierwsza, przyjęła chrześcijańską wiarę za religię państwową. „Jesteśmy wdzięczni Gagikowi Carukjanowi za ofiarność i szczodrość, której nigdy nam nie skąpił – oświadczono w Eczmiadzynie, ormiańskim Watykanie. – Ale stawianie pomników Zbawicielowi i czynienie z nich obiektów kultu jest sprzeczne z nauczaniem i tradycją naszego Kościoła. Tak postępują katolicy. Przez prawie dwa tysiące lat nie wznieśliśmy nawet najmniejszego pomnika Chrystusowi, ani naszym świętym, a teraz ma stanąć u nas największy na świecie posąg Zbawiciela?".

Protesty sprawiły, że kilka dni po uroczystym rozpoczęciu budowy z udziałem ministra gospodarki Kerobjana jego kolega po fachu, minister oświaty, nauki, kultury i sportu Wahram Dumanian, kazał wstrzymać roboty na górze Hatis. Do ministra Dumaniana przyłączył się minister ds. przyrody i środowiska naturalnego, a urzędnicy z kancelarii Paszyniana wyjaśnili, że choć premiera zachwyciła idea pomnika, to przed rozpoczęciem budowy pomysłodawca musi przedłożyć w urzędach stosowne dokumenty, konieczne zezwolenia i zgody, zaświadczenia, ekspertyzy i wyliczenia korzyści i strat.

„Głupi Gagik" odparł, że szanując władzę i prawo, a także w trosce o zabytki, przyrodę i tak dalej, kazał przerwać przedsięwzięcie do czasu, aż wszelkie konieczne formalności zostaną dopełnione. Obrońcy przyrody i zabytków skarżą się jednak, że choć kazał wstrzymać budowę pomnika, rozorana koparkami święta góra dalej jest placem budowy, robotnicy przygotowują drogę na wierzchołek, ciągną linie elektryczne, wodociąg i gazociąg. Carukjan zapewnia, że pokona każdą przeszkodę i za trzy lata na górze Hatis stanie największy na świecie, świecący nocą pomnik Jezusa.

© WOJCIECH JAGIELSKI

TOMASZ

Stawiszyński:
Wielka machina losująca

Przeczucie od dawna obecne w mitologiach, literaturze, ale także nawiedzające nas czasami w koszmarach sennych; przeczucie, że oto istnieje gdzieś nasza kopia, sobowtór, nasze niepokojące odbicie, uzyskało właśnie całkiem solidną naukową podbudowę.

Na łamach pisma „Cell Reports" grupa hiszpańskich naukowców pod przewodnictwem prof. Manela Estellera opublikowała wyniki najszerzej, jak dotąd, zakrojonych badań nad parami nadzwyczajnie podobnych do siebie ludzi. Wcześniej, w ramach projektu „I'm Not a Look-Alike!" („Nie jestem sobowtórem!"), wytypował ich – do celów czysto artystycznych – kanadyjski twórca François Brunelle. Z pomocą rozbudowanych narzędzi diagnostycznych – analiz DNA, epigenetyki oraz składu flory jelitowej – badacze dokonali szczegółowych pomiarów. I ustalili, że istotnie, pomiędzy osobami tak podobnymi, że algorytm analizujący rysy twarzy identyfikował je jako bliźnięta jednojajowe, istnieje zaskakująca zgodność na poziomie genetycznym. Pozostałe elementy – epigenetyka i flora jelitowa – już w taki sposób nie korelują, co oczywiście jest zrozumiałe: mamy do czynienia z osobami, które wyrastały w różnych środowiskach, to są zaś właśnie czynniki zdeterminowane środowiskowo.

W każdym razie naukowe wnioski wyglądają następująco: w gigantycznej genetycznej maszynie losującej co jakiś czas, przypadkowo, konfigurują się niezwykle ze sobą zbieżne układy genów. Im więcej ludzi na świecie, tym większe prawdopodobieństwo, że taka odpowiedniość się zdarzy, a do tego współcześnie, dzięki internetowi, coraz łatwiej na swojego sobowtóra natrafić.

Cóż, brzmi to wszystko racjonalnie, słyszeliśmy już przecież nie raz, że tak to się właśnie odbywa: że struktura naszych ciał i umysłów jest efektem ślepego procesu biologicznego, działającego wedle reguł ewolucji i matematyki. Niemniej jest w tym coś paradoksalnego, osobliwego i niepokojącego. Abstrahując już od ambiwalencji samej figury sobowtóra – nieprzypadkowo tak obsesyjnie analizowanej w epoce romantyzmu, kiedy wykuwało się nowoczesne rozumienie jednostki – konfrontują się tutaj ze sobą dwa nieprzystawalne wymiary. A mianowicie: subiektywne poczucie indywidualności – że jesteśmy tym, kim jesteśmy, nie zaś kimś innym; że posiadamy unikalną kompozycję jakości, które się nigdzie w ten sam sposób nie powtarzają; że – niezależnie od tego, czy nam się ta kompozycja podoba, czy też wolelibyśmy inną – sprzęgnięta jest ona organicznie z naszym poczuciem „ja". Oraz: bezosobowa matryca natury, raz po raz wytwarzająca kolejne egzemplarze żywych istot, nieustannie tasująca elementy, z których składa się wszystko, co żywe.

Wbrew pozorom, wbrew rozmaitym, z obu zresztą stron czasami padającym, deklaracjom o autonomii tych terytoriów – nauka i religia nieuchronnie wchodzą ze sobą w kolizję. Nie chodzi tu jednak o to, że nauka demistyfikuje jakieś konkretne religijne wyobrażenia bóstwa – ostatecznie zawsze można powiedzieć, że mają one charakter metaforyczny i tylko w przybliżeniu kierują nas w stronę jakiejś nieopisywalnej, niedotykalnej transcendencji.

Istota tej kolizji rozgrywa się gdzieś indziej, a mianowicie w metodycznym odsłanianiu przez naukę kolejnych pokładów przypadkowości, ślepoty i bezosobowej buchalterii, którymi rządzony jest ten świat. To właśnie w tym wymiarze następuje nieuchronne zderzenie opowieści, wedle której rzeczywistość ma źródła w jakimś nadumyśle, cechującym się miłością i dobrem, z opowieścią o brutalnej logice tej wielkiej naturalnej machiny losującej, która stoi za naszym istnieniem, przynajmniej w jego ziemskim, materialnym wymiarze.

Czy da się tę religijną opowieść pomimo to zachować? Jej niesłychana żywotność wskazuje, że tak. Nawiasem mówiąc, jest osobliwą, a może nawet zagadkową ironią losu, że wszystkie te ślepe i bezosobowe procesy tak ukształtowały nasze mózgi, że wytworzyły one pojęcie transcendencji i wciąż poszukują w świecie tego, co niewidzialne. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

ZACZĘŁA SIĘ KALENDARZOWA JESIEŃ.

ANISH KAPOOR

01.10.2022 – 12.02.2023

CENTRUM RZEŹBY POLSKIEJ

ul. Topolowa 1
26-505 Orońsko

www.rzezba-oronsko.pl

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Wystawa pod Honorowym Patronatem Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego prof. dr. hab. Piotra Glińskiego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Honorowy Patronat:

British Embassy Warsaw

BRITISH COUNCIL

Partnerzy:

GRANITY SKWARA
KAMIEŃ NATURALNY

ART-ODLEW
ODLEWNIA ARTYSTYCZNA

telbridge

BRISTOL
★★★★
ART & MEDICAL SPA

PBO ŚLĄSK

Patronat medialny:

VOGUE

CONTEMPORARY LYNX

SZUM

NN6T
NOTES NA 6 TYGODNI

format

TVP KULTURA

onet

REKLAMA

REKLAMA

RMF CLASSIC

Włącz RMF Classic *i zmień swój świat*

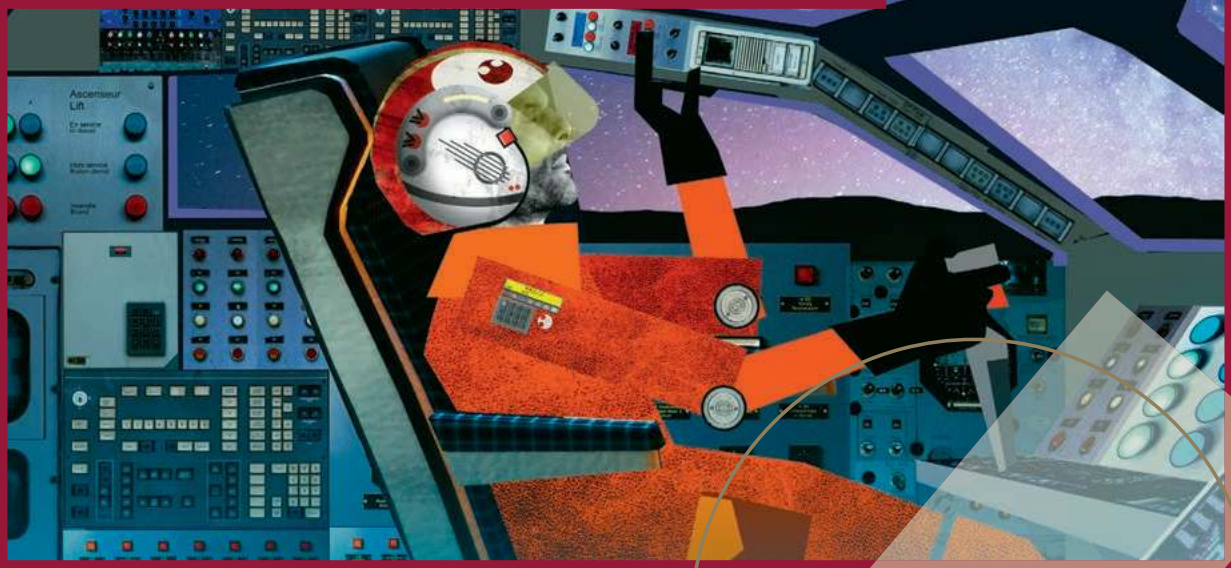

Słuchaj **najpiękniejszej muzyki filmowej** – gdziekolwiek jesteś!

Teraz możesz słuchać **RMF Classic bez reklam!**
Sprawdź na: rmfclassic.pl/plus